

REPORTAŻ „DO RZECZY”

Czy przesmyk suwalski
jest naprawdę niebezpieczny?



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 31/487 1-7 SIERPNIA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

Ziemkiewicz
o powrocie bojówkarzy



ESEJ GRZEGORZA KUCHARCZYKA
250 LAT OD PIERWSZEGO
ROZBIORU POLSKI

Po pandemii
pielgrzymki znowu ruszyły



Co unijczycy
szykują Polsce

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
3 1 >
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Wywiad z żołnierzem
US Army, który uratował
Polaka w Afganistanie!**

Mikołaj Iwanow – Zbrodnia Stalina '44

Zbigniew S. Siemaszko – Operacja „Berling”

Maciej Rosalak – Jak powstańcy zdobywali czołgi

Zbigniew Rylski – Walczyłem w Warszawie

Jakub Ostromięcki – Tajemnica okrętu podwodnego S-363

Rafał A. Ziemkiewicz – Odbrazować Piłsudskiego!

Sławomir Koper – Koniec świata Niemców bałtyckich

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Viktor Orbán, polskie emocje i imperium zła



PAWEŁ LISICKI

Wielka miłość przeradająca się z dnia na dzień we wrogość nie jest niczym nadzwyczajnym. Coś podobnego zdarzyło się, obawiam się, między Polakami a Węgrami. Przynajmniej taki wniosek płynie z reakcji ogółu polskich mediów na ostatnie wystąpienie Viktora Orbána w Băile Tușnad, którego to szczęśliwie mogłem wysłuchać osobiście. Dlatego – choć to, wiem, zadanie karkołomne – spróbuję pokazać, na czym polega karykaturalność polskich przekazów.

W wystąpieniu Orbána, przejrzysto zbudowanym, polskich odbiorców na pewno najbardziej szokowała skrajnie odmienna ocena wojny. Całe rozumowanie premiera Węgier jest bowiem oparte na założeniach, które w Polsce są powszechnie negowane. Nie chodzi tu przy tym o ocenę moralną niegodziwości rosyjskiej agresji – Orbán wyraźnie powiedział, że opis racjonalny przyczyn konfliktu nie oznacza usprawiedliwienia. Inaczej zatem, niż przedstawiają to polskie media, Orbán ani nie popiera celów Rosji, ani nie uważa, że przemoc jest właściwym sposobem rozwiązywania konfliktów.

Fundamentalna różnica tkwi gdzie indziej: otóż dla premiera Węgier Rosja nie jest po prostu, jak to uważa się w Polsce, imperium zła i nihilizmu. Nie jest, przynajmniej co do zasady, państwem gangsterskim lub terrorystycznym, siedzibą globalnego Antychrysta, z którym nie wolno rozmawiać, ale należy go zniszczyć. Wojna, nawet jeśli niesłuszna, nie jest manichejskim starciem mocy światła (Ukraina plus Zachód) i ciemności (Moskwa, Putin itd.). Ma ona – niezależnie od moralnej

oceny – ograniczone i wyraźne, racjonalne cele.

Według Orbána – pierwsze założenie – do wojny doszło nie dlatego, że Rosja niepowstrzymała się przed podbijaniem kolejnych państw, ale dlatego, że poczuła się zagrożona i że miała do tego nie wydumane, ale realne podstawy. Moskwa domagała się dwóch rzeczy: wyraźnej rezygnacji Ukrainy z aspiracji do NATO i wyraźnej deklaracji NATO, że Ukraina się w sojuszu nie znajdzie. Nieważne, czy były to postulaty słuszne czy nie, bo z punktu widzenia prawa, zgodnie z którym każde państwo należy tam, gdzie chce, były one niesłuszne. Jednak w ten sposób definiowali swoje bezpieczeństwo Rosjanie. Widząc, że zarówno NATO, jak i Ukraina odrzucili ich żądania i jednocześnie obserwując to, co prof. John Mearsheimer nazywa faktycznym włączeniem Kijowa do sojuszu, uderzyli. W Polsce takie rozumowanie uważa się za co najmniej naiwne lub wręcz zdradzieckie. Obawy Rosjan o rozszerzenie NATO to wyłącznie pretekst – mówi vox populi.

Drugi założenie Orbána: Rosja sama z siebie nie zaatakowała NATO. Nie dlatego, że jest pokojowo nastawiona, bo nie jest, ale dlatego, że Rosjanie doskonale zdają sobie sprawę z dysproporcji sił. Zachód jest militarnie od Rosji wielokrotnie silniejszy. Moskwa to rozumie, dlatego postanowiła uderzyć na Ukrainę, gdy ta jeszcze w NATO nie była. Nie mamy zatem do czynienia ze złem, które musi się rozlewać, bo taka jest jego natura, ale z brutalną, egoistyczną kalkulacją Moskwy i dążeniem do zapewnienia sobie bezpieczeństwa z pogwałceniem praw innego. W Polsce dominuje inny

pogląd: Ukraina to tylko pierwszy podbój na drodze rosyjskiego imperializmu. Jeśli nie powstrzyma się Rosji na Ukrainie, to nastąpi atak na państwa NATO – może Litwę, Łotwę, Estonię, może Polskę. Skąd to wiadomo? Stąd, że Rosja jest właśnie imperium zła. Podbija, bo musi. Padnie Ukraina, to zacznie się napaść na Polskę. Stąd też w Polsce tak popularne jest osobliwe porównanie Rosji z Trzecią Rzeszą. To o tyle dziwne, że jeśli już szukać analogii historycznych, to obecna Rosja znacznie bardziej przypomina walące się imperium otomańskie, które od końca XVIII w. krok po kroku traciło siły, niż prężnie pracę do światowej hegemonii imperium Hitlera.

Kto się myli w opisie rzeczywistości? Węgrzy – bo Orbán jest tu wyraziście ogółu – czy Polacy – bo pod tym względem władza i opozycja nie różnią się bardzo? Orbán wspominał, że dla Węgrów wojna Rosjan z Ukraińcami to wojna dwóch narodów słowiańskich. Dlatego Polacy angażują się w nią emocjonalnie po stronie Ukraińców, a Węgrzy nie. Moim zdaniem to formuła zręczna, która, gdyby została przyjęta nad Wisłą, pozwoliłaby na utrzymanie dobrych stosunków z Budapesztem mimo różnicy w ocenie konfliktu. Polacy mogliby nadal twierdzić, że Węgrzy nie rozumieją Rosji, a Węgrzy obstawać przy swoim. Inaczej: nie spierajmy się o podejście do wojny, mamy inne wspólne interesy, szczególnie w odniesieniu do Unii, choćby obronę przed ideologią migracyjno-genderową. Gdybyśmy potrafili w tej sprawie zrezygnować z roli Katona między-narodowej moralności, byłoby to dobre rozwiązanie. ©©



TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK
O JAKIEJ POLSCE
MARZY DONALD TUSK?
Tęczowe wizje lidera PO

19 ROZMOWA
Z PROF. ZDZIŚŁAWEM KRASNODĘBSKIM
HEGEMON I MARIONETKI

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT BOJÓWKARZY
Agresja „opozycji ulicznej”

24 KAMILA BARANOWSKA
ODKLEJENI

27 KAROL GAC
EUROPEJSKA
PIĘTA ACHILLESA?

30 TOMASZ ROWIŃSKI
SUWERENNOŚĆ ENERGETYCZNA
NA ZAKRĘCIE

32 PIOTR SEMKA
DZIWNA KARIERA
MISTRZA FREAK SHOW FIGHT

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
DO MARYI

KULTURA

36 JERZY MIZIOŁEK
ODWIECZNE ZMAGANIA
Z MOSKWĄ I ICH ODBICIE W SZTUCE
Przeciw wrogowi

40 PIOTR GOCIEK
WOLNI LUDZIE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
JAK POLSKA UTRACI NIEPODLEGŁOŚĆ
Zagrożenie z Zachodu jest realne

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CZY KOŚCIÓŁ W POLSCE DA SIĘ OKPIĆ?



52 WOJCIECH GOŁONKA
SZARAŃCZA

HISTORIA

54 GRZEGORZ KUCHARCZYK
KANIBALIZM POLITYCZNY
Zaczęli od Rzeczypospolitej

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŻYCIE CODZIENNE POD OKUPACJĄ
Dramat po agresji

60 PIOTR WŁOCZYK
W RAJU NA SKRAJU

EKONOMIA

64 ŁUKASZ WARZECHA
CIEMNE CHMURY NAD GOSPODARKĄ
Chude lata

66 JAKUB WOZINSKI
WĘGLOWY KROK WSTECZ

SPORT

72 ŁUKASZ MAJCHRZYK
BARCELONA Z ORZĘKIEM
Nowy klub Roberta Lewandowskiego

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (57), PRZYBYLSKI (62), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**
(także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj,**
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygado

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotorecja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Dominiński/Reporter, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Polska bez księży”, Paweł Chmielewski, „DRZ” 28/2022

[...] To nie kapłani są w głównej mierze odpowiedzialni za brak powołań i degenerację demograficzną, bo oni są za to odpowiedzialni tylko w niewielkiej mierze. Ludzie, którzy chłoną kulturę Zachodu, nie będą wierzyć w Boga, nie będą chcieli rodzić dzieci, nie będzie dla nich niczym atrakcyjnym posługa kapłańska czy małżeńska, ponieważ kultura przenikająca do nas z Zachodu z ekranów wszystkich telewizorów, laptopów i smartfonów (a przecież z takim autorytetem żyjemy na co dzień, a z kapłanem spotykamy

Rada dekonstrukcji języka polskiego



się raz na tydzień w niedzielę, więc jaką siłę oddziaływania może mieć kapłan?) jest antypatriotyczna (bo patriotyzm = faszyzm i rasizm), antymacierzyńska i antyjojowska (bo planeta jest przeludniona i cnotą jest nieposiadanie dzieci, a poza tym posiadanie dzieci jest tylko kłopotem, przeszkadza w pracy, zdobywaniu pieniędzy, karierze, budowaniu relacji z przyjaciółmi, wycieczkach zagranicznych, oglądaniu filmów, grach komputerowych i płatnych spotkaniach z psychoterapeutą), i antyreligijna, bo chodzenie do kościoła to nuda, przeżytek, a czasami nawet obciach (Co? Ty chodzisz do kościoła?). [...] Oczywiście, że w kulturze zachodniej są inne nurty, ale ich prawie nie słychać ani nie widać.

[...] To nie Kościół jest winny wymieraniu narodu i pustoszeniu seminariów, ale sami Polacy, którzy chłoną kulturę zachodnią jak gąbka wodę i dopóki nie przestaną jej chłonąć lub dopóki kultura ta nie zmieni swego przekazu, dopóty nic

nie zmieni ani liczby powołań, ani sytuacji demograficznej. I nie pomogą najbardziej charyzmatyczni kapłani ani Kościół wolny od czarnych owiec.

[...]

Ludzie nasiąknięci kulturą niosącą w sobie anihilację religii i rodzicielstwa nie będą rodzić dzieci zachęceni grantami finansowymi lub najbardziej efektywnymi kazaniem księdza. To jest w głowie: radość macierzyństwa i ojcostwa, poczucie jedności bycia w narodowej wspólnocie i poczucie bezpieczeństwa z powodu zawierzenia Bogu, a nie izolowania się w trakcie kolejnych lockdownów. W to trzeba uwierzyć. Tego się nie da kupić ani do tego nie przekona żaden charyzmatyczny kapłan. Powtórzę: to jest moja diagnoza. A lekarstwo? Lekarstwo powinno być drastyczne, jeżeli nie chcemy, aby w 2100 r. było, według prognoz ONZ, tylko 13 mln Polaków, a w tym samym roku grupka wiernych zgromadzonych wokół kilku kapłanów będzie uczestniczyła w desakralizacjach kolejnych pustych świątyń.

Wasz czytelnik

Od autora

Pisze Pan, że to zachodnia rewolucyjna kultura jest główną przyczyną degradacji życia chrześcijańskiego w Polsce. To w dużej mierze dobrze znana prawda. Polacy jednak, jak sądzę, nie mają w tym momencie zdolności do przeprowadzenia redefinicji globalnej kultury. Możemy jednak zadbać o to, by seminaria były prowadzone przez normalnych księży, a nie przez członków lawendowej mafii; możemy zatroszczyć się również o to, by w seminariach wykładana była zdrowa katolicka doktryna, a nie nacechowana modernizmem papka; wreszcie możemy postarać się o piękno celebracji liturgicznych, którego nader często brakuje.

O budowaniu otwartości na dzieci we własnych rodzinach nawet nie wspomnę – a i tutaj ogromna jest rola duchowieństwa, które winno o tym obowiązku często przypominać, czego wszelako z powodu, jak mniemam, strachu przed wyszydzeniem w obliczu własnych błędów lub też z powodu mizernej formacji zwykle nie czyni.

Zrzucanie całej winy za kryzys polskiego katolicyzmu na kulturę zachodnią mogłoby łatwo wpędzić nas w bierność i tym samym jeszcze spotęgować problem. Walczmy tam, gdzie możemy coś zdziałać, a w wymienionych przeze mnie obszarach, jestem pewien, zrobić można naprawdę wiele.

Paweł Chmielewski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pasowanie na rycerzy

Podczas rocznicy zrywu Warszawy w 1944 r. nie sposób oderwać się od myśli o walce Ukrainy z rosyjskim agresorem. Rzadko zdarza się w historii, by jakieś dramatyczne wydarzenie w jednym kraju wywołało tak silne skojarzenie w innym państwie w relacji z ich własnym, traumatycznym symbolem dziejowym. 22 marca 2022 r. prezydent Andrzej Duda wskazał: „Moi rodacy, Polacy, patrz dzisiaj na Mariupol i mówią ze łzami w oczach: Boże, Mariupol wygląda jak Warszawa w 1944 r., kiedy faszystowscy, nazistowscy Niemcy brutalnie bombardowali budynki mieszkalne, zabijając ludzi, zabijając cywilów bez żadnej litości”.

Potworne migawki filmowe z Ukrainy poruszyły jedną z najbardziej znanych polskich piosenek Irenę Santor, która ukończyła w tym roku 88 lat. Wyznała: „Znam to uczucie, ten strach. Jestem bardzo dojrzałą

Skądś znam te sylwetki, twarze, spojrzenia. Pierwsze dni października 1944 r., wyjście Armii Krajowej z ruin Warszawy. Inna epoka, inna armia, ale przecież ta sama sytuacja, ta sama opowieść. To, co najważniejsze, trwa, mimo wielokrotnie ogłaszanych zapowiedzi samozwańczych proroków ogłaszających nadejście ery nowej moralności”. Ukraiński poeta i pisarz Serhij Żadan ujawnił, że ukraiński ambasador w Warszawie Andrij Deszczycza poprosił go, by przełożył polski wiersz z Powstania Warszawskiego napisany przez żołnierza i poetę Zbigniewa Jasińskiego. Końcówka wiersza brzmi: „Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa. Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji! Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was! Oklasków nie trzeba! Żądamy amunicji”.

Siedemdziesiąt osiem lat temu powstańcy warszawscy nie oczekiwali na deklaracje szacunku dla polskiej walki. Chcieli skutecznego przesyłania broni drogą zrzutów nad płonąca Warszawą. Dokładnie to samo uczucie mieli Ukraińcy w pierwszych miesiącach rosyjskiej agresji. Mniej cenili pełne oburzenia deklaracje rzucające gromy na bestialstwo Kremla, chcieli zachodniej broni dla ukraińskich żołnierzy.

W polskiej tradycji Ukraina miała aż do niedawna bardzo specyficzny status. Kojarzyła się Polakom z krainą, która przynosiła zarówno tyle samo dumy i zaciekawienia, co niepokoju i lęku. Z jednej strony doceniano walory bojowe Kozaków i miano świadomość, że wiele polskich bitew polskich przeciw wrogom Rzeczypospolitej w okresie między XVI a XVII w. nie zakończyłoby się pomyślnie bez odwagi i kunsztu wojennego oddziałów kozackich. Z drugiej strony patrzono na Kozaków jako

na bombę, która może wybuchnąć Polakom w rękach. Postrzegano w nich żywioł, który w pewnym momencie może być wykorzystany przez Rosjan przeciw Rzeczypospolitej. Ceniono waleczność Kozaków, ale nie kojarzono ich z wysoką świadomością obywatelską i „rzymskim” rozumieniem cnót heroicznych jako budulca tożsamość wspólnoty.

To dlatego Polacy postrzegali pod wpływem „Ogniem i mieczem” wojnę o Lwów w latach 1918–1920 z galicyjskimi Ukraińcami jako ciąg dalszy tradycji kozackiej rebelii. W małym stopniu ten stan rzeczy zmieniła wspólna wyprawa Józefa Piłsudskiego i Semena Petlury na Kijów w maju 1920 r. Potem w mentalności Polaków dominowały złe doświadczenia z galicyjską UPA, których zwieńczeniem była masakra na Wołyniu. Można zaryzykować tezę, że dopiero wrzenie, jakie na Polakach zrobiła bohaterska obrona Ukrainy po 24 lutego 2022 r., trwale zmieniło stare klisze. Polacy dostrzegli w Ukraińcach kogoś, kto ma odwagę bronić swojej wolności. Rycerzy świadomych znaczenia walki, którą prowadzą.

I dlatego skojarzenie Warszawa 1944 – Mariupol 2022 stało się w polskich oczach niezwykle ważną moralną nobilitacją dla wszystkich Ukraińców. Bez tego szacunku nie nastąpiłaby tak silna społeczna mobilizacja na rzecz przyjęcia ponad trzymilionowej rzeszy uchodźców z ogarniętych wojną obszarów Ukrainy. Pod tym względem skojarzenie między Powstaniem Warszawskim a obroną Mariupola w 2022 r. stało się warunkiem nowo zarysowującego się partnerstwa polsko-ukraińskiego. Ukraińcy Polakom zaimponowali. Oby stało się to zaczynem pojednania naszych narodów. ©©

Skojarzenie Warszawa 1944 – Mariupol 2022 stało się w polskich oczach niezwykle ważną moralną nobilitacją dla wszystkich Ukraińców

osobą, a kiedy zaczęła się inwazja na Ukrainę, to przez pierwsze dni nie mogłam się pozbierać. Trauma wróciła, choć minęło już tyle lat”. Publicysta katolicki Jacek Borkowicz pisał: „Chyba wszyscy znamy te kadry. Zasmarowane panterki, zakrwawione temblaki. I wzrok prosto w obiektyw kamery. Pisarze zwykli określać taki rodzaj spojrzenia mianem »jasnego« i trudno tu o lepszą charakterystykę. Oglądając zdjęcia i filmy z poddania ostatniej reduty Mariupola, miałem poczucie déjà vu.

Cieszy nas, że nasza rubryka ma czytelników nawet w miejscach, w których się nie spodziewaliśmy. Nasza informacja o tym, że Naimski polecał m.in. za blokowanie importu prądu z ukraińskiej atomówki, obiegiła sporo serwisów związanych z energetyką. Szkoda tylko, że bez podawania źródeł.

My podajemy źródła. Na Interii przeczytaliśmy wywiad z prezesem. Napomknął o inwestycjach międzynarodowych, o których jeszcze nie można mówić. My akurat możemy, więc ujawniamy, o co najprawdopodobniej chodzi. Otóż import energii z Ukrainy nie wyczerpuje naszych ambicji. Podobno na stole leży oferta sprzedaży Polsce jednej z ukraińskich elektrowni.

Nasze źródła są podzielone co do konkretów. Jedno mówi, że chodzi o sprzedaż elektrowni konwencjonalnej z tzw. Wyspy Bursztynowej. Elektrownia ta obecnie pracuje, eksportując cały prąd za granicę, głównie na Węgry. A że Ukraińcom z Orbánem ostatnio nie po drodze, to chcieliby opylić elektrownię Polakom. Drugie źródło mówi, że chodzi nawet o wpuszczenie Polaków do ukraińskiej energetyki atomowej.

Skoro już o Węgrzech. Jeden z Panów G. jako pierwszy dziennikarz w Polsce dokonał wizytacji Letniego Uniwersytetu Tuszványos w Siedmiogrodzie. Rumunia, ale impreza mniejszości węgierskiej. Taki prawicowy Przystanek Woodstock. Z licznym udziałem kadry profesorskiej, polityków i ekspertów. Ogólnie i słusznie piszemy o tym na str. 40. W naszej rubryce pojawiają się natomiast wątki entertainmentowe. Na imprezie pojawił się Viktor Orbán.

Orbán to potwór. Wie o tym każdy, kto czyta gazetę i ogląda tefaueny. Ale potwór z poczuciem humoru. Kiedy na Tuszványos przyjechała bojówka węgierskiego odpowiednika KOD i robiła dymy podczas wystąpienia Viktora, ten odparł do mikrofonu dobrotnie: – Mam nadzieję, że rumuńska policja będzie równie łagodna jak policja w Budapeszcie.

Po przemówieniu wybuchła chryja, jak zawsze, kiedy Orbán otworzy usta. Że nacjonalista, ksenofob, rasista itd. Wybitny europejski autorytet moralny, czyli Guy Verhofstadt, zażądał,

żeby sprawą potępienia rasisty Orbána zajął się natychmiast Parlament Europejski. Co, szczerze mówiąc, mamy za przejaw rasizmu, gdyż rdzenni Belgowie są jaśniejsi od rdzennych Węgrów.

Ozdobą Tuszványos były nocne pąsy w namiocie robiącym za táncház, czyli węgierski dom tańca. Grała kapela ludowa. Dysponujemy niezbitymi dowodami fotograficznymi i wideo, na których widać, jak z młodzieżą węgierską płci pięknej wycina hołubce prof. Andrzej Zybertowicz. Nigdy nie myśleliśmy, że napiszemy takie zdanie o doradcy prezydenta Andrzeja Sebastiana.

Lokalną atrakcją Uniwersytetu Letniego były niedźwiedzie. Uczestnicy imprezy otrzymywali nawet na komórki specjalne alerty niedźwiedziowe. To nocą, bo za dnia można było po prostu spotkać misia. W okolicznych lasach jest ich ponoć ze cztery tysiące, ale na czas imprezy większość wywieziono. Nie wszystkie. Co wyjaśnia, dlaczego węgierski KOD przedarł się na imprezę tylko raz, za dnia, akurat na przemówienie Orbána.

Ze świata edukacji. Polskie szkoły zaniedbują wątki ekonomiczne w wykształceniu. Nic więc dziwnego,

że szef Związku Nauczycielstwa Polskiego, Czerwony Sławek zwany Broniarzem, nie wie, jak zarabiać. No i zainwestował ćwierć miliona związkowych ziko w beczki na whisky, po czym kasę stracił – co wzbudziło oburzenie. Podpowiadamy, bo znamy paru nauczycieli: strata pieniędzy, lecz metodą tradycyjną, to znaczy inwestycji w whisky, którą się od razu wypija, wzbudziłaby w środowisku o wiele większy entuzjazm. Mogłoby być i winko.

Wresorcie spraw wewnętrznych szykuje się ważna nominacja. Jeden z dotychczasowych dyrektorów ma zostać wiceministrem. Nazwiska na razie nie możemy zdradzić, ale możemy powiedzieć, że niebawem MSW pewnie będzie musiało znaleźć nowego rzecznika prasowego.

To Panowie G. zawsze uważali siebie za fanatycznych wyznawców teorii spiskowych. Ale okazuje się, że są lepsi od nas. Chodzi o śmierć handlarza bronią Andrzej Izdebskiego. Jego zgon na Twitterze ogłosił jeden z autorów niniejszej rubryki. Dwa tygodnie przed tym, jak tefaueny zaczęły sprawę rozdmuchiwać. Potem było tylko śmiesznej. Liczne ekipy dziennikarzy śledczych najechały Tiranę, by ustalić to, co ustaliliśmy, nie ruszając się z fotela.

Uwaga, będzie zabawnie. Polskie orły śledczego dziennikarstwa ustaliły m.in., że Izdebski nie mógł być skremowany w Albanii, bo tam nie ma krematoriów. Sensacja! Nie przyszło im jednak do głowy, by spytać MSZ, czy nasze służby konsularne wydały zgodę na przewóz zwłok. Otóż wydały, a ciało Izdebskiego skremowano w Polsce. Ustalenie tych faktów zajęło nam kwadrans. Jesteśmy idiotami. Mogliśmy przecież wziąć kasę na wyjazd do Albanii, by ustalić to samo. A jeszcze tam nie byliśmy.

Skoro o sprawach częściowo zagranicznych, to mamy jeszcze apel. Do rządu. Niemiec twierdzi, że nie może Polsce przekazać obiecanych czołgów, gdyż nowych „nie wyczaruje”, a te, które ma, są pilnie potrzebne do obrony. Apelujemy więc o ujawnienie, który sąsiad Niemiec szykuje się obecnie do ataku. Czechy? Dania? Szwajcaria? Osobiście stawiamy na Belgię. Oni się ostatnio zrobili strasznie agresywni. ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



CHORWACKI MOST PELJEŠAC JUŻ OTWARTY

Z wielką pompą Chorwacja otworzyła w ubiegłym tygodniu 2,4-kilometrowy most nad Morzem Adriatyckim. Megakonstrukcja za pół miliarda euro łączy kontynentalną część kraju z półwyspem Pelješac. Imponujący most ułatwi życie nie tylko Chorwatom, lecz także wielu polskim turystom. Dotychczas, aby dostać się do Dubrownika, trzeba było przejść dwie kontrole graniczne – teraz wystarczy krótki przejazd w bajkowej scenerii.

O zjednoczeniu ziem chorwackich politycy mówili od dawna. Konkretny pomysł budowy mostu Pelješac – łączącego półwysp o tej samej nazwie i Dubrownik z pozostałą częścią kraju, a jednocześnie omijającego wąski pas wybrzeża należący do Bośni i Hercegowiny – pojawił się w 2005 r. Aby pod przeprawą mogły bez problemu poruszać się potężne statki wycieczkowe, jej wysokość wynosi aż 55 m. Wieloprzęsłowy most ma 21 m szerokości i został tak zaprojektowany, aby wytrzymać podmuchy wiatru o prędkości nawet 180 km/h. Został również specjalnie wzmocniony, ponieważ stoi na obszarze sejsmicznym południowej Dalmacji.

Realizacja historycznego projektu pochłonęła aż 526 mln euro, ale już stał się on powodem do dumy dla Chorwatów. Pierwszym pojazdem, który przejechał po strategicznym moście, było auto marki Rimac, a więc innowacyjny elektryczny hipercar rodem z Chorwacji. **(jap)** © ©

FOT. OLIVER BUNIC/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Krok za krokiem

Przewodnicząca von der Leyen po raz kolejny poniżyła polski rząd i tuż po tym, jak ogłosił (po raz bodaj piąty), że „jest porozumienie” i pieniądze z KPO dostaniemy, postawiła kolejne warunki, zupełnie już bezczelne. Do „kamieni milowych” dodała rozdzielenie urzędów prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości oraz „gwarancję, że sędziemu kwestionującemu status innego sędziego nie będzie grozić odpowiedzialność dyscyplinarna”.

Przypomnę: według wyjątkowo zgodnych ze sobą orzeczeń polskiego TK i TSUE mianowanie sędziego jest prerogatywą konstytucyjną prezydenta RP i żadne wątpliwości co do rekomendującej KRS prawa do podważania jego statusu nie dają.

Tak jak wielokrotnie poprzednio rząd ustami swego rzecznika zapewnił, że von der Leyen nie ma prawa, że to nieporozumienie i że nie oddamy ani guzika – co znaczy, że znowu, za parę tygodni, odda kolejny kawałek niepodległości za kolejne mgliste nadzieje na kasę. Grupa Trzymająca Sądy nie zamierza jednak już czekać: dwa dni po wypowiedzi przewodniczącej KE troje przedstawicieli sędziowskiego rokoshu – sędziowie Sądu Najwyższego Jarosław Matras, Włodzimierz Wróbel i Małgorzata Wąsek-Wiaderek – przy okazji rozpatrywania skargi kasacyjnej, której treść nie jest tu istotna, ogłosiło, że przewodniczący Sądu Apelacyjnego w Lublinie Jerzy Daniluk nie jest sędzią i wszystkie wyroki wydane z jego udziałem są nieważne. Nie

dlatego, żeby Daniluk coś zrobił. Uzasadnienie brzmi: „Wyrok realizuje uchwałę trzech połączonych izb SN ze stycznia 2020 r.”, zgodnie z którą, jeśli w składzie orzekającym zasiada „neosędzia”, to „zostaje naruszony standard niezawisłości i bezstronności”.

„Gazeta Wyborcza” ucieszyła się, że „SN dokonał pierwszego testu bezstronności sędziego”, a mec. Wawrykiewicz, jeden z liderów rokoshu, przypomniał na Twitterze, że do unieważnienia pozostaje jeszcze 2 tys. „neosędziów”. Czyli burdel w polskich sądach przekroczył kolejną granicę – i na pewno się na niej nie zatrzyma. Chyba że wreszcie usunie się targowiczanie ze stanu sędziowskiego za oczywiste łamanie konstytucji i zdradę państwa. ©©



MAREK JUREK

OD POZĄTKU

Bogu – co boskie

Manipulowanie liturgią katolicką, obojętnie, czy w duchu liturgicznego fantasy, powołującego się na „ressourcement” (powrót do źródeł), czy populizmu pod gromkim hasłem „aggiornamento” (uwspółcześnienie), ma – nie mi to oceniać, czy paradoksalny – efekt antyekumeniczny, gorszący dla przekonanych o świętości liturgii wschodnich chrześcijan. Zadawanie kłamu tradycji liturgicznej z pewnością ich do jedności z Rzymem, a więc do powszechności Kościoła, nie przybliży.

Ten antyekumeniczny efekt zgłaszam pod rozwagę, w duchu synodalności. Sam zaś przywołam świadectwo najzupeł-

niej katolickie abp. Światosława Szewczuka. Skoro świat liberalny nie chce słuchać głosu chrześcijańskiej Ukrainy, to posłuchajmy go my:

„Cała nasza teologiczno-duchowa tradycja wbudowana jest w liturgię [...], nasza liturgia jest ikoną Boskiej Liturgii, jej piękno jest teofaniczne, to znaczy, że objawia Bożą obecność. [...] Ukazuje rzeczywistość nie tylko ziemską, ale i niebiańską. [...] Jako wierzący jesteśmy absolutnie przekonani, że tam Bóg przebywa wśród ludzi. To jest podstawowa idea duchowa i teologiczna naszej liturgii. To jest skarb, który do nas nie należy, jest darem Bożym, którym musimy dzielić się ze wszystkimi. Zwłaszcza teraz, kiedy w Kościele

łacińskim ciągle przeprowadza się jakieś zmiany w liturgii”.

Być może abp Szewczuk nie został powołany na kardynała na ostatnim konsystorzu, bo toczy się wojna. Ale metropolita kijowski jest od 10 lat. Jego poprzedników – abp. Slipija, abp. Lubaczewskiego – papież powoływał na kardynałów niemal natychmiast, nie oglądając się na Związek Sowiecki, który zdelegalizował i prześladował Kościół greckokatolicki.

Oczywiście Ojciec Święty w swych nominacjach, szczególnie kardynalskich, jest absolutnie wolny. Choć w chrześcijaństwie wolność nie oznacza dowolności. Szczególnie w tak świętej dziedzinie jak liturgia. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły

Trudno celniej opisać to, co się stało we Włoszech. Krasicki pasuje jak ulał. Premiera Dragiego obalili ci sami ludzie, którzy kilka dni wcześniej zapewniali go o dozogonnej lojalności. Głosili, że superbankier jest darem Opatrzności dla Italii, która znalazła się w największych tarapatach od czasów drugiej wojny światowej.

Teraz, w akcie pomnikowej hipokryzji, część tych wiarołomnych spryciarzy, szykując się do przyspieszonych wyborów, wciąga Dragiego na swoje sztandary. Deklarują, że będą realizować „program Dragiego”. Jednak bez Dragiego. Mało tego! Oskarżają się nawzajem o zbrodnię politycznego ojcobójstwa, choć wszyscy brali w niej udział.

Ohydę cuchnącego bagna włoskiej polityki ilustruje również smutny los prof. Renato Brunetty. Ekonomista, wielokrotny minister, od ćwierćwiecza serdeczny druh Silvia Berlusconi, wystąpił z Forza Italia, bo odmówiła Dragiemu wotum zaufania. 86-letni Silvio skomentował: „Niech odpoczywa w pokoju wiecznym”, a jego 32-letnia narzeczona na Instagramie puściła Brunettie (154 cm wzrostu) balladę o karle Fabrizia De André. Włoska lewica, która nazywała Brunettę ohydny ogrodnym skrzatem, kieszonkowym szaleńcem, piędzą i korkiem, teraz mu bardzo współczuje.

Zapewne w wyborach 25 września najwięcej głosów dostanie partia narodowców Bracia Włosi

(tak się zaczyna włoski hymn) Giorgii Meloni, a wygra z łatwością koalicja centroprawicy, o ile się nie pokłóć. Jeśli tak się stanie, to w kącie pójdzie bardzo proukraińska polityka Dragiego, co jest dla Polski prognozą bardzo nieciekawą. Lewica (i większość włoskich mediów) w obliczu zapowiadającej się klęski przestrzega, jak sto razy przedtem, że wróci faszyzm.

Jest straszno, ale i śmieszno. Berlusconi już obiecał, że podniesie najniższe emerytury do 1 tys. euro i będzie sadził co roku milion drzewek. Zdaniem prześmiewców chodzi zapewne o drzewka z bajki „Pinokio”, na których miały rosnąć pieniądze, bo inaczej nie sposób spełnić pierwszej obietnicy. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KOPERTY, KOPERTY

Celebrytkomodelka Karolina Pisarek wciąż przeżywa swój niedawny ślub. Tym razem pochyliła się nad delikatnym tematem weselnych kopert i ich zawartości.

„Koperty otwieraliśmy właśnie z Rogerem i zapisywaliśmy wszystko w notatniku. Patrzyliśmy, czy nam się troszkę zwróciło. [...] Największa kwota w kopercie nie przelewem? Bo jeszcze były przelewy! W kopercie to największa kwota pojawiła się 20 tys., a przelewem 100 tys.” – relacjonowała reporterowi portalu Pomponik. Biedna celebrytka nie spodziewała się, że jej słowa wywołają falę krytyki i będzie musiała się z nich gęsto tłumaczyć. „Nie zastanowiłam się nad tym, jak inni to odbiorą – przyznała w rozmowie z portalem Plotek. – Sama chciałabym odejść od tematu pieniędzy i podkreślić, że najważniejsze jest to, że na naszym weselu my



FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

się dobrze bawiliśmy i nasi goście. Nie brałam pieniędzy za priorytet, a to zostało wychwycone w niefortunny sposób, bo najważniejsza była ceremonia zaślubin. [...] Nie tworzyłam wesela dla samego zwrotu środków, tylko żeby mieć superzabawę. Pieniądze nie były i nie są dla mnie priorytetem” – tłumaczyła. I dlatego w pierwszym wywiadzie na temat najważniejszego dnia w jej życiu mówiła głównie o tym, kto ile dał jej w kopercie. Logiczne.

BEZ PSYCHOTERAPII ANI RUSZ

Pisarek, dla której – jak już wiemy – pieniądze nie są priorytetem, chyba że chodzi o te z weselnych kopert, zostanie z nami na dłużej. Właśnie gruchnęła wieść, że weźmie udział w programie „Taniec z gwiazdami”! Jako gwiazda, gdyby ktokolwiek miał wątpliwości. Co ciekawe, celebrytka wynegocjowała dla siebie specjalne zapisy w kontrakcie, np. pomoc psychoterapeuty. – Zawsze podchodziłam do każdego programu, do którego szłam, na takiej zasadzie, że dam radę, będzie super, chcę z tego wynieść jak najwięcej. [...] Teraz chcę, żeby ta



FOT. DWET.COM/ADA

praca wyglądała inaczej, czyli dosłownie czerpać z niej tylko radość – tłumaczy Pisarek. – Nie chcę, żeby opinie zewnętrzne wpływały na mnie i moje życie prywatne, bo nie oszukujmy się, kiedy ktoś ocenia cię cały czas źle, to z tyłu głowy to boli. Więc postanowiłam, że przebrnę przez kolejny program z uśmiechem i pomocą psychoterapeuty, który będzie pomagał mi

w tym, żeby nie wybić się z rytmu – ujawniła. Psychoterapii to będą potrzebować oglądający ją telewizorze, zwłaszcza jeśli Pisarek będzie nie tylko tańczyć, lecz także mówić.

WSZYSTKO PRZESZYSTKĄ!

Małgorzata Rozenek-Majdan z okazji 10. rocznicy pojawienia się programu „Perfekcyjna pani domu” postanowiła wspominać początki swojej telewizyjnej kariery, która rozpoczęła się w tym programie. – Nie miałam żadnego doświadczenia w telewizji, nie wiedziałam, czego się spodziewać, więc postanowiłam przygotować cały odcinek. Pomyślałam sobie, że jak nie wiem, co przygotować, to przygotuję wszystko. Casting trwał bardzo długo i był ciężkim psychicznym doświadczeniem, ponieważ nikt nie dał mi odczuć, że idzie mi dobrze – wspomina celebrytka. Ale jej tajną bronią było coś jeszcze innego. – O 2 w nocy specjalnie upiekłam ciasteczka z czekoladą dla dyrektora Miszczaka – wyjawia celebrytka. I pomyśleć, że gdyby nie te ciastka, to być może show-biznes byłby dziś wolny od duetu Rozenek/Majdan. Pomarzyć zawsze można!

RDZENNA AMERYKANKA

Weronika Rosati, córka Rosatich, aktorka i celebrytka, udzieliła wywiadu tygodnikowi „Wprost”. Opowiedziała w nim o swoim codziennym, amerykańskim życiu. „Mieszkając w Kalifornii, która słynie z fantastycznego klimatu i pięknej przyrody, blisko oceanu, czuję się jak w wakacyjnym kurorcie. Często w weekendy chodzimy z przyjaciółmi i ich dziećmi na plażę lub basen, do parków rozrywki, muzeum dla dzieci lub organizujemy wspólne pikniki. Teraz w ciągu tygodnia Ela chodzi na summer camp – ma tam bardzo rozwijające i ciekawe zajęcia i świetnie się czuje w towarzystwie swoich koleżanek i kolegów” – opowiada Rosati, która następnie wyznaje, że swoją córkę, mającą rodziców Polaków, uważa za... rdzenną Amerykankę. „Nasze życiowe centrum jest w Los Angeles. Tu urodziła się Ela, stając się automatycznie rdzenną Amerykanką, tu chodzi do szkoły, tutaj mogą rozwijać się i pracować w swoim zawodzie, który wybrałam już w wieku pięciu lat. Mam bardzo ciekawe środowisko zawodowe, wielu wspnianych przyjaciół” – zachwycą się Rosati. I żaden z nich nie powiedział jej, że to, co wygaduje w tym wywiadzie, nie nadaje się do publikacji?! Dziwni to przyjaciele. ☺☺



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, spotkała nas niemiła przygoda, do której musimy się wam, z pewnym wstydem, przyznać. Otóż w trakcie wakacji prowadziliśmy badania etnograficzne na wschodzie tego kraju – polegające głównie na tym, iż obserwowaliśmy Janusza w ich naturalnym środowisku.

Niestety, czego się wstydzimy najbardziej, podróżowaliśmy samochodem spalinowym. No i pewnego dnia zostaliśmy zatrzymani przez patrol policji drogowej w związku z przekroczeniem dopuszczalnej prędkości.

Niestety, funkcjonariusze nie rozpoznali w nas popularnych blogerów i influencerów, a jak pokazaliśmy im naszą rubrykę, to stwierdzili, że to „jakieś durnoty”, i poinformowali, iż nałożą na nas mandat.

W pierwszej chwili ucieszyliśmy się, iż mandat kojarzy nam się z Sejmem i immunitetem, ale niestety chodziło o karę finansową, iż jechaliśmy za szybko.

Tłumaczyliśmy policjantom, iż określenie dopuszczalnej prędkości jest wynikiem pewnej umowy społecznej, której nie jesteśmy stroną, oraz że w swoim poczuciu wolności uważamy, iż żadne limity nas nie ograniczają.

Wtedy policjant zapytał, czy ma nam skontrolować stan techniczny samochodu.

Postanowiliśmy zagrać ostatnią dostępną kartą i wskazując kolegę geja, powiedzieliśmy, iż zachowanie policji jest nacechowane homofobicznie. Wtedy już sprawdzili stan techniczny samochodu,

Szanowny panie Aleksandrze,
czy byliby pan uprzejmy przez chwilę
nam nie grzeić, bo zostało nam
mało czasu, a nowe jeszcze nie
dojechały?



w efekcie czego wezwana została laweta, a my zostaliśmy zmuszeni do spaceru po bezkresach Podlasia i nocowania po lasach z obawy przed tubylcami.

Bardzo przykra sytuacja zaistniała na pograniczu polsko-czeskim. Otóż grupa Polaków pojechała do Czech i ukradła czeskie drewno, a więc de facto zaanektowała kawałek Czech i przywiozła go do Polski.

Czy naprawdę sytuacja z Zaolzia niczego nas nie nauczyła? Jak my teraz niby z tego mamy wybrać? W ogóle co to za czechofobia w ostatnich latach? Najpierw Turów, a teraz to.

Może więc w zadośćuczynieniu moglibyśmy Czechom oddać kawałek Podlasia (tak, siedzi w nas zadra w związku z wcześniejszą historią)? Co prawda, byłoby to trochę kłopotliwe w realizacji. Ale skoro jesteśmy w stanie latać w kosmos (jako

ludzkość, of kors – nie my jako Polacy, Polska może najwyżej lecieć na łeb w rankingach dobrobytu), to jakoś sobie z tym poradzimy? W ramach zadośćuczynienia nawet sami moglibyśmy przerzucić trochę ziemi za granicę.

Tymczasem u nas w korpo kierownik (woleliśmy mieć supervisora) Nowy z Tarnowa ogłosił, iż sierpień będzie miesiącem abstynencji oraz pielgrzymek.

Of kors w ogóle nam taki stan rzeczy nie odpowiada. Wolelibyśmy pielgrzymki do multitapów w celu niezachowania

trzeźwości i poszukiwania DDH New England IPA lub chociaż jakiegoś pastry sour, a nie pieszą wycieczkę do Częstochowy (gdzie to w ogóle jest?).

W dodatku Nowy naczytał się jakiegoś coachingu o work-life balance, ale niestety zrozumiał piątę przez dziesiątę i wymyślił sobie, że aby nie zgłupieć od nadmiaru wolnego, to w trakcie pielgrzymki mamy dzwonić i sprzedawać pakiety Internet + telefon + garnki + panele fotowoltaiczne.

No cóż, w ten sposób przynajmniej nie zmarnowalibyśmy na te całe pielgrzymki urlopu, gdyby nie to, że mamy umowę-zlecenie i urlopy płatne nam nie przysługują. ☹☹



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Co z tym gazem?

Anka, co wy tam w końcu uzgodniliście z tym gazem? Bo ja już nie wiem, co mam mówić.

A co mówisz, Mati?

To co zawsze: ten stary greps o Tusku, który przybył z zagranicy

jak inflacja i takie tam. Muszę poprosić Chłopika, żeby mi coś nowego wymyślił, bo to się już zgrało. Ale nie zmieniaj tematu. No więc?

No... My się oczywiście nie zgadzamy.

Dobra, tyle to i ja wiem. Ale konkretnie: masz to na papierze czy nie? Tak jakby...

Ale jak to „tak jakby”? To masz czy nie masz?

Coś tam mam, ale ja tak za bar-

dzo nie rozumiem, co to właściwie znaczy. Wiesz, jak to w Unii: coś jest niby napisane, ale jakby po węgiersku.

Jak to: po węgiersku? Przecież my się już nie lubimy z Węgrami!

Oj, metafora taka. Że też zrozumieć nie można.

Ale to w końcu co ja mam mówić?

Mów na razie to o Tusku, a potem Chłopik ci coś nowego wymyśli. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

**„Dlaczego nie kupiliśmy
»bayraktara«
dla Syrii?”**

JANINA OCHOJSKA, europosłanka KO,
na Facebooku o tym, dlaczego nie dołożyła
się do polskiej zbiórki na drona dla Ukrainy

Od strony technologicznej jesteśmy

najnowocześniejszą konferencją w tej części Europy

6–8 września br. ruszy XXXI Forum Ekonomiczne w Karpaczu. O tym, czego można spodziewać się podczas tegorocznego wydarzenia, rozmawiamy z Zygmuntem Berdychowskim, przewodniczącym rady programowej



RADOSŁAW ŚWIECKI: „Europa w poszukiwaniu przywództwa” – takie było hasło XXX edycji Forum Ekonomicznego w Karpaczu, która odbyła się we wrześniu zeszłego roku. 6–8 września odbędzie się XXXI edycja pod hasłem „Europa w obliczu nowych wyzwań”. Towarzyszy państwu poczucie, że w ciągu tego roku Europa znalazła się w zupełnie nowej rzeczywistości?

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI: Myślę, że wszyscy uczestnicy życia publicznego, życia gospodarczego są przekonani, że zarówno wybuch wojny, jak i jej konsekwencje zasadniczo przemodelowały dotychczasowe priorytety, zamierzenia, zarówno te dotyczące gospodarki, jak i spraw społecznych. Dlatego mamy taki, a nie inny motyw przewodni XXXI Forum Ekonomicznego, który tak naprawdę sprowadza się do dwóch wielkich tematów.

Jakie to tematy?

Temat pierwszy to oczywiście wojna – konsekwencje rosyjskiej agresji na naszego sąsiada. Będziemy o tym rozmawiać zarówno na forum Polska – USA – Ukraina – Wielka Brytania, które będzie częścią składową Forum Ekonomicznego, jak i na forum ukraińskim, a także podczas wielu wydarzeń, które odbywać się będą na ścieżce wydarzeń, takich jak polityka międzynarodowa.

Jaki będzie drugi temat?

Drugi temat to „Rewolucja, której nie było”. Chodzi o „Fit for 55”. Wojna

i wszystkie jej konsekwencje, jeśli chodzi o sferę gospodarczą, kompletnie przemodelowały zamierzenia Europejczyków, jeżeli chodzi o budowę niezależności energetycznej. O tym, że zasoby ropy i gazu, które położone są w Europie bądź w bezpośrednim jej sąsiedztwie, są dalece niewystarczające, jeśli chodzi o zaspokojenie potrzeb dynamicznie rozwijających się gospodarek europejskich, wiadomo było od dawna. Natomiast próba zadeklarowania rewolucji energetycznej w oparciu o współpracę z dwoma krajami rządowymi autorytarnie, pozostającymi poza jakąkolwiek kontrolą państw europejskich, narażała nas na ogromne ryzyko, na ogromne niebezpieczeństwo. 24 lutego to ryzyko w części się zmaterializowało, Rosja dokonała agresji na Ukrainę, dostawy gazu i ropy zostały ograniczone, nałożono embargo na dostawy węgla. Do Europy przestała płynąć energia, w związku z tym wszystkie ambitne plany, które ogłoszono w ubiegłym roku, musiały zostać odłożone na półkę.

Istotnym elementem rozmowy o energii dla Europy są nośniki metali ziem rzadkich, czyli to wszystko, co wiąże się ze współpracą Europejczyków przede wszystkim z Chińską Republiką Ludową. To np. lit czy kobalt, kiedy mówimy o samochodach elektrycznych, to pierwiastki jeszcze rzadsze, kiedy mówimy o komunikacji, telefonach, komputerach. Pandemia pokazała, że nawet kiedy nie ma złych

zamiarów, łańcuchy dostaw ukształtowane w oparciu o globalizację mogą zostać zerwane, co oznacza jeszcze większe problemy niż w przypadku gazu, który jest co prawda droższy, ale jednak może być dostarczany statkami w odróżnieniu od produkowanych w Chinach półprzewodników dla przemysłu samochodowego, których braki istotnie ograniczają produkcję w przemyśle zbrojeniowym.

Podczas Forum Ekonomicznego nie zabraknie oczywiście aktualnych tematów dotyczących tego, co w tej chwili stanowi największe wyzwanie dla kolejnego rządu w Europie, czyli inflacja. Będziemy rozmawiać o tym, czy możliwe jest połączenie wzrostu gospodarczego z prawie zerowym bezrobociem i inflacją.

Wiemy zatem, jakie będą główne tematy tegorocznego Forum Ekonomicznego. Czy może pan zdradzić, kogo będą państwo w tym roku gościć?

O nazwiskach zawsze warto rozmawiać dopiero wtedy, gdy pojawiają się w centrum kongresowym (śmiech). Nie ukrywam, że nasze doświadczenia są takie, że ilekroć obwieszczamy przed rozpoczęciem obrad obecność ważnych gości, tylekroć później natrafiamy na sytuację, w której musimy komunikować, że zaproszone przez nas osoby z ważnych przyczyn nie dotarły. To, co mogę zdradzić, to to, że poziom obrad czy liczba gości będą co najmniej na takim poziomie jak w zeszłym roku.

Możemy liczyć na obecność ważnych gości z Ukrainy?

Na pewno tak. Przypomnę tylko, że w ubiegłym roku Forum Ekonomiczne po raz pierwszy od trzech lat było miejscem spotkania premierów Polski i Ukrainy. Myślę, że tegoroczne wydarzenia na pewno nie będą odbiegały poziomem od tego, co działo się rok temu. Nazwisk nie chcę ujawniać chociażby ze względu na to, że na Ukrainie trwa wojna.

Rok temu podczas Forum Ekonomicznego zorganizowano ok. 450 paneli. Jak będzie w tym roku?

Myślę, że podobna liczba. Chcę podkreślić, że były to wydarzenia organizowane przez nas i przez naszych partnerów. Nasi partnerzy – instytucjonalni, medialni, komercyjni – w istotny sposób wpłynęli na ostateczną liczbę tych wydarzeń.

Organizując panele i spotkania, korzystają państwo ze specjalnego programu komputerowego, tak by np. wydarzenia dotyczące podobnego tematu nie odbywały się w tym samym czasie...

Myślę, że to jedyna taka konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej, która posiada nie tylko taki program, lecz także ogromną bazę gości, osób zajmujących wyjątkowe pozycje w życiu politycznym, gospodarczym czy społecznym. Dość powiedzieć, że w tym zbiorze znajdziemy w chwili obecnej kilkadziesiąt tysięcy osób, którzy brali udział w Forum Ekonomicznym na przestrzeni 30 lat. Goście Forum Ekonomicznego mają także dostęp do specjalnych zakodowanych stron dla uczestników Forum. Mogą oni także skorzystać z aplikacji na urządzenia mobilne w trakcie Forum. Od strony technologicznej jesteśmy najnowocześniejszą konferencją w tej części Europy.

Co do programu komputerowego, to co roku wykonujemy gigantyczną pracę, która zmierza do tego, by przygotować Forum Ekonomiczne, i najwyżej w świecie nie wolno tracić tej pracy, ona musi zostać zarchiwizowana w taki sposób, by w kolejnych latach była możliwość odwołania do dotychczasowej wiedzy. Niemniej jednak przez lata pozostawaliśmy wierni tradycyjnym, papierowym wydawnictwom i nadal takie przygotowujemy.

Przed rokiem jednym z wiodących tematów Forum Ekonomicznego był Polski Ład, z którym wiązano spore nadzieje. Czy w tym roku będą państwo w jakikolwiek sposób wracać do tego programu?

Na pewno będziemy rozmawiać o sytuacji polskiej gospodarki, o inflacji, eksporcie, innowacyjności. Oczywiście nie zabraknie również wątku zmian podatkowych.

Przed rokiem przywiązywali państwo również wagę do pandemicznych obostrzeń – osoby niezaszczepione mogły wziąć udział w wydarzeniu, ale wyłącznie pod warunkiem przedstawienia negatywnego wyniku testu na obecność koronawirusa. Czy w tym roku pojawiają się wątki dotyczące pandemii – od strony tematycznej, a także organizacyjnej?

Tematycznej – w niewielkim stopniu. Częścią Forum Ochrony Zdrowia będzie dyskusja dotycząca tego, czy grozi nam powrót do lockdownów, ale temat pandemii nie będzie tak obecny jak w latach 2020 i 2021, kiedy to poświęciliśmy tej kwestii kilkanaście tematów. Co do strony organizacyjnej, to jeśli zostaną wprowadzone obostrzenia, to oczywiście będziemy się do nich stosować. Rok temu sprawdzaliśmy świadectwa szczepień, mieliśmy wymazobus itd. Byliśmy do tego przygotowani i jeśli zajdzie taka potrzeba w tym roku, to również będziemy.

Skoro jesteście przy kwestiach organizacyjnych, to proszę powiedzieć, jak sprawdza się Karpacz jako miejsce organizacji Forum Ekonomicznego.

Zaletą Karpacza jest bez wątpienia to, że ma bardzo dobrą bazę noclegową, bardzo dużo nowoczesnych hoteli. Jest to miejsce bardzo dobrze skomunikowane – z Warszawy jedziemy trasą A2, a następnie S8 i tylko ostatnie kilkadziesiąt kilometrów trasą krajową. Muszę pochwalić gospodarzy miasta, którzy są bardzo otwarci i życzliwi.

Mówił pan przed rokiem, że w zasadzie muszą państwo uczyć się organizacji wydarzenia od nowa. Nauczyli się państwo?

Przez 30 lat byliśmy obecni w jednym miejscu, doskonale rozumieliśmy przestrzeń, w której się poruszaliśmy – do tego hotelu tyle kilometrów, do tamtego tyle, tu można przygotować centralną recepcję itd. Po tych 30 latach kwestie te nie były dla nas żadną zagadką. Gdy pojawił się Karpacz, to trzeba było uczyć się tego wszystkiego od nowa. Jest tu wiele drobiazgów, jak np. ile trwa dojazd komunikacją z drugiego co do wielkości hotelu w Karpaczu do miejsca, gdzie odbywa się Forum, ile trwa dojazd z miejsca centralnej recepcji do hotelu, ile samochodów zmieści się na parkingu przy hotelu itd. Trochę to potrwa, zanim nauczymy się tego wszystkiego.

Czy organizując Forum Ekonomiczne, zapraszając najważniejsze osobistości w kraju, liczą państwo na to, że powiedzą coś, co potem stanie się swoistym newsem (jak np. zapowiedź ówczesnego premiera Donalda Tuska w sprawie przystąpienia do euro), czy w ogóle się nad tym państwo nie zastanawiają?

Nie, nie. My skupiamy się na tym, by dobrze wykonać naszą robotę, czyli żeby wszystkich dowieźć, zagwarantować dobre warunki obrad, żeby nie brakowało tłumaczy, żeby dobrze wypadły imprezy kulturalne. Co do treści spotkań, to oczywiście chcielibyśmy, by i pod tym kątem goście byli usatysfakcjonowani, by potem do nas wracali. Nie ma co ukrywać, że takie wystąpienia, jak to wspomniane przez pana Donalda Tuska, na pewno służą organizatorom tego typu wydarzeń.





Jan Fiedorczuk

Po niemal siedmiu latach spędzonych na unijnych salonach Donald Tusk powrócił do kraju jako polityk „zeuropeizowany”. Co więcej, powrócił z planem „europeizacji” państwa polskiego. Co to jednak dokładnie oznacza?

Dużo więcej zrozumiałem przez tych ostatnich kilka lat – podkreślał Donald Tusk pytany parę miesięcy temu o kryzys klimatyczny. Śledząc wypowiedzi lidera PO, można zauważyć, że przebywając na unijnych salonach, „dużo więcej zrozumiał” nie tylko w kwestii polityki klimatycznej, lecz także agendy obyczajowej, gospodarki czy tego, jak należy rozumieć praworządność. Krytycy PO lubią zarzucać Tuskowi, że jego plan można de facto sprowadzić do bycia anty-PiS, jednak nie jest to sprawiedliwa ocena. „Zeuropeizowany” Tusk powrócił do kraju z serią nowych pomysłów na Polskę i wydaje się, że tym razem ma zamiar wywiązać się ze swoich obietnic.

JUTRZENKA REWOLUCJI

Nie jest przypadkiem, że jednym z pierwszych postulatów, jakie Donald Tusk ogłosił po powrocie na fotel lidera PO, było wprowadzenie związków partnerskich. Jak zapewniał podczas Campusu Polska Przyszłości, będzie to „jedna z pierwszych decyzji”, jakie podejmie po przejęciu władzy. Sam Tusk między wierszami zdaje się przyznawać, że związki partnerskie to jedynie początek drogi. – Wiem, że to jest pierwszy krok [...], musimy pokazać, że w kwestiach godności człowieka, w tym godności osób o innej orientacji seksualnej niż ta bardziej dominująca, tutaj już nie może być kalkulacji czysto politycznej – podkreślał podczas spotkania w Wałbrzychu. Dodał jednocześnie, że stara się prowadzić marsz w stronę „nowoczesności i tolerancji, która musi się też załęgnąć w naszych głowach i sercach, nie tylko w ustawach”.

Owszem, PO będąc u władzy, flirtowała z liberalizmem obyczajowym,



O jakiej Polsce marzy Donald Tusk?

FOT. JACEK SZCZOLOWSKI/FERUM

jednak Tusk był zbyt inteligentny, by się osobiście angażować w tego typu deklaracje. Wprost przeciwnie – w partii wyhodowano z jednej strony Janusza Palikota mającego suflować „postępowe” postulaty, ale z drugiej strony zatroszczone o prawe skrzydło partii. Ba, sam Tusk nigdy nie angażował się w „palikociarskie” ekscesy, grając ostoję zdrowego rozsądku. Dawał temu niejednokrotnie wyraz, dystansując się czy to od kwestii aborcji, czy rewolucji LGBT czy też wprost deklarując, że dopóki będzie premierem, dopóty w Polsce nie pozwoli na legalizację marihuany.

Teraz jednak kwestia liberalizacji prawa aborcyjnego stała się podstawowym postulatem Platformy. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który uznał tzw. przesłankę eugeniczną za niezgodną z polską ustawą zasadniczą, PO zaczęła budować narrację o „piekle kobiet” oraz domagać się natychmiastowej zmiany przepisów. Platforma aktywnie włączyła się również w falę burzliwych protestów, które miały miejsce na polskich ulicach pod koniec 2020 r., a Donald Tusk fotografował się ze stojącą na czele rewolty Martą Lempart. Obecnie Tusk wprost deklaruje, że po przejęciu przez PO władzy aborcja będzie legalna (po konsultacjach z lekarzem) do 12. tygodnia ciąży. Problem w tym, że takie postawienie sprawy oznacza wywrócenie całego porządku prawnego w Polsce.

Aborcja i związki partnerskie to dwa fundamenty obyczajowej polityki, które urastają do rangi naczelných postulatów nowej, „zeuropeizowanej” PO. Warto jednak również wskazać na wzmiankowaną przez Tuska konieczność przereformowania przepisów dotyczących osób transpłciowych czy zapowiedź zdecydowanego rozdziału Kościoła od państwa. W tej ostatniej kwestii Tusk obrał dość sprytną taktykę, zgodnie z którą religia jest dobra, a Kościół zły. – Wierzysz w Boga, nie możesz głosować na PiS – podkreślał podczas niedawnej konwencji w Radomiu.

POLSKA NA LEWO

Jest kilka powodów, aby sądzić, że po ewentualnym przejęciu władzy przez PO powyższe hasła nie skończą w sejmowej zamarazce. Po pierwsze, Tusk wrócił do krajowej polityki „zeuropeizowany” i ewidentnie nasiąkł atmosferą unijnych, postępowych salonów, na których nawet obecne propozycje Platformy uchodzą za

przejaw konserwatyizmu. Po drugie, aby rządzić, PO prawdopodobnie będzie musiała budować koalicję z Lewicą (obecnie trzecią siłą w sondażach). Poseł Maciej Gdula stwierdził niedawno, że ostatnie działania PO świadczą o tym, iż Tusk „przygotowuje swój elektorat na wspólne rządy z Lewicą”, i ciężko nie przyznać mu racji. Po trzecie wreszcie, Platforma Anno Domini 2022 jest zupełnie inną partią, niż była kilkanaście lat temu, gdy stylizowała się na ugrupowanie konserwatywne o wolnorynkowej wrażliwości. Obecna PO ma inny sznyt ideowy, tworzą ją inni politycy i głosuje na nią inny elektorat. W partii do głosu powoli do-

przez PO było błędem, ale również obiecuje podwyżki w budżetówce i – rzecz jasna – zapewnia, że po przejęciu władzy zdusi inflację.

W tym też kontekście należy odczytywać głośny postulat szefa PO dotyczący wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy. To ciekawe zagranie, gdyż tym samym Tusk wchodzi na pole do tej pory zarezerwowane dla PiS, który w ostatnich latach zmonopolizował kwestie socjalne i pracownicze. Rządzącym ciężko będzie krytykować ten pomysł i nie brzmieć niczym Jacek Rostowski w 2015 r., który zapewniał, że na obietnice PiS „pieniędzy nie ma i nie będzie”.

Aborcja i związki partnerskie to dwa fundamenty obyczajowej polityki, które urastają do rangi naczelných postulatów nowej, „zeuropeizowanej” PO

chodzi nowe pokolenie działaczy, którym bliżej do liberalizmu rozumianego jako wolność od społeczeństwa i tradycji niż do wolnorynkowej doktryny spod znaku choćby Friedricha von Hayeka. „Niedługo nadejdzie dzień, kiedy to [...] na Sejmie obok biało-czerwonej i europejskiej powiewać będzie dumnie tęcza flaga” – oznajmiła niedawno wybrana z list KO Klaudia Jachira. Niestety, ale pod względem ideowym PO dryfuje raczej w stronę poseła Jachiry czy posła Sterczewskiego niż Ireneusza Rasia czy nawet Grzegorza Schetyny.

Tusk, jeżeli uda mu się objąć stery władzy, znajdzie się pod wpływem kręgów unijnych, młodszych kolegów, koalicjantów, jak również własnego elektoratu. Presja będzie zbyt wielka, by się jej oprzeć – Tusk będzie musiał zacząć wprowadzać obyczajową rewolucję nad Wisłą albo ustąpić miejsca komuś, kto będzie bardziej oddany sprawie progresywnego pochodu.

Przechrzył Platformy na lewo jest widoczny nie tylko w sferze obyczajowej. PO wydaje się już na dobre rezygnować ze swoich wolnorynkowych korzeni, budując na unijną modłę socjalliberalną hybrydę, która polega na liberalizmie obyczajowym oraz rozbudowanym pakiecie socjalnym. Donald Tusk w zdecydowany sposób deklaruje, że nie pozwoli zlikwidować programu „500+”, przyznaje, że podniesienie wieku emerytalnego

Warto również zauważyć, że propozycja czterodniowego tygodnia pracy idzie jeszcze dalej niż pomysły radykalnie lewicowej partii Razem, która domagała się zmniejszenia ustawowego tygodnia pracy do 35 godzin.

ZAPOWIEDŹ REWOLTY

Jak było wyżej wzmiankowane, obietnica zmiany prawa aborcyjnego nie sprowadza się do prostej korekty przepisów, ale oznacza całkowitą rewolucję w polskim porządku prawnym. Sprawa przerywania ciąży jest regulowana przez ustawę zasadniczą oraz orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, dlatego nie można tego prawa zmienić, nie posiadając w Sejmie większości konstytucyjnej. Konstatacja jest prosta – PO nie będzie zależało na legalnym załatwieniu zmiany prawa, tylko na wywróceniu stolika i wyminanie całego Trybunału pod pretekstem liberalizacji prawa aborcyjnego.

Podczas niedawnego spotkania w Stargardzie Donald Tusk całkiem otwarcie stwierdził, że decyzje, jakie PiS podejmował wobec sądów, są nielegalne, że „ich nie ma”. A skoro ich nie ma, to wystarczy wygrać wybory, aby przywrócić „praworządność” w kraju. – Nie będzie trzeba ani jednej, ani stu ustaw. Trzeba będzie kilku odważnych ludzi, którzy wyproszą panie i panów, którzy nielegalnie zajmują miejsca, i wyprowadzi się ich z budynku – przekonywał. W bardzo podobnym

Donie kilka tygodni wcześniej lider PO wypowiadał się podczas spotkania w Puławach, gdzie przekonywał, że decyzje PiS nie muszą być uchylane za pomocą ustaw właśnie ze względu na swoją rzekomą nielegalność. W rozmowie z portalem naTemat polityk przyznał natomiast (w kontekście planowanych zmian w TVP), że nie będzie bawił się w zmiany za pomocą ustaw, gdyż po prostu obawia się prezydenckich wet.

Przełomowość tych zapewnień polega na tym, że o ile PiS po przejęciu władzy faktycznie przejechał się walcem po wymiarze sprawiedliwości, dokonując wymiany personalnej i dewastując – i tak nieszczególnie mocny – autorytet Trybunału Konstytucyjnego, o tyle jednak nigdy nie podważał dotychczasowego (wydanego za czasów PO) orzecnictwa polskich sądów. Tusk jawi się w tej perspektywie jako prawdziwy rewolucjonista. Jeżeli lider Platformy Obywatelskiej nie uznaje legalności obecnych instytucji państwa polskiego i arbitralnie decyduje,

go prokuratora”. Któż mógłby się podjąć tego zadania? Marszałek Senatu Tomasz Grodzki oraz Radosław Sikorski sugerowali niedawno, że na stanowisku prokuratora generalnego widzieliby Romana Giertycha. Tusk już w 2019 r. popierał start mecenasa z list KO. „Prawdziwy bat na faryzeusza. Mieliby z nim urwanie głowy. Szczególnie na Żoliborzu” – przekonywał wówczas.

Plan „depisyacji” Polski jest zakrojony dość szeroko. Tusk podczas spotkania z wyborcami w Lublinie otwarcie mówił, że odpowiedzialność karną będą musiały ponieść nie konkretne osoby, ale „setki funkcjonariuszy PiS”. W te setki należy wliczać nie tylko polityków, lecz także działaczy partyjnych, a nawet dziennikarzy. – Ci ludzie też trafiają do więzienia, trafiają na ławę oskarżonych i to musi być rozliczone – podkreślał wiceprzewodniczący PO Borys Budka.

Notabene kwestia telewizji publicznej to kolejny temat spędzający sen z powiek działaczy PO. Ich zapowiedzi wahają się

usłyszał. Tusk więcej nie pozwolił sobie na taką nonszalanecję i ograniczył się do występów w zaprzyjaźnionych, w pełni bezpiecznych mediach. Okazało się, że takie grono jest na tyle wąskie, że nawet obecna „Rzeczpospolita” się do niego nie zalicza. Jacek Nizinkiewicz, jeden z dziennikarzy gazety, narzekał ostatnio na Twitterze, że lider PO od lat nie chce się zgodzić na rozmowę z dziennikiem. Tusk przywykł do TVP spod znaku Piotra Kraśki i Tomasza Lisa i liczy, że niedługo ten stan rzeczy powróci.

„EUROPEIZACJA” POLSKI

Naczelny postulat „europeizacji” polega rzecz jasna na zakończeniu obecnej buńczucznej retoryki PiS i podporządkowaniu się wymogom Brukseli w celu dalszego pogłębiania unijnej integracji. Pod pretekstem kryzysu gospodarczego Tusk wprowadził do debaty publicznej postulat „pełnej integracji” z Unią Europejską.

– Chodzi o to, żeby UE stała się wspólnotą polityczną, która na gruncie podzielanych wartości jest w stanie zbudować wspólną politykę zagraniczną – mówił podczas spotkania na Uniwersytecie Rzeszowskim.

Jednak Unia w planach Tuska ma stać się nie tylko „wspólnotą polityczną”, lecz także wspólnotą gospodarczą z prawdziwego zdarzenia. Dlatego też lider PO otwarcie opowiada się za zastąpieniem polskiej złotówki unijną walutą. – Teraz mamy okres turbulencji, który potrwa dwa lata, po tym okresie można na poważnie przystąpić do procesu przyjęcia euro – deklarował.

Oczywiste jest, że również z punktu widzenia „unijczyków” to właśnie Donald Tusk jest naturalnym punktem oparcia. Elity UE właściwie nie kryją się z nadzieją, że „ich człowiek w Warszawie” ponownie sięgnie po stery władzy. – Drogi Donaldzie, uosabiasz nasze wartości. Teraz wracasz do swojego kraju, aby ich bronić – stwierdziła Ursula von der Leyen, gdy kilka tygodni temu Donald Tusk ustąpił z funkcji szefa Europejskiej Partii Ludowej. – Kiedy znów się spotkamy, zobaczę cię, jak powiedziałeś, jako premiera – podkreśliła szefowa Komisji Europejskiej. Trudno w tych słowach nie dopatrzeć się nadziei nie tylko na zmianę władzy nad Wisłą, lecz także na rychłą „europeizację” państwa polskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Plan „depisyacji” Polski jest zakrojony dość szeroko. Tusk podczas spotkania z wyborcami w Lublinie otwarcie mówił, że odpowiedzialność karną będą musiały ponieść nie konkretne osoby, ale „setki funkcjonariuszy PiS”

które z nich po zmianie władzy zachowają ciągłość, a które nie będą miały tego szczęścia, to de facto dąży do wdrożenia dualizmu prawnego.

„Kilku odważnych panów”, którzy mają wyrzucić nieakceptowanych przez PO sędziów, to jednak jedynie fragment szerszego programu dotyczącego naczelnej obietnicy, jaką opozycja od siedmiu lat składa swoim najbardziej radykalnym wyborcom – obietnicy zemsty.

W rozmowie z „Gazetą Wyborczą” Donald Tusk zapewniał, że Jarosław Kaczyński „za to, co robi i zrobił, poniesie naprawdę bardzo dużą cenę”. Z kolei wiceprzewodnicząca PO Izabela Leszczyna wprost straszyła polityków PiS więzieniem. Jak zapewniała w rozmowie z „Rzeczpospolitą”, za opóźnienie związane z KPO prezes Kaczyński, premier Morawiecki oraz minister Ziobro powinni trafić do więzienia. W rozmowie z portalem naTemat Tusk stwierdził z kolei, że po kolejnych wyborach przyszłość prezesa PiS będzie w rękach „niezależne-

od „uzdrowienia” TVP do jej likwidacji. – To będzie jedna z tych spraw, które podejmę pierwszego dnia [...]. Mamy już gotowy cały pakiet decyzji, które pozwolą Polakom odzyskać media publiczne z rąk PiS-owskich partyjniaków – deklarował Tusk w wywiadzie dla naTemat. Na marginesie warto przypomnieć, że niemal rok temu politycy opozycji zbierali podpisy pod projektem w ogóle likwidującym TVP Info.

Z wypowiedzi samego Tuska wynika jednak, że zależy mu nie tyle na likwidacji TVP, ile na przekręceniu jej na swoją modłę, jak za dawnych lat. Politycy Platformy szczytą się tym, że ich lider się nie chowa i odważnie stawia czoła dziennikarzom. Tylko że to nie jest prawda. Głośnym echem odbił się wywiad, jakiego Tusk udzielił kilka miesięcy temu Patrycjuszowi Wyździe z Wirtualnej Polski, gdzie lider PO nieopatrznie zgodził się wystąpić na żywo. Wyżda zadawał proste pytanie – jak PO naprawi to, co popsuł PiS, ale konkretnej odpowiedzi nie



Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Ryszard Gromadzki

Hegemon i marionetki



RYSZARD GROMADZKI: Czy wojna na Ukrainie i suma związanych z nią kryzysów, przede wszystkim energetycznego, to dobry moment na finalizację unijnego superpaństwa pod auspicjami Niemiec?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Pytanie jest złożone, bo ci, którzy promują ten projekt, pewnie tak sądzą. Ich zdaniem trzeba wykorzystać obecny kryzys, żeby jeszcze wzmocnić integrację europejską. Stąd mówi się o konieczności zniesienia zasady jednomyślności, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Podobnie jak to było w czasie kryzysu finansowego, migracyjnego czy ostatniego kryzysu związanego z epidemią COVID-19, za każdym razem prowadziło to do zwiększenia kompetencji Komisji Europejskiej i instytucji unijnych. Przykładem może być cały ten ogromny program odbudowy i rekonstrukcji gospodarki, z którego nie otrzymaliśmy ani grosza, który pozwala, co uważa się za przełomowy moment w integracji europejskiej, zadłużać się Komisji Europejskiej. Podobnie było z kryzysem finansowym, kiedy powstał tzw. semestr europejski. Usiłowano także rozszerzyć kompetencje unijne w czasie kryzysu migracyjnego, co jednak zostało zablokowane dzięki oporowi Grupy Wyszehradzkiej. Jednak ciągle w planach jest rewizja konwencji dublińskiej i ustalenie stałego mechanizmu relokacji oczywiście pod nadzorem Komisji Europejskiej.

Jednym słowem, na fali wszystkich tych kryzysów Komisja zyskała silne uprawnienia w dziedzinie polityki migracyjnej, energetycznej, finansowej, kontroli budżetu. To dążenie do poszerzenia kompetencji przez główne instytucje unijne pojawia się także teraz. Jednak tym razem mamy do czynienia z kryzysem innym, wyjątkowo poważnym, w którym objawiła się zasadnicza słabość Unii Europejskiej, zwłaszcza kraju o najsilniejszej gospodarce w Unii, czyli Niemiec. Słabość wynikająca z bardzo silnego uzależnienia energetycznego – i co za tym idzie, politycznego – od Rosji.

Dodajmy do tego indolencję militarną...

Słabość militarna była znana, bo Unia nie jest przecież paktem militarnym, a i poszczególne kraje uznały, że nie ma już zagrożenia wojną w Europie, i zaczęły się rozbrajać. Znowu dotyczy to głównie Niemiec. Słabość Unii, którą ujawnił obecny kryzys, jest funkcją całkowicie błędnej polityki prowadzonej przez wiodące państwa UE, opartej na dobrych relacjach z Rosją. Przypomnijmy, że tuż przed swoim odejściem Angela Merkel razem z prezydentem Macronem chciała zwoływać szczyt Unia – Rosja.

Czy to jest dobry moment na przyspieszenie budowy unijnego superpaństwa? Prawdopodobnie, gdybyśmy

popatrzyli realistycznie, jest to najgorszy okres z możliwych. Można powiedzieć, że jest to czas, w którym elity europejskie czy centra władzy europejskiej powinny dokonać głębokiej refleksji, samokrytycznego rachunku sumienia.

Tej samokrytycznej refleksji jednak nie widać. Kanclerz Niemiec Olaf Scholz nawołuje państwa Unii do wyjścia ze skorupy nacjonalizmów, ale same Niemcy prowadzą skrajnie egoistyczną politykę.

No właśnie. Jednak ich egoistyczny interes zawsze jest utożsamiany z dobrem Europy. I mają na każdy kryzys jedną odpowiedź: „Więcej Europy”, czyli więcej Unii, więcej centralizacji. Według kanclerza Niemcy są gotowe przejąć odpowiedzialność za Unię, jako jej największy kraj. Odpowiedzialność „za Unię i w świecie” – tak to dokładnie sformułował.

Czy ta nieskrywana już chęć do przejęcia przywództwa w Unii przez Niemcy to nowa jakość, otwierająca drogę do ich pełnej hegemonii w Europie?

Nie traktowałbym tych deklaracji jako przejawu nowej politycznej jakości, lecz raczej jako dowód słabości. Oczywiście w sytuacji kryzysu wszyscy centraliści patrzą w stronę Berlina i oczekują od Niemiec, żeby zrobiły coś więcej, żeby wzięły na siebie odpowiedzialność. Kanclerz Scholz tego nie robi, więc jest bardzo duże zaniepokojenie, także w kręgach

narodowo-konserwatywnych w Niemczech, że ta rola przywódcza Niemiec się kończy. W mojej ocenie deklaracja Scholza była obliczona na uspokojenie tych kręgów, obawiających się, że Niemcy przestaną pełnić swą funkcję hegemonu. Za czasów Angeli Merkel chciano ją uczynić kimś w rodzaju „pierwszej świętej” Unii Europejskiej. Ileż pochwał służyło na Niemcy! Unia za jej kolejnych kadencji szła w dobrze zdefiniowanym kierunku. Jeśli chodzi o gospodarkę, to wyznaczał go dogmat o niskoemisyjności i odejściu od węgla i atomu. Integracja postępowała naprzód metodą skutków ubocznych. Co do roli w świecie, Unia pod auspicjami Niemiec i Francji miała ambicje stać się podmiotem nieomal równym Stanom Zjednoczonym, a także Chinom i Rosji. Za kadencji prezydenta Trumpa Unia była wręcz antyamerykańska. Kiedy prezydentem został Joe Biden, wydawało się, że USA wycofają się z Europy i zostawią jej zarządzanie najsilniejszym państwom, a więc Niemcom i Francji do spółki.

Moim zdaniem artykuł Scholza, o którym rozmawiamy, ma uspokoić zmartwionych kryzysem niemieckiej polityki. Chodziło o to, żeby skierować optymistyczny przekaz do wszystkich oczekujących od Niemiec przywództwa. Musimy sobie zdawać sprawę, że jest ich bardzo wielu. To nie jest tak, że to same Niemcy narzucają innym swoją dominację. Przypomnijmy, że kiedyś minister spraw zagranicznych Polski wzywał Niemcy do odważnego przywództwa.

A jakże, pamiętamy mowę Radosława Sikorskiego do niemieckich elit...

No tak, ale on wyrażał tylko powszechne panujące nastroje. Gdyby pan zapytał polityków z takich państw jak Luksemburg, Belgia czy Austria, być może także z krajów bałtyckich, oni pewnie uznaliby przywództwo Niemiec za korzystne dla Europy. Pytanie: Czego naprawdę by chcieli? Na czym by to przywództwo Niemiec miało polegać?

To tęsknota za czymś w rodzaju europejskiej Rzeszy?

Państwa bałtyckie na pewno chętnie widziałyby większe zaangażowanie militarne Niemiec na ich rzecz. Dostawy broni, pomocy w przeorientowaniu swojej polityki energetycznej. Inni liczą na finansową i gospodarczą siłę Niemiec. Kanclerz Scholz zapewnia: „Tak, tak, możecie na nas liczyć. Nie uchylamy się od odpowie-

dzialności. Chętnie ją przyjmujemy. Już nie jesteśmy hegemonem niechętnym czy zmuszonym do roli przywódczej. Jesteśmy gotowi ją przejąć, aby Europa stała się silnym podmiotem polityki międzynarodowej”. Ale, realnie rzecz biorąc, przywództwo Niemiec musiałoby oznaczać, że są one w stanie przewartościować całą swoją dotychczasową politykę. Nic na to nie wskazuje.

W swojej mowie kanclerz mówił także o Europie jako „podmiocie geopolitycznym”. Przypomnę, że Ursula von der Leyen też stwierdziła, że jej Komisja jest „geopolityczna” w przeciwieństwie do „politycznej” Komisji Junckera. Już jego Komisja była zapowiedzią czegoś nowego, bo przecież w założeniu nie miała być ona ciałem politycznym, tylko pilnującym przestrzegania traktatów i administrującym dotacjami w zakresie swoich ograniczonych kompetencji. Teraz zdecydowanie chce być nadrzędem.

Z aspiracjami globalnego gracza.

Z aspiracjami globalnego gracza, przy czym określenia wymaga rzeczywista relacja, układ sił między Berlinem a Brukselą jako centrum administracyjnym. Jeżeli kanclerz Scholz mówi, że „my, Niemcy, chcemy przejąć odpowiedzialność za Europę”, to przecież znaczy, że centrum władzy politycznej miałby być Berlin, a nie Bruksela. Rozumiem, że kanclerz mówi o przejęciu tej odpowiedzialności „do spółki” – także z Paryżem. Później pojawiło się oświadczenie ważnego niemieckiego polityka Wolfganga Schäuble, obecnie w opozycji, żeby Polska przyłączyła się do tego kierownictwa.

Chyba nie można brać oferty Schäuble’a za dobrą monetę? Trudno uwierzyć, żeby Niemcy zgodzili się na pełnoprawne partnerstwo z Warszawą w sytuacji, gdy Polska jawi się jako główna przeszkoda w ich dążeniu do zdominowania Europy.

Wolfgang Schäuble już nie jest potężnym ministrem finansów, nie jest przewodniczącym parlamentu, jest politykiem opozycji. Pogląd, że architektura polityczna Europy powinna wspierać się na trzech państwach w jej centrum – Niemczech, Francji i Polsce – nie jest nowy. Na tej idei budowano mało skuteczny Trójkąt Weimarski.

Spytałbym w ten sposób – gdybyśmy potraktowali tę ofertę poważnie, to co miałyby ona oznaczać? Gdyby miała ona oznaczać, że Polska będzie współkształtować politykę europejską i nasze postulaty w tej polityce europejskiej znajdą odpowiednie

miejsce, tak jak do tej pory miejsce znajdowały postulaty Niemiec czy Francji. Jeżeli Francja chciała uznać energię jądrową za element polityki zrównoważonego rozwoju, to zostało to uznane. Jeżeli chciała coś uzyskać w dziedzinie praw autorskich, to też to uzyskała. Udział w przywództwie musiałby oznaczać, że to, co my postulujemy, stało się częścią polityki unijnej. Nasze postulaty są znane – przeciwstawienie się rosyjskiemu neoimperializmowi, Unia oparta na wartościach chrześcijańskich, jasne rozgraniczenie kompetencji między instytucjami unijnymi a państwami, ograniczenie kompetencji instytucji unijnych, równość państw członkowskich wobec prawa, zakaz ingerowania Komisji Europejskiej w dziedziny zastrzeżone dla państw narodowych, takie jak wymiar sprawiedliwości czy kultura.

Z taką agendą jesteśmy w ostrej kolizji z polityką realizowaną przez Komisję Europejską i inne instytucje unijne. Polityką autoryzowaną przez rządy w Berlinie i Paryżu.

No tak, ale to uwzględnienie naszych postulatów oznaczałoby uczestnictwo w przywództwie. Takiej oferty na pewno byśmy nie odrzucili. Wręcz przeciwnie – my chcemy mieć wpływ na politykę europejską. Chcielibyśmy także np. przewartościowania polityki energetycznej, być może potrzebna jest krytyczna rewizja Zielonego Ładu, powinniśmy się zastanowić, w jakim stopniu należy utrzymać produkcję energii ze źródeł kopalnych itd. Jeżeli to znaczyłaby ta propozycja – że nasze zdanie liczy się w Europie tak jak zdanie Niemiec i Francji, że my współkształtujemy Europę – to myślę, że do tego powinniśmy wręcz dążyć.

Tylko że należy się obawiać, że Wolfgang Schäuble ma co innego na myśli. On proponuje dokładnie to, co działo się w ramach Trójkąta Weimarskiego. Owszem, dołączcie, ale macie mówić i robić tak, jak my chcemy. My nie mamy zamiaru rezygnować z własnego zdania i własnej polityki europejskiej, np. jeśli chodzi o politykę wobec Rosji, to wskazujemy jasno, jak trzeba postępować. Cały czas czekamy na te czołgi obiecywane przez Niemcy. Kiedyś proponowaliśmy nasz udział w budowie nowego czołgu europejskiego – nie zostało to przyjęte. Prosiłiśmy o rezygnację z Nord Stream 1 i potem Nord Stream 2. Nie zostało to wysłuchane. Problem nie leży więc po naszej stronie. Dlaczego mielibyśmy odrzucać współpracę z sąsiednimi narodami, także z takimi jak Niemcy, z którymi

dzieli nas ciągle przez nich nieprzemysłana i przewyciężona historia? To arogancja kolejnych rządów Niemiec sprawia, że do tego współudziału w przywództwie nie dochodzi. Ale oferta Schäublego znaczy coś innego niż prawdziwe partnerstwo, chyba że źle ją odczytałem.

Myślę, że odczytał pan ją trafnie, panie profesorze.

Chciałbym jednak zobaczyć odpowiedź na tę ofertę ze strony prezesa Kaczyńskiego czy premiera Morawieckiego. Może na łamach waszego tygodnika, może jakiegoś polskiego dziennika. Tak, Polska też chce przejąć odpowiedzialność za Unię Europejską, tak jak proponuje Schäuble. Rozumiemy niepokój kanclerza Scholza, ale przecież Niemcy nie mogą same decydować o losie Europy, zwłaszcza po popełnionych przez nich błędach.

Nasza propozycja opiera się na Europie chrześcijańskich wartości, Europie ojczyzn, solidarności dobrowolnej, a nie przymusowej. Daliśmy jako społeczeństwo przykład takiej prawdziwej solidarności wobec milionów ukraińskich uchodźców. Nikt nas nie musiał do niczego przymuszać. Pokazaliśmy też, że jesteśmy gotowi zaryzykować własne bezpieczeństwo. Być może byłoby dobrze, gdyby taka postawa, takie rozumienie polityki stały się zasadą europejskiej polityki. Niewątpliwie Europa, Unia Europejska byłaby wówczas w lepszym stanie.

W jakim stopniu w polityce niemieckiej obecne jest poczucie cywilizacyjnej wyższości nad narodami Europy Wschodniej, takimi jak Polacy? Czy właśnie to poczucie nie uzasadnia ciągłego parcia Niemiec do przywództwa w Europie?

Jak wiemy z historii, zwłaszcza jeśli chodzi o Europę Środkowo-Wschodnią, to poczucie występowało bardzo mocno w niemieckiej myśli politycznej, w mentalności zbiorowej. W filozofii niemieckiej, w niemieckim idealizmie, w literaturze romantycznej znajdziemy przekonanie o posłannictwie Niemiec. W II Rzeszy to posłannictwo przybiera skrajnie kolonizatorskie, często rasistowskie formy w odniesieniu do narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Po tym wszystkim przyszła ta straszliwa klęska militarna, moralna, cywilizacyjna, jaką była III Rzesza, wywołana przez nią druga wojna światowa i jej klęska.

Niemcy to naród, który niesie na sobie to piętno, które oczywiście usiłuje zmyć, o którym usiłuje zapomnieć, ale które ciągle istnieje. Z tego piętna Niemcy zrećnie robią nowe posłannictwo, wy-

prowadzają z niego swoje nowe, moralne uprzywilejowanie. Przypisują sobie obowiązek stania na straży, żeby gdzieś przypadkiem – szczególnie zaś w Polsce – nie odrodził się radykalny nacjonalizm, który może prowadzić do tego, do czego ich nacjonalizm doprowadził w III Rzeszy. To ma być dziś szczególna misja Niemców. Dodajmy do tego siłę materialną, czyli dobrze prosperującą gospodarkę i swoistą pyszałkowatość moralną związaną z Willkommenskultur oraz samookreślenie się tylko trochę ironicznie jako „mocarstwo moralne”. Niemców umacniały w dobrym samopoczuciu zachwyty płynące ze świata. Nie kto inny jak prezydent Obama mówił o Angeli Merkel jako o „liderze wolnego świata”.

Reasumując, ta arogancja, o którą pan pytał, splątana w jakiś sposób z kompleksem winy, jest wciąż obecna w niemieckiej polityce. Ale pozycję Niemiec i ich politykę określa przede wszystkim potencjał gospodarczy. To przekłada się też na ich rolę w instytucjach europejskich, gdzie na kluczowych stanowiskach jest wielu Niemców. Trzeba dodać, że pozycja Niemiec opiera się też na sile nauki i przemysłu.

Można mówić w takim razie o efekcie niemieckiej soft power?

Taka soft to ona znowu nie jest (śmiech), wymuszanie decyzji politycznych czy gospodarczych na partnerach w Unii to dobitnie pokazuje. Soft power w klasycznym rozumieniu oznacza siłę atrakcji, przyciągania. Soft power oznacza, że jakieś państwo ma taki „seksapil”, że przyciąga, że budzi zachwyt. Stany Zjednoczone fascynowały ludzi na świecie swoją kulturą, stylem bycia Amerykanów. Wcześniej taką siłę przyciągania miała kultura francuska. Takiej soft power Niemcy nie mają. Na pewno nie w naszym regionie, na pewno nie mają jej w Polsce.

Czy „partia niemiecka” w Polsce uosabiana przez Donalda Tuska i Platformę Obywatelską ma szansę na sukces? Czy Tuskwowi uda się „zeuropeizować” Polaków na niemiecką modłę?

Myślę, że nie. Powrót do metod, przy pomocy których partia Tuska rządziła od 2007 r., nie jest już możliwy. Wtedy Platforma chwyciła się wręcz związku z Niemcami, potępiając jednocześnie rząd PiS za egzotyczne sojusze, proamerykańskość. Kiedy ówczesni ministrowie spraw zagranicznych obwozili się z ministrami spraw zagranicznych Niemiec, a Donald Tusk był obсыpany nagrodami, wtedy to

jeszcze Polakom w jakiś sposób imponowało. Myślę, że tzw. światła część Polaków uważała, że współczesne Niemcy są inne, demokratyczne. Nie mamy z nimi żadnego konfliktu interesów i jest wspaniale, gdy nasi politycy pokazują się z Angielką Merkel.

Dzisiaj nawet w samych Niemczech dziedzictwo Angeli Merkel interpretuje się inaczej. Dziś siła Niemiec, o czym mówiłem, odnosząc się do artykułu kanclerza Scholza, jest w kryzysie. Nie wiadomo, czy model gospodarki oparty na taniej energii z Rosji, na globalizacji, na dość ograniczonej konsumpcji wewnętrznej i ekspansji gospodarczej, handlu zagranicznym, na zewnątrz, nie upadnie z hukiem zamiast zostać odpowiednio zreformowany. Tego jeszcze nie wiemy. Być może Niemcy osiągnęły apogeum swej potęgi gdzieś w środku kadencji Angeli Merkel, a teraz, przynajmniej na jakiś czas, pogrążą się w stagnacji. Był już taki kryzys i marazm u schyłku kadencji kanclerza Kohla. To, że Polacy patrzą dziś bardziej realnie na politykę niemiecką, sprawia, że proniemieckość to już nie jest atut, który Tusk mógłby wykorzystać, żeby przyciągnąć do siebie wyborców. Raczej nie zaprosi na swój wiec wyborczy Angeli Merkel czy Gerharda Schrödera. Tusk pewnie nie przyjąłby już dziś żadnej nagrody, która kojarzyłaby się z tamtą polityką, tak skompromitowaną. Ludzie PO przestali już szermować argumentem, że PiS w zasadzie wspiera Putina, bo jest przeciw dalszej integracji europejskiej. Dziś nawet najmniej interesujący się polityką obywatel wie, że to bzdura.

Swojej szansy Tusk upatruje więc przede wszystkim w naszych własnych błędach, w inflacji, w kryzysie związanym z wojną, który nas pewnie dotknie. Liczy, że w tym zamęcie uda się jeszcze raz przekonać Polaków, że on to nie ten sam Tusk, który przechadzał się po moło w Sopocie z Putinem, stawiał na reset z Moskwą, który uprawiał politykę ciepłej wody w kranie itd. Wracając raz jeszcze do naszego partnerstwa z Niemcami w europejskim przywództwie, myślę, że chodzi raczej o to, byśmy gładko wpisywali się w politykę Niemiec i Francji, a nie byśmy byli ich suwerennym partnerem. Przecież i w Brukseli, i w Berlinie nie ukrywa się nadziei, że w Polsce uda się zainstalować tzw. rząd proeuropejski, czy to z Donaldem Tuskiem, czy to z kimś innym – rząd marionetkowy, musimy sobie powiedzieć wprost. Jeszcze bardziej marionetkowy niż w latach 2007–2015, kiedy Platforma rządziła z PSL.

Powrót bojówkarzy



W Gnieźnie obrzucono kamieniami (według innej wersji – jajkami) kolumnę samochodów, w której jechał Jarosław Kaczyński FOT. WIELKOPOLSKA POLICJA/TWITTER.COM



Rafał A. Ziemkiewicz

Bojówkarze atakują wychodzących ze spotkania z prezesem PiS i rzucają w jego samochód w poczuciu całkowitej bezkarności. Największą zagadką jest to, dlaczego są tak przez opozycję hołubieni. W ostatecznym rozrachunku wszystkie te nikczemne zachowania nie przynoszą PO i jej akolitom żadnego zysku, przeciwnie – kompromitują i zniechęcają do niej „normalsów”

Nie trzeba było długo czekać na spełnienie zapowiedzi Donalda Tuska: „Będziemy umieli się zorganizować na ulicy” i pogrożek o „silnych ludziach”. Na razie „silni ludzie” zaatakowali w Kórniku i Gnieźnie. W pierwszej z tych miejscowości na cel wzięli wychodzącą ze spotkania z Jarosławem Kaczyńskim publiczność; przypadkowi ludzie byli opluwani, obrzucani wulgarnymi wyzwiskami, próbowano też ich szarpać i popychać (wśród celów agresji znalazła się też żona prof. Stanisława Żerki, który pierwszy nagłośnił sprawę). W Gnieźnie z kolei obrzucono kamieniami (według innej wersji – jajkami) kolumnę samochodów, w której jechał Jarosław Kaczyński. Jeden ze sprawców pochwalił się nagraniem w sieci.

Oba wypadki zwolennicy PO obsypali pochwałami w mediach społecznościowych. Była wiceprezydent Poznania cieszyła się, że „przyjechał jak panisko, a tu policja ledwie zdążyła go obronić przed oburzonym społeczeństwem”, PO-wscy dziennikarze zaczęli natychmiast relatywizować zdarzenie, twierdząc, że to tylko odpowiedź na „agresywne słowa” Kaczyńskiego i zachowanie jego zwolenników, a prosi, przeważnie ukryci za pseudonimami zwolennicy opozycji zaczęli zapowiadać „PiS-owcom”: „Niedługo zaczniemy was nap.....ć bejzbolami i nożami”.

SIEROTY PO NADZIEJACH NA PRZEWÓRÓT

Z jednej strony przekroczono kolejne granice, z drugiej – znowu to samo. Od ośmiu lat przecież Platforma Obywatelska, jej „przystawki” i wspierające ją lewicowo-liberalne media konsekwentnie stosują wobec PiS zasadę: więcej tego samego, co się dotąd nie sprawdziło. I choć postępowanie takie doskonale pasuje do przypisywanej Albertowi Einsteinowi definicji głupoty (robienie wciąż tego samego w taki sam sposób w przekonaniu, że za którymś razem rezultat będzie inny), to nie widać w intelektualnym zapleczu opozycji żadnych wątpliwości, że dotychczasowe niepowodzenia wynikają nie z błędnych założeń, ale z niewystarczająco bezkompromisowego wprowadzania tych założeń w życie. „Wciąż jesteśmy zbyt delikatni, zbyt uprzejmi, wciąż mamy za dużo skrupułów” – przekonują siebie nawzajem działacze i autorytety opozycji. Jak widać – skutecznie.

Bojówkarskie ataki na wiece PiS i na publiczne spotkania prezesa partii, premiera

czy prezydenta są tylko częścią tego zjawiska. W pierwszych miesiącach po podwójnej wyborczej klęsce opozycja krzepiła się wiarą, że zdoła wyprowadzić na ulice miliony – tak zapowiadała, przemawiając na jednym z pierwszych marszów KOD, „niezależny dziennikarz” Tomasz Lis, a Lech Wałęsa dodawał, że wtedy „PiS-owcy będą z okien skakać”, i z właściwym sobie wdziękiem obiecywał, że osobiście stanie na czele protestujących, kiedy będzie ich „kilką milionów”. Zryw, podczas którego udawało się zgromadzić do kilkudziesięciu tysięcy zwolenników opozycji (propagandowo mnożone przez warszawski Ratusz pięciokrotnie), trafiły się jednak przez tych osiem lat zaledwie kilkakrotnie i żadnego z nich długo nie dawało się powtórzyć.

Jako sieroty po nadziejach na uliczny przewrót pozostała Platformie grupka najbardziej zagorzałych zadymiarzy, sama siebie nazywająca dumnie „opozycją uliczną”. To oni od ośmiu lat jeżdżą po całej Polsce za liderami PiS, urządzając „kocią muzykę”. Przez wiele miesięcy co wieczór ustawiali pikety pod siedzibą TVP, atakowali Marsze Smoleńskie, usiłowali blokować manifestacje patriotyczne i zakłócać trąbieniem i wykrzykiwaniem obelg oficjalne ceremonie i obchody rocznic. Paweł Kasprzak, „Babcia Kasia” Adamczyk, „Farmazon” Jagielski, Arkadiusz Szczurek, Ewa Podleśna, Marta Lempart i kilkanaście innych osób stali się dzięki tej aktywności bohaterami lewicowo-liberalnych mediów, także zagranicznych, gdzie występowali jako „liderzy obywatelskiego sprzeciwu” przeciwko „katolicko-nacjonalistycznemu reżimowi”. Znaną z najbardziej prymitywnych i agresywnych zachowań „Babcie Kasię” warszawska PO zgłosiła nawet do tytułu honorowego obywatela miasta, choć poza wyzywaniem policjantek od najgorszych nie odznaczyła się ona żadną inną aktywnością.

WOJNA ŚWIATÓW

W dużym stopniu ich występy przypominały scenę z filmu Piotra Szulkina „Wojna światów”. Widzimy jednocześnie małą grupkę ludzi na ulicy i uwijających się wokół nich kamerzystów, a jednocześnie, na telebimach, mamy efekt pracy tych kamerzystów: transmisję masowej, tłumnej manifestacji, wypełniającej szczerlnie cały kadr. Działania „opozycji ulicznej” były głównie stwarzaniem pozorów na użytek zagranicy (w transmisjach z Parlamentu Europejskiego można było wiele razy słyszeć, że opozycję popiera „80 proc. Polaków”, czego

dowodzą „milionowe manifestacje przeciwko rządowi”). Zapewne dlatego właśnie, że media państwowe bezlitośnie przekłuwają balon tej propagandy, stały się one jednym z celów ukierunkowanej agresji. Dziennikarki TVP Info, relacjonujące protesty, były wyzywane, opluwane, ogłuszano je, wrzeszcząc im i trąbiąc na wuwuzelach z bliska w uszy, a Magdalena Ogórek została zaatakowana przez bojówkę, gdy wracała do domu po programie.

W czasie, gdy jedni kamerzyści TVN24 kadrowali coraz bardziej agresywne pikety tak, aby wydawały się masowymi manifestacjami, inni filmowali ustawiane wokół Sejmu policyjne barierki i ochroniarzy polityków. Te zdjęcia ilustrowały niezliczone materiały, judzące, że „ta władza boi się obywateli, odgradza się od nich barierkami, kordonami policji, chowa się przed społeczeństwem za plecami ochroniarzy”. To judzenie i wmawianie, że ochrona polityka to przejaw bizantyjskiego przepychu władzy, pośrednio spowodowało śmierć Pawła Adamowicza, który – intensywnie atakowany wtedy jako „zdradca” przez PO i jej media – zapewne z tego powodu demonstracyjnie poruszał się po mieście bez ochroniarza.

Nie był on jedyną ofiarą wytwarzanej przez opozycję psychozy. Co najmniej dwie osoby straciły wskutek nienawistnej propagandy antypisu życie. Oprócz Dariusza Rosiaka, pracownika biura PiS, zamordowanego „w zastępstwie” Kaczyńskiego, do którego mordercy nie mógł się zbliżyć, trzeba tu wymienić także warszawiaka Pawła Kulczaka pchniętego nożem przez pijanego chuligana, któremu zwrócił uwagę, gdy ten niszczył policyjne barierki przed „miesięcznicą smoleńską”, ubliżając głośno Lechowi Kaczyńskiemu i innym ofiarom. Pośrednio propaganda ta przyczyniła się także do śmierci Piotra Szczęsnego, którego popchnęła do samospalenia w proteście „przeciwko PiS”. Pozostawiony przez samobójcę pożegnalny list manifest, przez krótki czas, gdy PO próbowała wylansować jego kult, kolportowany w sieci, później pozostawiony tam tylko w drobnych fragmentach, pełen jest oskarżeń i nawet charakterystycznych fraz żywca z niej zaczerpniętych.

Do pełnego obrazu dodać tu trzeba jeszcze postępowanie Rafała Trzaskowskiego, który kilkakrotnie usiłował doprowadzić do zamieszek podczas Marszu Niepodległości oraz organizowanych przez narodowców obchodów Powstania Warszawskiego, odmawiając

zgody na nie, „rozwiązując” w pierwszych minutach po rozpoczęciu i odmawiając statusu imprezy cyklicznej. Za każdym razem mógł w tych działaniach liczyć na wsparcie jawnie opowiadających się po stronie politycznej opozycji sędziów. Ci zresztą tradycyjnie rozpinają nad „opozycją uliczną” parasol ochronny, taśmowo uniewinniając, a nawet przyznając odszkodowania za „nielegalne zatrzymanie”. Wulgarnej „Babci Kasi” przyznał ostatnio warszawski sąd 20 tys. zł za wsadzenie jej do radiowozu. Dla porównania: Maciejowi Dobrowolskiemu, „prywatnemu więźniowi Tuska”, przez dwa lata trzymanemu w areszcie śledczym przez sędziego Kussyk i sędziego Gaciarkę, dziś aktywnych w ruchu Wolnych Sądów pod stale zmienianymi, absurdalnymi zarzutami, przyznano za „przewlekłość postępowania” 4 tys. zł.

ZAPOWIEDŹ NOWEGO „CIAMAJDANU”

Nic dziwnego, że bojówkarze atakują wychodzących ze spotkania z prezesem PiS i rzucają w jego samochód w poczuć całkowitej bezkarności.

Największą jednak zagadką jest to, dlaczego są tak przez opozycję hołubieni. W ostatecznym rozrachunku wszystkie te nikczemne zachowania nie przynoszą PO i jej akolitom żadnego zysku, przeciwnie – kompromitują i zniechęcają do niej „normalistów”. Nie brak świadectw, że tak szybki uwiad frekwencji na protestach Wolnych Sądów czy Strajku Kobiet był skutkiem właśnie zniesmaczenia ich normalnych uczestników tymi, którym pozwolono tam grać pierwsze skrzypce.

W słowach Tuska wygłaszanych na jego kolejnych meet-upach znaleźć można zapowiedź, że opozycja nie uzna swej przegranej w najbliższych wyborach i będzie wzywała do urzędzenia ulicznego „ciamajdanu” przeciwko rzekomym fałszerstwom. Zakrawa to na szaleństwo, które musi się skończyć kolejnym kompromitującym „ciamajdanem”. Ale być może jest to jakiś przemyślany plan destabilizacji kraju? Być może skierowanie ataków na uczestników spotkań organizowanych przez PiS to próba sprowokowania reakcji, którą życzyliw krajowe i europejskie media już są gotowe rozdmuchać w histerię o „brutalnych prześladowaniach” opozycji, co ma być pretekstem do umówionej już zawczasu reakcji patronujących opozycji polityków Unii Europejskiej?

Obie możliwości wydają się równie prawdopodobne.

Odklejenie



Kamila Baranowska

Ostatnie publiczne popisy polityków PiS pokazują, że po siedmiu latach rządzący są coraz bardziej oderwani od rzeczywistości. W polityce to najkrótsza droga do porażki

Polska polityka musi być inna. Pokora, praca, umiar, roztropność w działaniu i odpowiedzialność. A przede wszystkim słuchanie obywateli. To są zasady, którymi będziemy się kierować. Koniec z arogancją władzy i koniec z pychą – to słowa premier Beaty

Szydło z jej exposé z 2015 r. Trzy lata później, podczas konwencji PiS w Szczecinie, premier Mateusz Morawiecki mówił do polityków PiS: – Musimy dać z siebie więcej. Nie możemy być takim ugrupowaniem tłustych kotów, bo oczywiście zwycięstwa, sondaże czasami rozleniwiają, czasami tworzą atmosferę sielskiego spokoju, ale tak nie jest. Pamiętajmy, żebyśmy zachowali naszą pracowitość, nasz umiar, naszą pokorę.

Tamte słowa padały, gdy PiS był w nieporównanie lepszej sytuacji – politycznej, międzynarodowej, gospodarczej, sondażowej – niż dzisiaj. Paradoks polega na tym, że dzisiaj, gdy politycy PiS powinni starać się i pilnować podwójnie, zaliczając wpadkę za wpadką, często zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, jak ich słowa są odbierane przez wyborców. Oderwa-

nie od rzeczywistości i coraz częstsze rozmiękanie się z oczekiwaniami i nastrojami społecznymi to dla PiS większe zagrożenie niż wszystkie wystąpienia Donalda Tuska razem wzięte.

WIZERUNKOWA KLAPA

Ostatnich kilka tygodni to wizerunkowa katastrofa. Zapoczątkował ją prezydent Andrzej Duda, który podczas jednego ze spotkań w terenie na początku lipca radził rodakom, by „trochę zaciśnėli zęby, żeby byli optymistami”. – Nikt z nas się nie spodziewał, że to na nas przyjdzie, nie wywołaliśmy wojny w Ukrainie, nie wywołaliśmy pandemii koronawirusa, nie przynieśliśmy jej tutaj – podkreślał prezydent, apelując jednocześnie, żeby ten trudny czas „jakoś przetrzymać”.



Małgorzata Gosiewska
pochwaliła się, że zamiast do
hotelu pojedzie pod namiot.
Do tekstu dołączono zdjęcia,
jak pani poseł odpoczywa
pod namiotem, jedząc
kanapki z kawiozem

wybory, stawiając się w roli rzecznika zwykłych ludzi, zgubił gdzieś tamtą wrażliwość. A sytuacji, w których politycy szeroko pojętego obozu rządzącego będą wystawiani na próby w celu złapania ich na wpadce, będzie przybywać.

Przekonał się o tym niedawno szef NBP Adam Glapiński, który został zagadnięty przez, jak się później okazało, działaczkę Agrounii podczas spaceru z żoną na sopockim moście. Kobieta zaczęła wypytywać o rosnące raty kredytów i o to, co ma zrobić, gdy nie będzie jej stać na spłatę rat. O ile sam Glapiński próbował spokojnie odpowiadać na pytania (zdradzając przy okazji plany banku centralnego dotyczące tego, że „być może w ostatnim kwartale przyszłego roku będziemy obniżać już stopy procentowe”), o tyle jego żona nie wykazała się podobnym wyczuciem.

– Wzięła pani kredyt w najniższym możliwym okresie. Stopa procentowa była 0,1. Rozumie to pani? – tłumaczyła żona Glapińskiego, podkreślając, że kobieta brała „najtańszy w historii kredyt”, a teraz ma „normalny kredyt”. Podczas gdy szef NBP wyjaśniał, że warto skorzystać z wakacji kredytowych i odroczyć spłatę rat kredytu, jego żona życzyła ich rozmówczyni „wygranej w totolotka”.

ZWIERZENIA W TABLOIDZIE

Osobną kategorią pozostają politycy dający się naciągnąć tabloidom na zwierzenia, jak to w czasach drożyzny oszczędnie spędzają swoje wakacje, a potem dziwią się, że ich słowa zostały źle zrozumiane, stając się wodą na młyn opozycji. I tak oto posłanka PiS Małgorzata Gosiewska pochwiliła się, że zamiast do hotelu pojedzie pod namiot. „Nie szaleję z wydatkami. A kupno namiotu i wyjazd do lasu to najtańsza forma wypoczynku. Każdego na to stać” – oznajmiła. Do tekstu dołączono zdjęcia, jak pani poseł odpoczywa pod namiotem, jedząc kanapki z kawiozem (sic!).

Jego słowa nie zostałyby pewnie zapamiętane i nie byłyby dziś tak cytowane, gdyby nie to, że po nich nastąpiły kolejne nieprzemyślane wypowiedzi polityków obozu władzy. Następny w kolejce był nie kto inny, jak premier Mateusz Morawiecki, który podczas wizyty w Boronowie zaapelował, by Polacy w obliczu niepewnej sytuacji z węglem i gazem ocieplili swoje domy przed zimą. – Drodzy rodacy, postarajcie się ocieplić swoje domy jeszcze przed tym sezonem grzewczym – powiedział Mateusz Morawiecki, a słowa te ukazały się na oficjalnym profilu kancelarii premiera na Twitterze.

Po krytyce, jaka posypała się na szefa rządu ze strony opozycji i internautów, wpis usunięto i zastąpiono bardziej uładzoną wersją: „Zachęcam wszystkich do skorzystania z tych programów ociepla-

nia budynków i instalacji, które obniżą koszt rachunków za ciepło i energię elektryczną nawet o 70 proc.”.

GDZIE TAMTA WRAŻLIWOŚĆ?

Mleko się jednak rozlało, bo w sytuacji, gdy Polacy boleśnie odczuwają inflację i drożyznę i z coraz większym niepokojem myślą o zimie w kontekście cen gazu, prądu i węgla, tego typu słowa z ust szefa rządu budzą jedynie irytację. Śluszenie padają tu porównania do słynnych wypowiedzi Włodzimierza Cimoszewicza, który w 1997 r. mówił powodzianom, że trzeba było się ubezpieczyć, czy do złotych rad Bronisława Komorowskiego, który w kampanii wyborczej w 2015 r. polecił młodemu człowiekowi „zmienić pracę i wziąć kredyt”. Dziwić może jedynie to, że PiS, który siedem lat temu wygrał

FOT. STANISŁAW KOWALCZAK/FAKST NEWS

■ Z kolei minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek mówił, że w ramach oszczędności jedzie do znajomych i że podczas urlopu będzie oszczędzał na jedzeniu. – Czasami coś będziemy pichcić, znajomi zaproszą na obiady, ale bez przesady, drożyzna nie oznacza, że nie można jeść. Można jeść trochę mniej i trochę taniej – wyznał. Był potem bardzo oburzony faktem, że tabloid zrobił z jego słów tytuł: „Jedźcie mniej, kupujcie taniej” i żądał od gazety sprostowania w tej sprawie. „Jedźcie mniej, kupujcie taniej» to złota rada manipulantów z »Super Expressu«. Ja natomiast potwierdzam, że z uwagi na wojnę, putinflację i drożyznę jak każdy rozsądny człowiek kupuję mniej i taniej. Coś w tym złego?” – pisał na Twitterze. „To mój pomysł na urlop, a nie zalecenie dla ogółu obywateli” – podkreślał.

Jego słowa, podobnie jak innych polityków PiS, poszły jednak w świat. – Nie będę się wyżyłśliwiał nad całą serią dziwnych wypowiedzi przedstawicieli rządu. Pamiętacie, mamy zbierać chrust, pani poseł Gosiewska zaproponowała, że jak nie stać was na wakacje, to kupcie sobie namiot i rozbijcie w lesie, pan Czarnek mówi: jedźmy mniej i taniej – wyliczał na spotkaniu w Świdnicy Donald Tusk.

W PiS wszyscy obawiają się dziś tego, jakie polityczne konsekwencje mogą mieć ostra zima i problemy z cenami gazu, prądu, z dostępem do węgla, na co nałożą się drożyzna w sklepach i rosnące raty kredytów. Lider PO doskonale zdaje sobie z tego sprawę i będzie wykorzystywał coraz większą nerwowość swoich przeciwników. – Ostatnio właśnie zaproponował [premier Morawiecki – przyp. K.B.], że jeżeli się boicie zimna, to ocieplajcie domy i mieszkania. Ja tylko informuję pana Morawieckiego, bo być może nie ma o tym pojęcia, że każdy, kto będzie chciał ocieplić dom, napotka się z bardzo przykrą informacją. Dowie się, ile podróżował styropian, ile podróżowały materiały, dzięki którym można ocieplić dom czy mieszkanie i to w ciągu roku – mówił Tusk. – Wszystkie te rady [...] to są komunikaty o kapitulacji Morawieckiego i tego rządu wobec drożyzny i inflacji – podkreślał.

„Kapitulacja wobec drożyzny i inflacji” z jednej strony, arogancja i pycha władzy z drugiej – widać, że to właśnie będą główne osie narracji opozycji w najbliższych miesiącach, jeśli nie w całej kampanii wyborczej przed wyborami

w 2023 r. Zwłaszcza że PiS sam bardzo pomaga w ich uwiarygodnianiu.

AROGANCJA WŁADZY

Nie tak dawno głośna była historia szczecińskiej radnej Małgorzaty Jacyny-Witt, która zamieściła w mediach społecznościowych zdjęcie z pola golfowego z opisem: „Jak tam chłopcy z Platformy Obywatelskiej? Haratacie w pospolitą gałę? No widzicie. A ja, z PiS-u, na najlepszym w Polsce polu golfowym i jednym z 3 najlepszych w Europie, haratam sobie w golfa z handicap 13,5”, a w kolejnych podkreślała, że należy do „elity”.

Władze partii zareagowały szybko, zawieszając ją w prawach członka partii.

Pytanie, które zawisło nad PiS, dotyczy jednak nie samej pani Jacyny-Witt, lecz tego, że podobnych zachowań na zapleczu PiS jest coraz więcej. Jeśli taka arogancja, brak wyczucia i brak zahamowań kierują szeregowych działaczyką, to czego można spodziewać się po bardziej wpływowych i wyżej postawionych działaczach?

Na początku czerwca, podczas kongresu partii, Jarosław Kaczyński zapowiadał wielką mobilizację i walkę z „syndromem tłustych kotów”

Jarosław Sellin, wiceminister kultury, doświadczony i znany z opanowania polityk, niedawno podczas wywiadu w radiu TOK FM wypalił do prowadzącej dziennikarki: – Pani zaprasza gościa, polityka wybieralnego w wyborach, żeby ludzie poznali jego poglądy, a nie pani poglądy. Bo pani pełni rolę służebną jako dziennikarka w lepszym poznawaniu polityków wybieralnych. Pani nie jest wybieralna – oznajmił. Nawet jeśli zirytował go sposób prowadzenia rozmowy, to jest politykiem na tyle doświadczonym, także jeśli idzie o występy medialne, żeby wiedzieć, że tego typu słowa z ust polityka nie powinny paść, bo za chwilę będą je cytować wszystkie portale. I tak też się stało.

Przykłady można mnożyć. Portal salon24.pl opisał ostatnio sprawę szkoleń dla dyrektorów generalnych, zatrudnionych w ministerstwach i urzędach. Zorganizowano je w Borach Tucholskich,

w luksusowym hotelu, a na koniec zafundowano pokaz fajerwerków, który miał kosztować 15 tys. zł. Na całość wydano 100 tys. zł.

DOBRA DIAGNOZA, BRAK LECZENIA

Na razie jednak nikt w PiS nie dopuszcza do siebie faktu, że partia ma do czynienia z potężnym kryzysem wizerunkowym i jeśli go szybko nie zażegna, to za chwilę, gdy wszystkie te historie dadzą efekt kuli śniegowej, będzie już na to za późno. Całkowicie leży komunikacja dotycząca problemów z inflacją i drożyzną. Choć każdy polityk wie, że będzie o to pytany, to rzadko który ma przygotowaną sensowną, empatyczną odpowiedź, bez „złotych rad”. W czasie kampanii wyborczej cała partia jest podporządkowana decyzjom sztabu wyborczego, wszyscy dostają przekazy dnia, jest jedna narracja, której każdy się trzyma, nie ma miejsca na improwizację i swobodne dywagacje w mediach (zwłaszcza w tabloidach). Wtedy nawet Jarosław Kaczyński podporządkowuje się zasadom i bardziej pilnuje, by nie chlapnąć czegoś, co mogłoby zaszkodzić kampanii. – Sęk w tym, że oficjalnie kampania jeszcze nie ruszyła, do wyborów daleko, a prezes nie czuje, by kryzys był na tyle poważny, że trzeba się nim jakoś specjalnie zajmować – narzeka jeden z polityków PiS.

Prezes PiS na razie skupia się na czym innym. Kontynuuje objazd po kraju i lokalne spotkania, które mają pomóc mobilizować twardy elektorat PiS.

– Prezes ma przekonanie, że za każdym razem, gdy PiS spada poparcie, winne temu są media. Trzeba więc jechać do ludzi i tłumaczyć im, dlaczego jest, jak jest i dlaczego media kłamią. Trochę jest w tym racji, ale przychodzi moment, gdy samo jeżdżenie i opowiadanie o złym Tusku i opozycji totalnej, a o tym głównie mówi prezes, może nie wystarczyć – dodaje nasz rozmówca.

Na początku czerwca, podczas kongresu partii, Jarosław Kaczyński zapowiadał wielką mobilizację i walkę z „syndromem tłustych kotów”, nepotyzmem i przywiązaniem do stanowisk. – Trzeba jasno powiedzieć, jeśli tego nie zmienimy, to nie mamy żadnych szans, aby wygrać wybory – mówił wtedy Kaczyński, sugerując, że ma świadomość powagi sytuacji. Nawet jeśli tak jest, to nie widać planu ani pomysłu, by tę sytuację poprawić. Albo przynajmniej jej nie pogarszać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karol Gac

Amerykańskie „Politico” uznało go za „najniebezpieczniejsze miejsce na Ziemi”. I choć eksperci są na ogół co do tego sceptyczni, to wciąż wzbudza ogromne emocje. Czym tak naprawdę jest przesmyk suwalski?

Presmyk suwalski to wąski obszar wokół Suwałk, Augustowa i Sejna, który łączy nasz kraj z Litwą i pozostałymi krajami bałtyckimi, a jednocześnie oddziela należący do Rosji obwód kaliningradzki od Białorusi. Wieńczą go symbolicznie dwa graniczne trójkąty – w gminie Giby zbiegają się granice Polski, Litwy i Białorusi, a w gminie Wiżajny – Polski, Litwy i obwodu kaliningradzkiego.

Przesmyk to także, a może przede wszystkim, strategicznie ważny korytarz mający kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa NATO, w tym zwłaszcza jego wschodniej flanki. To również potencjalny punkt styczny żołnierzy sojuszu północnoatlantyckiego z wojskami rosyjskimi.

W 2015 r. ówczesny dowódca sił lądowych USA w Europie gen. Benjamin Hodges stwierdził, że jest to jeden z najbardziej zapalnych punktów na mapie świata. O znaczeniu tego miejsca niech świadczą słowa byłego prezydenta Estonii Toomasa Hendrika Ilvesa, który przyznał, że to on wymyślił dla przesmyku suwalskiego nazwę „wyłom suwalski” (ang. Suwałki Gap). Miało mieć to miejsce kilka minut przed spotkaniem z ówczesną minister obrony Niemiec, a dziś szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen w 2015 r., czyli niedługo po aneksji Krymu przez Rosję. Ilves chciał w ten sposób zwrócić uwagę na lukę w zachodniej obronie.

– W sytuacji zagrożenia może się okazać, że przesmyk suwalski został zaatakowany przez armię białoruską lub rosyjską. Wtedy kraje bałtyckie byłyby izolowane. A wiemy, że ich własny potencjał jest stosunkowo niewielki i one same nie są w stanie się obronić w sytuacji nagłego ataku rosyjskiego. Muszą liczyć na pomoc, która nie może przyjść wyłącznie drogą lotniczą. W tym

sensie utrzymanie przesmyku suwalskiego i swoboda transportu przez ten przesmyk są warunkiem bezpieczeństwa tych trzech państw – tłumaczył niedawno w „Do Rzeczy” były minister obrony narodowej Jan Parys.

WĄSKIE GARDŁO

Należy pamiętać, że z punktu widzenia Moskwy obwód kaliningradzki, czyli rosyjska eksklawa w Europie Środkowej leżąca nad Morzem Bałtyckim, ma fundamentalne znaczenie. Mieszcza się tam nie tylko baza morską floty bałtyckiej, lecz także wojska rakietowe. – Zachowując proporcje, można w pewnym sensie porównać znaczenie przesmyku do dawnej perspektywy Niemiec wobec tzw. korytarza gdańskiego. Istotne jest też wojskowe znaczenie rosyjskiej eksklawy jako potencjalnego zagrożenia dla całego basenu bałtyckiego – mówi „Do Rzeczy” Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Względy polityczne są jednak przy tym równie istotne, co militarne. Wystar-

do tego bardzo chłodno i nie widzę żadnego zagrożenia na tym kierunku – mówił niedawno były dowódca Wojsk Lądowych gen. Waldemar Skrzypczak w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl. Podobnego zdania jest gen. Roman Polko, były dowódca GROM. – Ten obszar już dawno został zdefiniowany jako miejsce potencjalnego ataku. Oczywiście jest w tym dużo przesady [...]. Nawet jeśli Rosja będzie chciała się połączyć z obwodem kaliningradzkim, to Putin nie będzie uderzał w Polskę, tylko w kraje, w których łatwiej mu będzie zyskiwać piątą kolumnę – oceniał na łamach naszego portalu.

NATO nie zasypia jednak gruszek w popiele i nie jest beczynne. Ministerstwo Obrony Narodowej wskazuje, że przesmyk suwalski to rejon odpowiedzialności 16. Dywizji Zmechanizowanej, a zwłaszcza należącej do niej 15. Brygady Zmechanizowanej oraz wielonarodowej batalionowej grupy bojowej w ramach inicjatywy eFP (wzmocnionej wysuniętej obecności) z USA jako państwem ramo-

Europejska pięta Achillesa?

czy jeden rzut oka na mapę, by wiedzieć, dlaczego Rosjanie traktują ten obszar jak wyspę na morzu nieprzyjaciela, której za wszelką cenę należy bronić. Wykorzystują to zresztą w swojej propagandzie, twierdząc, że Zachód planuje zajęcie tego terytorium. W przeszłości miały już miejsce wspólne ćwiczenia wojskowe z Białorusią, które symulowały konflikt zakładający przejęcie przez Rosję korytarza między Białorusią a Kaliningradem. W takim przypadku państwa bałtyckie zostałyby terytorialnie odcięte od pozostałej części NATO i Unii Europejskiej. Eksperci i wojskowi są jednak sceptyczni co do takiego rozwoju wydarzeń.

– Politycy i media demonizują przesmyk suwalski, jednak to jest niepotrzebne podnoszenie emocji i manipulowanie ludźmi. Jako wojskowy podchodzę

wym. Służą tam żołnierze z Rumunii, Wielkiej Brytanii i Chorwacji. Grupa stacjonuje w Orzyszu, czyli tuż przy przesmyku suwalskim, i nieustannie ćwiczy jego obronę. W dodatku wojska są cały czas rotowane, by mogła zostać przeszkolona jak największa liczba żołnierzy. Warto także pamiętać, że w Elblągu mieści się dowództwo Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód, którego zadaniem jest koordynacja działań czterech wielonarodowych batalionowych grup bojowych NATO rozmieszczonych w Polsce, na Litwie, Łotwie i w Estonii. Jeśli zaś chodzi o bardziej „przyziemny” dowód, to na Suwalszczyźnie znajduje się również radar wczesnego ostrzegania, który stanął w okolicy turystycznej miejscowości Przejma Wielka nad jeziorem Szelment. Postawiła go kilkanaście lat temu

■ kwatera główna NATO, by monitorować niebo na odległość kilkuset metrów.

MEDIALNA HISTERIA

Temat przesmyku suwalskiego powrócił w polskiej debacie publicznej m.in. za sprawą publikacji amerykańskiego serwisu „Politico”, który w czerwcu określił go mianem „najniebezpieczniejszego miejsca na Ziemi”. Portal przypomniał, że zgodnie z przewidywaniami NATO-wskich planistów obszar ten będzie „prawdopodobnie jednym z pierwszych celów rosyjskiego prezydenta, jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na eskalację wojny w Ukrainie w stronę bezpośredniej konfrontacji z NATO”. Ponadto autor artykułu zastanawiał się również, czy Waszyngton i NATO „byłyby skłonne zaryzykować armagedon z powodu kawałka słabo zaludnionej ziemi uprawnej, o której istnieniu wie niewielu ich obywateli?”, dodając jednocześnie, że jest to „dokładnie ten rodzaj skrajnych przypadków, które Putin z zapalem testuje”. Artykuł szybko został rozpowszechniony w Polsce, i to często z alarmistycznymi nagłówkami.

Jednak publikacja „Politico” nie była jedyną w zagranicznych mediach, które – po rosyjskiej inwazji na Ukrainę – zwróciły uwagę na ten temat. O przesmyku suwalskim – czy raczej o Suwałki Gap, jak brzmi jego angielska nazwa – pisał w marcu także „El País”. Hiszpański dziennik zwrócił uwagę, że jest on „jednym z najbardziej newralgicznych miejsc”, oceniając przy tym, że w związku z tym przypada on krajom NATO (zwłaszcza Polsce i państwom bałtyckim) o „ból głowy”. Dziennikarze cytowali prezydenta Litwy, który zwrócił uwagę, że podczas ostatniego szczytu NATO w Madrycie przesmyk zyskał miano „europejskiej pięty achillesowej”.

Z kolei prestiżowy „Foreign Policy” wprost wskazał, że NATO musi przygotować się do obrony swojego najsłabszego punktu – przesmyku suwalskiego, a „na granicy polsko-litewskiej Zachód musi odpowiadać na rzeczywiste możliwości Rosji, a nie snuć przypuszczenia co do jej intencji”. Tego typu głosów w europejskiej i światowej prasie było więcej.

Wraz z kolejnymi publikacjami medialnymi zaczęły się pojawiać pytania. Wojna na Ukrainie znacząco zwiększyła liczbę zapytań do samorządów o dostępność schronów i ukryć w poszczególnych miastach czy województwach. Według danych sprzed pięciu lat istniejące



tw. miejsca bezpieczne w Polsce mogą zapewnić schronienie zaledwie niespełna 3 proc. mieszkańców kraju. Problem ten dostrzegli m.in. aktywiści ze Stowarzyszenia Aktywne Mazury, którzy uważają, że zaistniała pilna potrzeba budowy schronów w gminach leżących na przesmyku suwalskim. Według ich ustaleń 14 mazurskich gmin, w tym miasta takie jak Elk czy Giżycko, nie posiada schronów. Prezydent Suwałk Czesław Renkiewicz poinformował jednego z radnych, że nie umieści list na stronie internetowej urzędu, „by nie pogłębiać niepokoju wśród mieszkańców”.

Na początku lipca prezydent Polski Andrzej Duda i jego litewski odpowiednik Gitanas Nausėda odwiedzili żołnierzy stacjonujących na przesmyku suwalskim, by zademonstrować, że region ten jest bezpieczny. – Tu, na ziemi polskiej i litewskiej, w tej części Europy są wojska NATO. Ta ziemia jest strzeżona przez najsilniejszy sojusz obronny na świecie i, co bardzo mocno chcemy podkreślić z prezydentem Nausėdą, ta ziemia jest bezpieczna – mówił Andrzej Duda.

W podobnym tonie wypowiadał się wicepremier, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, który towarzyszył prezydentowi. – Rozwijamy nasze siły zbrojne – polskie i litewskie. Współpracujemy ze sobą, tworzymy interoperacyj-

ność. Wszystko to służy bezpieczeństwu naszej ojczyzny. Możemy powiedzieć wprost, że dzięki naszym wysiłkom, dzięki naszej bardzo dobrej współpracy z siłami sojuszniczymi przesmyk suwalski jest bezpieczny – zapewniał Błaszczak.

Niedawno szef MON zatwierdził umowę na dostawę niszczycieli czołgów Ottokar Brzoza dla Wojska Polskiego. Pierwsze egzemplarze-prototypy będą gotowe już w przyszłym roku i trafią do 14. Pułku Przeciwpancernej z siedzibą w Suwałkach, czyli w rejonie przesmyku suwalskiego.

Szef BBN zwraca uwagę, że oprócz doraźnych działań Polska od lat prowadzi politykę, która ma wzmocnić ten region. – Chodzi o zapewnienie wysokiego potencjału odstraszania i obrony na przesmyku suwalskim, żeby potencjalny agresor był świadom, że jakkolwiek agresja będzie odpierana od pierwszego dnia konfliktu, a więc obarczona wysokimi kosztami i bez szans powodzenia – mówi nam Paweł Soloch.

O tym, że region jest całkowicie bezpieczny, zapewniają także władze województwa podlaskiego, w którym znajduje się przesmyk. – Postrzegamy ten region przez pryzmat takich samych potrzeb jak pozostałych części województwa. Nie myślimy o nim jak o punkcie na mapach sztabowych. Chcemy, by



Poligon wojskowy w Orzyszu podczas
majowego szkolenia DEFENDER-Europe
FOT. MICHAŁ KOŚC/FORUM

ludziom żyło się tam jak najlepiej – mówi „Do Rzeczy” dr Tomasz Madras, wicewojewoda podlaski. Jego zdaniem historia zawsze jest „najgorszą możliwą reakcją”.

Warto dodać, że przesmyk suwalski to rejon, w którym za pośrednictwem Polski państwa bałtyckie integrują się infrastrukturą z pozostałymi krajami UE. W tym rejonie oddano do użytku polsko-litewski most energetyczny, a obecnie trwają prace nad synchronizacją systemów elektroenergetycznych. To nie wszystko. – Od 2014 r. i aneksji Krymu po polskiej i litewskiej stronie granicy zdano sobie sprawę, że musimy ze sobą współpracować. Przesmyk suwalski to także Via Baltica, Rail Baltica, ale i gazociąg Polska – Litwa oddany w tym roku. To dowód na potrzebę zacieśnienia współpracy, ale musimy pamiętać, że każdy kawałek naszego kraju jest ważny. Na pewno nie ma powodu do paniki – zapewnia nas wicewojewoda podlaski.

PRZESMYK TURYSTYKĄ STOI

O tym, jak ważne to zapewnienia, łatwo się przekonać, gdy porozmawia się z ludźmi odpowiadającymi za turystykę w tym regionie. Z dyskusji o przesmyku suwalskim umyka bowiem fakt, jak piękny przyrodniczo jest to obszar. Można śmiało powiedzieć, że uroda tamtejszych krajobrazów powala. Jest on w dużej mierze zalesiony i poprzecinany jeziorami oraz

rzekami. – Mamy tu wspaniałą przyrodę: niezwykle czyste jeziora i przepiękne puszcze. To doskonałe miejsce do turystyki aktywnej i raj dla rowerzystów, kajakarzy czy koniarzy. W dodatku przyroda nie jest jeszcze tak eksploatowana jak w innych częściach Polski. Ponadto warto zwrócić uwagę na fantastyczną kuchnię, która jest oparta na tym, co dają przyroda i puszcze. Jest tu wyjątkowo bezpiecznie, a jedynym zagrożeniem dla turystów może być słynny „duch puszczy” – opisuje „Do Rzeczy” Marcin Leoszko, prezes Augustowskiej Organizacji Turystycznej.

Nasz rozmówca zwraca jednak uwagę na negatywną konsekwencję dyskusji o przesmyku. – Najpierw „Politico” napisało artykuł, który został skopiiowany przez polskie media, co stworzyło wrażenie, że na przesmyku suwalskim „coś” się dzieje albo że jest on niebezpiecznym miejscem. Oczywiście nie jest. Ponadto sama nazwa jest niefortunna, bo sugeruje, że w tym miejscu będzie się coś działo [...]. Turystyce na pewno to nie pomaga, bo naszym gościom to hasło pojawia się w negatywnym kontekście. Zwłaszcza że turystyka w ostatnich latach i tak miała ciężko. Najpierw była pandemia, później atak na polską granicę, a teraz wojna na Ukrainie – dodaje Leoszko.

Podobnie widzi to wójt gminy Płaska, który podkreśla, że choć region jest ab-

solutnie bezpieczny, to szukanie medialnych sensacji na pewno mu nie pomaga.

– W Finlandii, która ma dużo dłuższą granicę z Rosją od Polski, mieszkańcy terenów przygranicznych jakoś specjalnie nie obawiają się swojego położenia. Żyją spokojnie i robią dzisiaj to, co robili wczoraj. Podobnie mieszkańcy powiatów suwalskiego, sejneńskiego, augustowskiego żyją bez zauważanych zmian. Chyba że mówimy o kwestiach ekonomicznych i społecznych, bo tu są zmiany, i to wielokierunkowe.

Mogę też dodać, że na pewno w tym roku jest bezpieczniej niż w poprzednich latach, ponieważ widać zwiększoną obecność wojska i policji w terenach przygranicznych – mówi „Do Rzeczy” Wiesław Gołaszewski. Nasz rozmówca zwraca także uwagę na to, jak ważna dla tego regionu jest turystyka. – Żyliśmy spokojnie do tej pory. Co roku odwiedzały nas tysiące turystów spragnionych czystego powietrza, spokoju, jezior i prawdziwej przyrody. Turystyka stała się najważniejszą gałęzią utrzymania dla miejscowych rodzin. Dochody z turystyki gwarantują trwanie osadnictwa rodzimego w tych oddalonych od ośrodków miejskich i rynków pracy miejscach. Szukanie na siłę tematu „najniebezpieczniejszego miejsca na Ziemi” tylko dlatego, że tego oczekują Internet czy widzowie przed telewizorami, jest po prostu głupie – wskazuje wójt gminy Płaska. I dodaje: – U nas jest bardzo bezpiecznie. Poprawiamy infrastrukturę turystyczną, drogową i inne. Zapraszam wszystkich spragnionych odpoczynku nad jeziorami nad Kanał Augustowski i do przepięknej gminy Płaska.

O negatywny wpływ na turystykę medialnych publikacji zapytaliśmy I wicewojewodę podlaskiego. – Jeśli chodzi o wymierne straty, które mogą z tego wynikać, a być może już wynikają, to tak naprawdę nigdy się tego nie dowiemy. Nie da się sprawdzić, ile przyjazdów turystów czy kontaktów gospodarczych mogło nie zostać zrealizowanych, bo ktoś bezpodstawnie stwierdził, że jest to niebezpieczny region – wyjaśnia nam Madras.

Temat przesmyku suwalskiego co jakiś czas powraca. Ostatnio, gdy Litwa zakazała tranzytu przez jej terytorium towarów objętych sankcjami Unii Europejskiej do i z Kaliningradu, co wywołało niezadowolenie Moskwy. I choć warto mieć świadomość na temat jego strategicznego znaczenia, to jednocześnie warto również pamiętać, że na jego obszarze też żyją ludzie. A im medialna wrzawa na pewno nie pomaga. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Suwerenność energetyczna na zakręcie

Piotr Naimski nadzorował budowę strategicznego dla Polski połączenia gazowego Baltic Pipe FOT. MARCIN BIELECKI/PAP



Tomasz Rowiński

Co byłoby z naszym uniezależnieniem się od surowców energetycznych Rosji, gdyby nie Piotr Naimski? Czy jego następca poradzi sobie z wyzwaniem?

Jest w odejściu Piotra Naimskiego, byłego już pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej oraz sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, jakiś gorzki paradoks. Nieczęsto się zdarza, by zdymisjonowany urzędnik zbierał pochwały od osoby, która mu tej dymisji udziela. A przecież właśnie premier Mateusz Morawiecki mówił o Naimskim: „Od lat jest jednym z najlepszych w Polsce specjalistów od energetyki”. Mimo tego do dymisji doszło.

Piotrowi Naimskiemu wystarczyła by ta jedna zasługa, by jego działania z ostatnich siedmiu lat uznać za ważne dla Polski. To jego determinacja doprowadziła do tego, że dziś jesteśmy rzeczywiście na ostatnim etapie budowy gazociągu Baltic Pipe – inwestycji, która pozwoli Polsce sprowadzać gaz z norwe-

skiego szelfu i całkowicie uniezależnić się od dostaw tego surowca z Rosji. A mogło być zupełnie inaczej, jak w wielu innych dziedzinach, w których potrzebne jest planowane i działanie strategiczne, pięta achillesowa polskiego państwa. Aby daleko nie szukać – przez 30 lat de facto osłabialiśmy naszą armię, poddając się atmosferze liberalnej bez troski, wedle której żadnej wojny w Europie miało już nigdy nie być.

Jako państwo marnowaliśmy pieniądze na fazy projektowe programów zbrojeniowych, których nikt nigdy nie zamierzał doprowadzić do fazy wdrożeniowej. Niejeden formalnie zakończony program był zaś finalizowany na pół gwizdka. Na przykład korweta Gawron, która miała być wielozadaniowa, a okazała się ledwie patrolowa po kilkunastu latach budowy. Dopiero teraz okręt ten ma szansę doczekać się realnego dozbrojenia. Tak chwalona dziś, także przez Ukraińców, armatohaubica Krab, która i tak jest sukcesem naszego przemysłu zbrojeniowego, mogła być jeszcze lepsza, gdyby nie zaoszczędzono na automacie ładującym. Ten element wyposażenia zaczyna być uważany za standard w nowych konstrukcjach, a my mogliśmy go mieć wcześniej.

Przykłady takich zaniedbań, wynikłych z krótkowzroczności polityków, można by wymieniać niemal bez końca.

W efekcie dziś musimy kupować sprzęt i technologie od innych i ad hoc, ponieważ okazało się, że wojna w Europie jednak wybuchła. Owszem, przyspieszenie modernizacji polskiej armii trzeba oceniać pozytywnie, także jeśli chodzi o konkretny sprzęt, jaki jest zakontraktowywany. Nie zmienia to jednak faktu, że musieliśmy uruchomić, jako państwo, działanie w trybie krytycznym. Mówiąc kolokwialnie – obudziliśmy się z ręką w nocniku.

ŚWIADOMOŚĆ GEOSTRATEGICZNA

Teraz wyobraźmy sobie, że na stanowisku pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej przez ostatnie lata byłby ktoś o wyobraźni strategicznej czy choćby mniej zdeterminowany niż Piotr Naimski, bo przecież – powtórzmy – wojny w Europie miało nie być, a gaz z Rosji, może czasem z problemami, ale był zawsze, więc i zawsze będzie. Były premier z SLD, Leszek Miller, lubi przypominać, że za jego czasów umowa w sprawie Baltic Pipe została wygaszona na prośbę Norwegów. Jest oczywiste, że próbuje on w ten sposób osłabić krytykę, która spotyka jego rząd, a także rządy PO-PSL za brak determinacji i przyszłościowego spojrzenia na polską sytuację geopolityczną. Zresztą uczciwie trzeba przyznać, że na początku XXI w. świadomość geostrate-

giczna w Polsce była na niskim poziomie. Między innymi dlatego, że polityka naszego państwa większość swoich wysiłków wkładała w proces integracji z NATO i Unią Europejską. Wydawało się wtedy, że to wystarczy za całą naszą geostrategię. Z całą pewnością – przynajmniej jeśli chodzi o NATO – koncentracja na włączeniu Polski w struktury Zachodu była właściwą decyzją. Ta jednostronność odbijała się jednak negatywnie na innych ważnych obszarach odpowiedzialności państwa, czego przykładem może być umowa z Gazpromem zawarta przez wicepremiera Marka Pola. W 2004 r. w raporcie NIK ocenił, że przy pracach nad tą umową „nie zapewniono zróżnicowania dostaw gazu ziemnego”, „w praktyce ograniczono taką możliwość przez najbliższe lata”, a także „utwierdzono zależność Polski od dostaw surowca z Rosji”.

To, jak ważną częścią rządów PiS był Piotr Naimski, mówią obecnie sami politycy PiS. Jeden z nich w anonimowej wypowiedzi dla „Rzeczpospolitej”, oceniając przyszłość stanowiska pełnomocnika, powiedział: „Formuła została stworzona bezpośrednio »pod niego« i raczej nie zostanie odtworzona w ten sam sposób”. Naimski był w rządzie człowiekiem instytucją i jest pewne, że jego odejście spowoduje liczne komplikacje i reorganizacje. Tak przecież jest – ważni i wybitni ludzie oddziałują na kształtowanie się struktur instytucjonalnych, czasem nawet powodując ich pewnego rodzaju nefunkcjonalność, którą akceptuje się ze względu na wartość dodaną ich osobowości.

OD OPOZYCJI W PRL

Naimski w polityce obecny jest od połowy lat 70., kiedy zaczął angażować się w pracę opozycyjną przy protestach wobec zmian w Konstytucji PRL, która wprowadziła zapisy o przewodniej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w budowie socjalizmu w Polsce oraz o przyjaźni z ZSRS. Po wydarzeniach czerwcowych angażował się w pomoc represjonowanym robotnikom z Radomia i Ursusa. Należał do grona założycieli Komitetu Obrony Robotnika (KOR). Od początku był politycznie związany z Antonim Macierewiczem, którego poznał w słynnej harcerskiej „Czarnej Jedyńce”.

W latach 80. Naimski ukończył studia na Wydziale Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, doktoryzował się w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN,

a w latach 1981–1983 pracował dla New York University Medical School, gdzie współorganizował Komitet Pomocy Solidarności. Jeśli chodzi o aktywność akademicką, to dużo później, bo w latach 2003–2009, był prodziekanem, a potem dziekanem Wydziału Studiów Politycznych Wyższej Szkoły Biznesu – National Louis University w Nowym Sączu.

Zanim Piotra Naimskiego na dobre wciągnęła polityka, był jeszcze do roku 1992 dyrektorem wydawnictwa Głos, które wyrosło z drugoobiegowej działalności wydawniczej. Gdy Antoni Macierewicz został ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego, Naimski także zaczął pracę w tym resorcie – najpierw jako podsekretarz stanu, potem jako szef Urzędu Ochrony Państwa. Z tego stanowiska został usunięty przez Waldemara Pawlaka, tymczasowego premiera, osadzonego przez Lecha Wałęsę po tzw. nocnej zmianie.

Zanim Naimski został członkiem PiS, działał w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, Ruchu Odbudowy Polski, a także w Ruchu Katolicko-Narodowym, maleńkim ugrupowaniu Antoniego Macierewicza. W latach 2005–2007 był sekretarzem stanu w Ministerstwie Gospodarki, gdzie zaczął zajmować się tym, z czego dziś go znamy, czyli bezpieczeństwem energetycznym Polski. Po wyborach z roku 2007 był jeszcze doradcą w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, ale odszedł z niego po śmierci Lecha Kaczyńskiego. W roku 2011 wrócił do parlamentu jako bezpartyjny kandydat z listy PiS. Do tej partii wstąpił dopiero w roku 2013. Dwa lata później zaczął pełnić funkcję pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej i pozostał na niej pomimo tego, że w 2019 r. w wyborach parlamentarnych nie uzyskał mandatu posła.

O przyczynach odejścia Piotra Naimskiego z pełnionej przez niego funkcji pełnomocnika pisze się w różny sposób. Najczęściej powtarzana wersja mówi o jego sprzeciwie wobec fuzji Orlenu i Lotosu. W oświadczeniu, które polityk opublikował w mediach społecznościowych, można usłyszeć echa tego konfliktu. „Jako ustne uzasadnienie powiedziałam mi, że nie nadaje się do współpracy i »wszystko blokuje«” – napisał Naimski. Oczywiście można sobie wyobrazić, jak stanowczym człowiekiem musi być

osoba, której konsekwentnie – w klimacie krótkowzroczności dominującej w polskim państwie – udało się doprowadzić do końca tak złożony projekt jak Baltic Pipe.

NOWY PEŁNOMOCNIK

Istnieje niebezpieczeństwo, że usunięcie rzekomo nienadającego się do współpracy Naimskiego pograży polską energetykę w kolejnej fazie sporów podważającej naszą wiarygodność wobec partnerów, bez których realizacja inwestycji w atom nie będzie po prostu możliwa. „Los Programu Polskiej Energetyki Jądrowej zależy od tego, czy rząd zachowa wiarygodność w relacjach z Amerykanami, zastępując odchodzącego ministra kimś z równie dobrymi kontaktami w Stanach, a także czy skorzysta z koncepcji dwóch partnerów przygotowywanej przez Naimskiego czy też postawi na więcej małego atomu proponowanego przez część uczestników dyskusji na ten temat. Kryzys energetyczny to nie czas na rewolucje. Polska potrzebuje Baltic Pipe i dużego atomu, które będą realizowane bez ich dotychczasowego spiritus movens, czyli Piotra Naimskiego” – pisał 21 lipca br. Wojciech Jakóbiak, dziennikarz BiznesAlert, specjalizujący się w tematyce bezpieczeństwa energetycznego.

Piotr Naimski odchodzi z rządu w poczuciu rozgoryczenia: „Nie pierwsza to w moim dość długim już życiu dymisja. Ta przypada 30 lat po obaleniu rządu premiera Jana Olszewskiego, w którym pełniłem funkcję szefa UOP. Wtedy Wałęsa wyrzucał mnie rękoma tymczasowego premiera Pawlaka” – napisał Piotr Naimski w mediach społecznościowych.

Jeszcze w ubiegłym tygodniu poinformowano o wyborze nowego pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. Został nim Mateusz Berger. To prawnik, który wcześniej pracował m.in. w PKO BP, Ministerstwie Rozwoju oraz Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Zasiadał też w radach nadzorczych LOT i Agencji Rozwoju Przemysłu.

Czy nowy pełnomocnik podoła zadaniom tak dobrze jak Naimski? To się dopiero okaże. Niewątpliwie jednak polska polityka energetyczna znalazła się w momencie krytycznym, a sposób na wyjście z niego wcale nie wydaje się czymś oczywistym.



Piotr Semka

Pisanie o takich ludziach jak Jaś Kapela wywołuje bardzo często krytyczne reakcje konserwatywnych czytelników. Padają argumenty, że jest to babrzenie się w politycznej ohydzie, reklamowanie człowieka żyjącego z prowokacji i faktyczne spełnianie jego najgłębszych marzeń o byciu „tematem” na łamach prawicowych mediów. Z drugiej strony powstaje pytanie, czy można taki „fenomen” pominąć milczeniem

J aś Kapela po walce leży w szpitalu ze złamaną żuchwą – donosi portal Wirtualne Media. Jak deklaruje publicysta, który zamarzył o karierze pięściarza, wskutek obrażeń „do końca roku nie wyjdę do oktagonu [przestrzeń walki w sportach kontaktowych – przyp. P.S.]”. Publicysta Krytyki Politycznej trafił do szpitala po walce, którą stoczył na początku lipca z aktorem i wykonawcą disco polo Konradem „Skolimem” Skolimowskim. Walka odbyła się w ramach nowo powstałej federacji pięściarskiej, która lansuje tzw. freak show fight, co można w wolnym tłumaczeniu przetłumaczyć na „pokazy walki dziwaków”.

W wypadku Kapeli i Skolimowskiego tytułowa „dziwaczność” ma polegać na tym, że zawodnicy są dobierani nie pod względem wagi czy umiejętności, ale pod względem poglądów politycznych lub przynajmniej przekonania widowni, jakie sympatie ideowe prezentują. Jaś Kapela od ok. 15 lat jest publicystycznym prowokatorem reprezentującym ideologię lewicy. W wypadku Skolimowskiego wystarczyła jedynie deklaracja znanego aktora i wykonawcy disco polo, który na Instagramie złośliwie odniósł się do tego, że coraz więcej osób publicznych deklaruje, że nie ochrzci swoich dzieci. Jak zadeklarował Skolimowski, który po raz drugi został ojcem, a niedawno ochrzcił swojego synka i jego zdjęcia wrzucił na Instagram: „Jestem zupełnie inny niż wszyscy celebryci. Kocham moją rodzinę i Polskę. Jestem dumny z tego, że wierzę w Boga”.

Dziwna kariera mistrza freak show fight

Słowa Skolimowskiego odbiły się szerokim echem w sieci, a w dyskusję pod zdjęciem włączyli się m.in. tacy aktorzy jak Mateusz Banasiuk czy Adrianna Biedrzyńska.

Teoretycznie od takiego minispięcia w sieci do bycia przedstawicielem prawicy powinno być daleko, ale świat freak show fightingu rządzi się swoimi prawami. Skolimowski okazał się lepszym pięściarzem i nie tylko wygrał w pojedynku, lecz także dosyć obcesowo potraktował Kapelę. Lewicowy publicysta wyznaje portalowi Wirtualne Media: „Mam złamaną żuchwę i palce. Lekarze zalecają, żebym przez co najmniej sześć miesięcy nie walczył”.

Jak donosi portal Wirtualnemedia.pl, Jaś Kapela przegrał przez techniczny nokaut po tym, jak dostał od przeciwnika kilka serii ciosów. Wobec przewagi „Skolima” sam wyprowadzał jedynie nieliczne uderzenia.

Z KATOLICKIEGO DOMU

Bohater dzisiejszych emocji bokserskich urodził się w 1984 r. i jest drugim dzieckiem Teresy i Piotra Kapelów. Ojciec

był magistrem inżynierem budownictwa i pracownikiem Politechniki Warszawskiej. Matka zajmowała się pięciorgiem dzieci i była aktywistką organizacji katolickich. Rok urodzenia Jasia Kapeli jest niezwykle typowy dla ludzi, którzy przeżywali oczarowanie wiarą związaną z wejściem na Tron Piotrowy Jana Pawła II. Bardzo często alternatywą dla działalności opozycyjnej było odreagowywanie koszmaru stanu wojennego skupieniem się na budowaniu rodziny i uczestnictwie w niezwykle silnych wówczas ruchach i stowarzyszeniach ludzi wierzących.

A jednak drugie dziecko państwa Kapelów poszło w kierunku coraz bardziej demonstrowanej niechęci wobec wiary katolickiej i szczególnie osoby Jana Pawła II. Młody Kapela ukończył Zespół Społecznych Szkół Ogólnokształcących „Bednarska” w Warszawie, który utożsamiany był ze środowiskiem liberalnej inteligencji z kręgu ówczesnej Unii Wolności. Potem była filologia polska na Uniwersytecie Jagiellońskim, a jak podaje Wikipedia: „Tematem jego pracy magisterskiej była jego poezja kumpelska”.



FOT. PAWIEŁ DĄBROWSKI / SE / EAST NEWS

Jak się wydaje, młody Kapela był wtedy chłopakiem, który szukał jakiejś okazji do zabłyśnięcia w performansie. 15 marca 2003 r. w Warszawie wygrał konkurs improwizowanych monologów raperskich, w których przeciwnicy nawzajem siebie zaczepiają, a potem odpowiadają na swoje monologi.

W świat polityki wszedł Jaś Kapela poprzez swoje debiuty na portalu Krytyka Polityczna, który od początku nowego wieku zaczął kreować retorykę nowej lewicy. Kapela ze swoim skandalizującym poczuciem humoru i zaczepkami wobec prawicy szybko zdobył sympatię nieformalnego guru środowiska Krytyki – Sławomira Sierakowskiego. W 2011 r. Kapela wydał zbiór swoich felietonów pod prowokacyjnym tytułem „Jak odebrałem dzieci Terlikowskiemu”. Sens tego wydawnictwa miał polegać na tym, że osobom posądzanym przez lewicę o homofobię powinno się odbierać dzieci. Dla każdego, kto nie wiedział, jak ważną rolę w małżeństwie Tomasza i Małgorzaty Terlikowskich odgrywa rodzicielstwo, było jasne, że Kapela uznaje zasadę „uderzyć w przeciwnika tak, żeby maksymalnie bolało”.

W 2018 r. o publiczności Krytyki Politycznej znowu było głośno wskutek jego wpisu wyrażającego satysfakcję z pożaru katedry Notre Dame. Jak wyjaśniał potem autor skandalizującego tweeta w specjalnym tekście „Dlaczego nie płakałem po pożarze Notre Dame”: „Z pożaru katedry się śmiałem. Dlaczego? Może dlatego, że choć nikt nie umarł, to w płomieniach stał symbol władzy, przemocy i ucisku. Jeden z najbardziej znanych kościołów świata. Co prawda, znany bardziej za sprawą di-snejowskiej bajki i musicalu na podstawie powieści Wiktora Hugo. Ale czy to nawet nie lepiej? Dwa w jednym. Płonie słynny kościół, ale też kapitalistyczny fetysz”.

Ten wyjątkowo agresywny wywód był jednym z niewielu przypadków, gdy Kapelę skrytykowały niektóre liberalne media, jak np. portal naTemat.

Wysokoci Kapeli nigdy nie robiły jednak zbyt dużego wrażenia na Krytyce Politycznej. Był tam stałym autorem felietonów, a przy konsumowaniu pieniędzy z dotacji władz miasta na działalność Świetlicy Krytyki Politycznej najpierw przy Nowym Świecie, a potem przy ul. Foksal zapraszany był do licznych paneli i dyskusji. Przykładowo we wrześniu 2012 r. wziął udział jako prelegent w dotowanym przez władze Warszawy cyklu dyskusji pt. „Psychodeliki w antropologii, kulturze, medycynie

i filozofii”. W segmencie poświęconym literaturze XXI w. o tym, jak narkotyki wpływały na literatów, opowiadali m.in. Dorota Masłowska, Manuela Gretkowska i właśnie Jaś Kapela.

Kapela w drugiej dekadzie XXI w. zaczął skupiać się na negowaniu kultu Jana Pawła II. Z chęcią wykorzystał do tego swoje walki bokserskie. Do walki ze Skolimowskim wyszedł ubrany w sutannę, z dużym krzyżem na piersi. Swoje występy pięściarskie zapoczątkował w lutym br. i zaprezentował wtedy na nagiej klatce piersiowej okalający jego szyję napis „JP II – GMD”, co sam pewnego razu rozszyfrował jako „Jan Paweł II – gwałciiciel małych dzieci”.

Pierwszą walkę w czasie gali prime show MMA przeprowadził z prawicowym twitterowiczem Ziemowitem Kossakowskim. Wówczas walka trwała tylko dwie minuty, ale jej pomyślny efekt skłonił Kapelę do podpisania z organizatorem prime show MMA umowy na kilka kolejnych starć. Jak mówił wtedy portalowi Wirtualne Media: „Biję się, bo to polubiłem i okazuje się, że jestem w tym niezły”.

Kapela prezentuje bardzo często styl kogoś, kto trzyma się bardzo brutalnych zasad. Gdy wiosną 2021 r. przyjął zaproszenie do telewizyjnego programu Krzysztofa Stanowskiego „Hydepark w kanale sportowym”, demonstracyjnie na wizji przyjął od prowadzącego 700 zł za udział w programie. W maju br. Kapela zaczął prowadzić autorski program na kanale youtube’owym bulwarówki „Super Express”.

Kolejnym jego wyczynem była reklama Krytyki Politycznej parodiująca Jezusa Króla, do której napisał tekst w stylu mającym wyrazić obrazić uczucia katolików. Także teraz, gdy po porażce ze Skolimowskim musi powoli leczyć zgruchotaną szczękę, wypełnia swój Twitter filmikami parodiującymi w wyjątkowo wulgarny sposób papieża Jana Pawła II.

Zachowuje też poczucie łączności z Krytyką Polityczną. Gdy gratulował Sławomirowi Sierakowskiemu sukcesu w zbiorce na zakup tureckiego dronu Bayraktar, pisał: „Sze fu ze brał na 4 drony, od razu czuję się bezpiecznie”.

GODNY NASTĘPCA JERZEGO URBANA

Pisanie o takich ludziach jak Jaś Kapela wywołuje bardzo często krytyczne reakcje konserwatywnych czytelników. Padają argumenty, że jest to babrzenie się w politycznej ohydzie, reklamowanie człowieka

żyjącego z prowokacji i faktyczne spełnianie jego najgłębszych marzeń o byciu „tematem” na łamach prawicowych mediów. Ponadto powstaje pytanie, czy można taki „fenomen” pominąć milczeniem? Bo istotą problemu nie są same prowokacje Kapeli, ale absolutna akceptacja jego osoby przez lewicowy establishment. Organizacje takie jak Krytyka Polityczna, które co rusz wybuchają świętym gniewem z powodu jakiejś wypowiedzi uznawanej przez ideologów lewicowych za homofobiczną, transfobiczną czy rasistowską, retoryka, której używa skandalista, absolutnie nie oburza. W trakcie przygotowań do pojedynku przeciwko Ziemowitowi Kossakowskiemu Kapela zapowiadał, że przeciwnik „skończy jak Popiełuszko”.

Oczywiście tej dziwacznej kariery Jasia Kapeli nie byłoby, gdyby prężnie rozwijający się w Polsce rynek coraz bardziej udiwnionych walk pięściarskich, które generują rozwój najbardziej niesmacznych emocji wśród widzów takich widowisk. Warto przypomnieć, że niedługo po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję w lutym br. jeden z organizatorów walk próbował zorganizować i wyreklamować pojedynek pięściarski sobowtórów Władimira Putina i Wołodymyra Zełenskiego. Ten pomysł wywołał na tyle dużo głosów oburzenia, że zrezygnowano z niego, obawiając się kłopotów z prawem. Ale walki Jasia Kapeli z na siłę przykrwanymi do prawicowości postaciami mają się, jak widać, całkiem nieźle.

Jedyne, co ogranicza aktywność skandalisty, to urazy otrzymywane w czasie walk. Krytyka Polityczna unika tematu dziwacznej aktywności swojego długoletniego publicysty, a sam Kapela ciągle demonstruje wzorową lojalność wobec Krytyki Politycznej, swojego ideowego matczyka.

Matka Jana Kapeli, z którą wywiad przeprowadził w 2014 r. Robert Mazurek dla „Rzeczpospolitej”, wskazuje: „Środowisko, do którego trafił [mój syn], okazało się niesłychanie silne. On się Krytyką Polityczną zachłysnął i tak to trwa. Modłę się za niego, ale mam poczucie, że za mało, zbyt rzadko i chyba zbyt słabo wierzę w moc modlitwy. Nie potrafię znaleźć źródeł tej sytuacji, nie ma odpowiedzi, dlatego tak się stało. Dziś myślę, że droga wiary rzeczywiste jest jakaś tajemnicza. Staram się nie czytać wszystkiego, co pisze Jaś. Jest to dla mnie niesłychanie bolesne. Nie rozumiem tych ukąszeń, czasem myślę, że wręcz diabelskich”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zuzanna Dąbrowska

Na piechotę, biegiem, na rołkach i na rowerze. Choć sposobów pielgrzymowania na Jasną Górę jest kilka, to cel jest jeden: wymodlenie potrzebnych łask

Na najwytrwalszych czeka najdłuższa trasa w kraju – 638 km z Helu w ramach Pielgrzymki Kaszubskiej. Nieco krótsza Pielgrzymka Szczecińsko-Kamieńska – z nadmorskiego Pustkowa – liczy 615 km (to oficjalne dane jasnogórskiego sanktuarium, choć organizatorzy obu pielgrzymek spierają się co do tego, która faktycznie jest najdłuższa). Z Pustkowa pątnicy wyruszyli 25 lipca. Po drodze dołączyła do nich duża grupa ze Szczecina. – Pielgrzymka Szczecińska trwa 20 dni. Mamy świadomość, że trudno niejednokrotnie zapewnić sobie tyle urlopu. Dlatego zachęcamy i zapraszamy do pielgrzymowania etapowego. Widzimy, że taki sposób uczestnictwa sprawdza się w weekendy – na sobotę często dojeżdża nawet kilkanaście osób, które w niedzielę wieczorem wracają do swoich codziennych obowiązków. Jeśli nasze serce jest otwarte, to nawet przemierzając jeden, dwa etapy, możemy przeżyć pielgrzymkę w dobry sposób – mówi „Do Rzeczy” dyrektor Szczecińskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę ks. Karol Łabenda. W tym roku pielgrzymi z Pomorza Zachodniego zmierzają do częstochowskiego sanktuarium już po raz 38.

Czas pandemii bardzo utrudnił pielgrzymowanie. W całym kraju odnotowano spadki spowodowane obostrzeniami covidowymi. – Dwa lata temu z archidiecezji szczecińskiej szło tylko kilka osób jako przedstawiciele. W ubiegłym roku na pielgrzymi szlak wyruszyła grupa 50 osób. W tym roku – na razie trudno powiedzieć. Niektórzy pielgrzymi zapisują się zawsze na ostatnią chwilę. Są tacy, którzy idą na pielgrzymkę 20. raz, a zapisują się w dniu wyjścia – wskazuje ks. Łabenda.

SŁODKI TRUD

W większości pielgrzymi docierają do celu 15 sierpnia lub tuż przed tą datą. To wtedy obchodzone jest Wniebowzię-



cie Najświętszej Maryi Panny. Jednak sanktuarium jest nawiedzane przez wiernych przez cały lipiec i sierpień – 26 sierpnia Kościół w Polsce czci Matkę Bożą Częstochowską. W ubiegłym roku w sezonie pielgrzymkowym na Jasną Górę przybyło w sumie prawie 81 tys. pielgrzymów. Dwa lata wcześniej, przed wybuchem pandemii, samych tylko pieszych pątników były 133 tys. Jest więc nadzieja, że sytuacja wróci do normy. Tak jak niektórzy powracają po wielu latach na pielgrzymi szlak.

– Ostatni raz byłem na pielgrzymce w 2006 r. Przeżyłem ją bardzo ciężko fizycznie. Kolejne lata to śmierć taty, choroba mamy i później jej śmierć. Teraz idę w intencji zdrowia, wiary i szczęścia mojej żony Ireny i córek. Zdrowie i szczęście rodziny wiąże się z tym, aby nie było w Polsce wojny – to kolejna intencja – mówi Romuald Małyszczuk, przedsiębiorca z Warszawy.

Jak wskazuje, pielgrzymowanie nie jest łatwe, jednak jest to ten rodzaj trudu, do którego chce się wracać. – Po pierwszej pielgrzymce byłem wykończony.

I kiedy dotarłem na Jasną Górę, to mimo że doznałem od ludzi wiele wsparcia i czułem atmosferę jedności, miałem przekonanie, że była to moja pierwsza i ostatnia pielgrzymka. Coś mnie jednak pchnęło, aby pójść w kolejnym roku. I tak wyszło, że pielgrzymowałem do Częstochowy 27 razy – dodaje. Było warto, bo kilka lat później na pielgrzymce Romuald Małyszczuk poznał żonę.

Wielu pielgrzymów nie idzie po to, aby o coś prosić, ale aby podziękować Matce Bożej. – Niedawno miałem spotkanie z osobą, która po raz pierwszy wyrusza na szlak. I od razu zaznaczyła, że to pielgrzymka dziękczynna. Udało się jej pokonać raka i chce podziękować po prostu za to, że żyje – relacjonuje ks. Karol Łabenda. Dyrektor Pielgrzymki Szczecińskiej podkreśla, że najważniejszy w pielgrzymowaniu jest jego aspekt duchowy. – Ktoś kiedyś wymyślił u nas hasło, że „tylko Szwedzi szli na Jasną Górę bez spowiedzi”. Ludzie korzystają z sakramentu pokuty i pojednania w trasie, ale też wieczorami, gdy po dotarciu na koniec etapu adorujemy Najświętszy



FOT. ROBERT NEUDAN/W FORUM

śpiew, rozmowy czy milczenie. Droga pozwala oderwać się od codziennego pośpiechu oraz pogoni i po prostu być.

NIE TYLKO PIESZO

Choć pielgrzymowanie pieszo jest najbardziej popularne, to zwolennicy innych rodzajów ruchu też znajdują coś dla siebie. W tym roku odbyła się już szósta edycja Wrocławskiej Pielgrzymki Rolkowej. Przez cztery dni grupa 100 osób na kółkach pokonała 221 km. 2 lipca do jasnogórskiego sanktuarium dotarła z kolei konna pielgrzymka z Zarząd Kościelnych. Jej hasłem był temat roku duszpasterskiego w Polsce „Posłani w pokoju Chrystusa”. Dowódca, st. wachmistrz ks. Andrzej Dmochowski, przekazał, że swój trud kawalerzyści ofiarowali w intencji pokoju na świecie. Pielgrzymowanie wciąż jest atrakcyjne, ponieważ nie tracąc na sensie duchowym, przybiera nowe formy. Miłośnicy biegania, chcący połączyć swoją pasję z pogłębianiem wiary oraz akcją charytatywną, mogli wziąć udział w sztafetowej Pielgrzymce Biegowej z Łodzi na Jasną Górę. Uczestnicy pokonali sztafetowo dystans 3–6 km, aby wieczorem wbiec na jasnogórskie błonia.

Popularne jest też pielgrzymowanie na rowerze. Co ciekawe, oprócz większych pielgrzymek organizowanych przez diecezje powstają inicjatywy prywatne. Taką jest Pielgrzymka Rowerowa ze Złoczewa. – Pomyśl powstał spontanicznie. Będąc na urlopie z kuzynką, zastanawialiśmy się nad zrobieniem czegoś szalonego i pierwsze, co przyszło nam do głowy, to właśnie pielgrzymka. Fajnie byłoby iść pieszo, ale ja nie lubię chodzić, więc skoro tak, to pojedziemy rowerem – opowiada „Do Rzeczy” organizatorka Iwona Kosiara. Dziewczyny nie zwlekąły. – Zebraliśmy naszą pierwotną grupkę (sześć osób, które myślę, że pozostaną z nami już na stałe) i pojechaliśmy. Bez przygotowania, z butelką wody, któraś z nas miała kanapki i herbatę, czym podzieliła się z resztą. Po pierwszych 5 km awaria, ale nic nas nie powstrzymało. Na domiar złego chciałam nam skrócić drogę przez las, w efekcie była to leśna dróżka usypana piaskiem, więc zamiast skrócić, tylko bardziej się zmęczaliśmy. Ale nie ma tego złego, bo po drodze mieliśmy „spotkanie” z Matką Bożą i jedna z uczestniczek powiedziała: „Matko, niechże będzie już normalna droga” i była, 100 m dalej – wspomina ze śmiechem.

W tym roku pielgrzymka ze Złoczewa wyruszy już po raz trzeci. Chętni mają jeszcze czas, bo wyjazd planowany jest na 20 sierpnia. – Intencji jest sporo. Wiele osób, które nie mają możliwości jechać z nami, proszą o modlitwę. Osobiście jadę, dziękując za to, co w życiu mam: za rodzinę, ludzi, których Bóg stawia na mojej drodze, za to, że jestem zdrowa, za każde doświadczenie i to, że choć czasami nie jest lekko, to idę do przodu. A o co proszę? O zdrowie, opiekę nad moimi bliskimi. W tym roku moją intencją będzie szczęście mojej siostry i przyjaciółki, które wychodzą za mąż – mówi Iwona Kosiara.

INTENCJE W SERCU, LOKÓWKI W DOMU

Do drogi trzeba dobrze się przygotować. Mentalnie i fizycznie. Dla wielu pielgrzymów przejście ok. 30 km dziennie to próba charakteru. – Kiedyś jeden z pielgrzymów opowiadał, jak Bóg nauczył go pokory przez buty. Wszystko mu się na pielgrzymce podobało, tylko co chwilę ktoś go deptał po piętach, ciężko

Nawrócenia podczas pielgrzymki dokonują się codziennie – w sakramencie pokuty i pojednania

się szło. Pierwszego dnia chciał wracać, ale żona przekonała go, by jednak zostać. I uświadomił sobie, że tak właśnie Bóg mu pokazał, jak niewiele w nim pokory, ile musi jeszcze się nauczyć – wspomina ks. Karol Łabenda.

Dyrektor Szczecińskiej Pielgrzymki na Jasną Górę zaznacza, że w niezbędniku pielgrzyma najważniejsza jest intencja. – Z rzeczy praktycznych: wygodne, sprawdzone buty. Komplet ubrań na deszcz i słońce. Śpiwór i karimata, turystyczny kubek i sztućce. Bardzo ważne – leki, które przyjmujemy na co dzień. Wiele lat temu zrobiliśmy konkurs na najdziwniejsze rzeczy zabrane ze sobą. Zwłaszcza panie przyznawały się do zabierania lokówek, suszarek, jakichś „cudownych” przyrządów – śmieje się szczeciński kapłan, podkreślając, aby ograniczyć się do niezbędnego minimum.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jerzy Miziołek

Zmagania narodów Europy Środkowo-Wschodniej z Moskwą trwają od przeszło 500 lat. Polacy, Litwini, Rusini i Ukraińcy (Kozacy) stawali razem, by bronić swej wolności. Ukazują je fascynujące dzieła sztuki ciągle oczekujące na wejście na stałe do narodowego imaginarium

Bitwa pod Orszą (1514)
*Wielkie opiewam triumfy / I zwycięskie
 zielone laury / Pod twymi oczyma i skrzydłami
 / I za Twym przewodem, [Janie] Łaski / Tłum
 podnosi polskie zaszczyty / W różnych pochwałach aż
 po same gwiazdy / Oklaskami i delikatnym śpiewem /
 Napełniając [Wieczne] Miasto.*

Taki wiersz krążył po Rzymie, gdzie na początku stycznia 1515 r. świętowano wielkie polsko-litewskie zwycięstwo pod Orszą, odniesione 8 września 1514 r. nad wojskami Wasyla III, wielkiego księcia moskiewskiego. Armia polsko-litewska dowodzona przez hetmana Konstantego Ostrogskiego składała się z zacieężnej jazdy i piechoty oraz litewskiego pospolitego ruszenia. Była to dobrze wyekwipowana, 34-tysięczna ekspedycja wojenna, zbrojna także w armaty, której przeglądu dokonał sam król Zygmunt I. Siły moskiewskie szacowane są przez historyków na ok. 60 tys. Ważną rolę, jak przeszło półtora wieku później pod Wiedniem, odegrała ciężka jazda, która szybko przełamała lewe skrzydło wojsk moskiewskich. Marcin Bielski, kronikarz tamtych czasów, tak opisał klęskę wojsk Wasyla III: „Swoich ucieczką strwożony a od naszych ręką i strzelbą tem mężniej poparty, za drugimi rozprószywszy się, jął w swą stronę przez góry, doły, lasy biec i uciekać, już jako z przegranej bitwy; nasze uciekające bili, siekli, bodli, przez kilka mil, pola, błota, lasy ciał pobitych pełne były, koni też wielka moc leżało”. W bitwie dużą rolę odegrało też uderzenie hufca dowodzonego przez samego Ostrogskiego. Zwycięski hetman zyskał miano Scipio Ruthenus, a sama bitwa doczekała się wspólnego upamiętnienia słynnym obrazem, przechowywanym w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Odwieczne zmagania z Moskwą i ich odbicie w sztuce

To fascynujące dzieło malarskie ukazuje decydującą fazę bitwy opisaną przez Bielskiego. Aż w trzech jej epizodach widzimy hetmana Ostrogskiego z buławą w prawej ręce, ale w obrazie uderza przede wszystkim precyzja w ukazaniu poszczególnych formacji wojsk, uzbrojenia i ferworu bitewnego. Zwycięstwo sił polsko-litewskich pod Orszą powstrzymało na długo zakusy Moskwy na zajęcie Inflant i Rusi, ale nie zostało w pełni wykorzystane, gdyż nie odzyskano Smoleńska, utraconego kilka miesięcy wcześniej; twierdza ta wróciła do Rzeczypospolitej dopiero w czerwcu 1611 r. Zygmunt I zadbał jednak o druk gazetek ulotnych informujących dwory obce o pokonaniu Moskwy, aby w ten sposób rozbić sojusz Wasyla III z Habsburgami. Odbił się też przywołany w cytowanym wierszu, dobrze wyreżyserowany triumf w Wiecznym Mieście. Te rzymskie uroczystości o propagandowym akcencie

zorganizowali, na polecenie króla, prymas Jan Łaski (stąd w wierszu przywołanie jego nazwiska) i Bernard Wapowski.

KRÓLA BATOREGO I JANA ZAMOYSKIEGO BATALIE O INFLANTY

Pomimo pogromu pod Orszą Moskwa wróciła z czasem do działań mających na celu zdobycie Inflant. Zajęcie Narwy (1558), a następnie zamków inflanckich na czele z Dorpatem spowodowało, że w 1559 r. król Zygmunt August wziął Inflanty pod swą opiekę, co przyniosło wojnę z państwem moskiewskim. Walki toczyły się nie tylko w Inflantach, lecz także na całym pograniczu litewsko-moskiewskim. Utrata Połocka w 1563 r. otwierała perspektywę zajęcia stolicy Litwy – Wilna. W tych wojennych okolicznościach doszło do wiekopomnego wydarzenia – utworzenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Unia polsko-litewska, zwana Unią Lubelską, podpisana w 1569 r. oznaczała, że



Bitwa pod Orszą 8 września 1514 r. na obrazie malarza z kręgu Lucasa Cranacha starszego (1525–1535) FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Korona miała ciągle wspierać Litwę w jej walce z Moskwą.

Gdy Iwan IV Groźny podjął kolejne działania prowadzące do zajęcia całych Inflant, Rzeczpospolita musiała przystąpić do działań wojennych zakrojonych na szeroką skalę. Te były udziałem jednego z największych wojowników w dziejach Polski. Kampanie wojenne króla Stefana Batorego (1579–1581) zaowocowały wielkimi sukcesami. Zdobyto Połock, Wielkie Łuki i odzyskano Inflanty. W tych wyprawach wojennych znaczną rolę odegrał hetman Jan Zamoyski. Wprawdzie batalia o Psków nie przyniosła sukcesu, ale kolejne działania wojenne Batorego zmusiły Moskwę do pertraktacji, które upamiętnia – nie całkiem zgodnie z biegiem wydarzeń – słynny obraz Matejki „Batory pod Pskowem”. Rozejm w Jamie Zapolskim (1582) przypieczętował powstrzymanie ekspansji Moskwy na zachód. Otworzył też perspektywę prowadzenia

dalszych działań na wschodniej ścianie Rzeczypospolitej i odzyskania Smoleńska. Śmierć Batorego w 1586 r. uniemożliwiła te plany, oddalając je w czasie. Za Miroslawem Nagielskim warto tu podkreślić, że w czasie tej wojny z Moskwą znakomicie wykorzystywano zagony jazdy na głębokim zapleczu przeciwnika, niszcząc pas terytorium sięgający 400 km i uniemożliwiający Moskwie zorganizowanie w tym okresie armii idącej z odsieczą.

W czasie opisanej wojny Stanisław Sarnicki opublikował niewielki tekst „O triumfiech i o tych rzeczach, które po zwycięstwie bywają” (1581). Traktuje o wieńcach, pomnikach upamiętniających triumfy, takich jak kolumny, posągi konne, obeliski i łuki triumfalne. Na frontyspisie swego dziełka autor te oto umieścił słowa: „Teraz, gdy ludzie prowadzą rozmowy o zdobyciu Połocka i Wielkich Łuków, książeczka ta jest najbardziej godna czytania”. Z imieniem Stefana Batorego wiąże



„Jan Zamoyski”, rycina wykonana w 1617 r. przez Jacopo Lauro FOT. BIBLIOTEKA JACIELLOŃSKA

się nie tylko zwycięska wojna polsko-moskiewska, lecz także okazałe uroczystości triumfalne w Wilnie i Krakowie, w które wpisały się również dokonania kancлера i hetmana Jana Zamoyskiego. Cenną pamiątką jest też rycina – wykonana już w czasach króla Zygmunta III – ukazująca hetmana; zdobią ją liczne sceny z wojny z Moskwą.

Rycina wykonana w 1617 r. przez Jacopo Lauro przedstawia Zamoyskiego jako jeźdźcę w arkadzie łuku triumfalnego, który zawiera niezwykle bogatą ikonografię. „On – pisze o Zamoyskim Szymon Starowolski – prawie jedyny w naszych czasach biegły był w znajomości sztuki wojennej starożytnych Rzymian. Zwiedziwszy za czasów Zygmunta Augusta najbardziej oświecone kraje Europy, jaśniał wśród swoich Sarmatów nauką i wymową nie mniej niż sławą wojenną”. Na rozczłonkowanej architektonicznie elewacji łuku rozmieścił Lauro symetrycznie, w ramach okrągłych, owalnych i prostokątnych, 26 wyobrażeń ilustrujących sławne czyny hetmana i opatrzył je łacińskimi podpisami objaśniającymi. Pośrodku architrawu znajduje się inskrypcja dedykacyjna dla Zygmunta III, w zwieńczeniu – herby królewskie, po bokach zaś – postacie alegoryczne: Sprawiedliwość, Wojna, Zwycięstwo, Męstwo, Władza Publiczna i Sława.

Wspomniane sceny z życia Zamoyskiego ukazują m.in. zdobywanie twierdz, w tym dwóch w czasie wojny moskiewskiej; są to prawdopodobnie Wielkie Łuki i Wieliz. Zdobyte Wielizy uważał ten znakomity wojownik za prawdziwy powód do chwały wojennej, jak cały swój udział



„Bitwa pod Kłuszynem”, obraz Szymona Boguszowicza zamówiony przez Żółkiewskiego dla kościoła w Żółkwi FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ w długotrwałej, ale w pełni zwycięskiej wojnie z wojskami cara Iwana Groźnego.

KŁUSZYN (1610) I SMOLEŃSK (1611)

Postać, która łączy triumfy wojenne czasów Batorego z tymi z czasów Zygmunta III, jest dziad Jana III – hetman Stanisław Żółkiewski. Tytułami do jego chwały – i pochodu triumfalnego w Warszawie w 1611 r. – było nie tylko błyskotliwe zwycięstwo pod Kłuszynem i zajęcie Moskwy, lecz także powszechnie znane rozsądka i mądrość, z których król Zygmunt III nie zawsze chciał korzystać. O mądrości i virtus bellica hetmana zaświadcza jego pisma: „Początek i progres wojny moskiewskiej” z 1612 r. i „Zachęta do cnoty [wojennej]” z 1618 r., gdzie na kanwie jednej z batalii, gdy ze swym nielicznym wojskiem musiał się opierać przeważającym siłom wroga (tak jak potem pod Cecorą), przywołuje Termopile i zmagania Greków z Persami, których miejsce w jego narracji zajmują Polacy i Turcy.

Do działań wojennych przeciw Moskwie skłoniło Zygmunta III zawarcie przez cara Wasylę Szujskiego wymierzonego w Rzeczpospolitą traktatu ze Szwecją w Wyborgu (w lutym 1609 r.). Głównym celem króla było odzyskanie Smoleńska. 21 września siły polsko-litewskie przekroczyły granicę moskiewską, a Litwini z kanclerzem Lwem Sapiehą stanęli pod murami Smoleńska 29 września. Sam Zygmunt III na czele oddziałów polskich dotarł pod Smoleńsk 1 października i tym samym rozpoczęło się regularne oblężenie. Jego powodzenie nie byłoby możliwe bez zwycięstwa pod Kłuszynem.

W czerwcu 1610 r. na odsiecz oblężonej twierdzy ruszyła armia moskiewska dowodzona przez brata cara – Dymitra Szujskiego, wspomaganą przez korpus złożony z sił cudzoziemskich, głównie szwedzkich. Armia ta liczyła przeszło 30 tys. zbrojnych. Wysłane przeciwko nim wojska dowodzone przez hetmana Żółkiewskiego wspierane przez Kozaków były przeszło cztero-

krotnie mniejsze. 4 lipca doszło do starcia na polach kłuszyńskich, gdzie w wyniku wielu szarż kawalerii siły moskiewskie zostały całkowicie rozbite i zmuszone do ucieczki, korpus cudzoziemski zaś skapitulował, widząc pogrom wojsk carskich. W liście hetmana do króla z 5 lipca czytamy: „Po tak wielu się obracaniach i ich, i naszych, że dzielność i męstwo rycerstwa Waszej Królewskiej Mości przemogło nieprzyjaciela, najprzód Moskwa, a potem i cudzoziemcy jeli uciekać. Na cudzoziemcach konnych wjechali żołnierze Waszej Królewskiej Mości w ich obóz bijąc, siekąc tak, iż ich i z obozu pędzili w las”.

Bezcennym uzupełnieniem źródeł pisanych jest wielki obraz (600 x 600 cm) Szymona Boguszowicza, który Żółkiewski zamówił dla kościoła w Żółkwi (obecnie znajduje się w jednym z kościołów w okolicach Lwowa). W jego centrum widzimy dwie chorągwie polskiej husarii atakujące jazdę przeciwnika. Obraz, na którym przedstawiony jest także sam hetman na koniu wskazujący buławą kierunek ataku, jest ważnym źródłem wiedzy o taktyce



„Portret konny Zygmunta III na tle Smoleńska” FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

wojennej (ustawienie oddziałów w szachownicę) i uzbrojeniu. Niewielka armia polsko-litewsko-kozacka powstrzymała napór wojsk moskiewskich, otwierając sobie drogę do Moskwy i umożliwiając zdobycie Smoleńska.

Smoleńsk zdobyto szturmem 13 czerwca 1611 r. w wyniku wybuchu petardy podłożonej przez Bartłomieja Nowodworzkiego pod jedną z wież. W efekcie wybuchu zapasów prochu spłonęło wiele budynków; zginęło kilka tysięcy mieszczan i kilkuset żołnierzy załogi. Po 97 latach panowania moskiewskiego Smoleńsk wracał w granice Rzeczypospolitej. Zygmunt III na pamiątkę wiktarii smoleńskiej nakazał wybite złotego medalu z napisem: „Smolenscum captum die 13 junii 1611”. Hołd carów Szujskich przed Zygmuntem III i jego synem Władysławem miał miejsce

29 października w sali senatu na Zamku Królewskim w Warszawie. Był wyrazem potęgi Rzeczypospolitej i podkreślał jej przewagę nad Moskwą, co wyeksponował w swej mowie hetman Żółkiewski.

Zdobycie Smoleńska upamiętnia sporych rozmiarów rycina opisywana jako „Portret konny Zygmunta III na tle Smoleńska”. Jest powtórzeniem kompozycji obrazu Tomasza Dolabelli, o czym mówi umieszczona na niej inskrypcja. Rycina ukazuje zwycięskiego monarchę jako jeźdźcę z ogromną buławą w prawej dłoni, dominującego nad wizerunkiem zdobywanego miasta forticy widocznego w lewym górnym rogu kompozycji. Jeździec trąca powalonego na ziemię wroga, podczas gdy z lewej strony nadchodzi pochód triumfalny. Sześciu jeźdźców eskortuje grupę pieszych, dostojnie wyglądających, ubranych w długie szaty jeńców, za którymi kroczy dwóch trębacz ogłaszających zwycięstwo.

Królowi Władysławowi udało się w latach 1634–1635 obronić Smoleńsk przed kolejnym atakiem Moskwy, ale jej presja nie ustawała. Utrata twierdzy nastąpiła w 1654 r. Rzeczpospolita już jej nie odzyskała. W styczniu 1667 r. tę bolesną stratę miasta otwierającego drogę do Wilna i Warszawy potwierdził traktat andruszowski. Ostatecznie podpisany w 1686 r. „wieczny mir” z Moskwą oddawał w jej ręce Smoleńszczyznę ze Smoleńskiem.

Wcześniej, jesienią 1660 r., miał miejsce ostatni triumf militarny pierwszej Rzeczypospolitej nad Moskwą; była nim bitwa pod Cudnowem, w której polsko-litewskimi wojskami dowodzili dwaj hetmani – Stanisław Potocki i Jerzy Lubomirski. „Merkuriusz Polski” pod datą 17 czerwca 1661 r. donosił: „Żadna pompa i magnificencja bardziej oczu nie powabiła jako solenna kawalkada hetmanów prowadzących więźnie i znaki moskiewskie przez Krakowskie Przedmieście do Zamku. W Izbie Senatorskiej, gdzie prezentowano królowi [Janowi Kazimierzowi] wodzów rosyjskich [...], insygnia zaś victoriae przed nogi IKMci u baldachimie żołnierstwo rzucało”.

Od czasu zwycięskiej bitwy pod Cudnowem do Cudu nad Wisłą w sierpniu 1920 r. minęło 260 lat. Wówczas, pomimo wielkich wysiłków Piłsudskiego, nie udało się doprowadzić do federacji II Rzeczypospolitej z Ukrainą. Znaczna jej część wpadła wtedy w moskiewską otchłań, z której obecnie – ku zdumieniu całego świata – heroicznie wznosi się ku wolności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ZACZNIJ DZIEŃ Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA

Polska

NA DZIEŃ
DOBRY



od poniedziałku
do soboty

7:35



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz w internecie
na stronie www.tvrepublika.pl.

Wolni ludzie



Wieczorem obóz Tusványos zmienia charakter. Tu na scenie Honeybeast

FOT. PAP ZOLTÁN/TUSVANYOS.RO



Piotr Gociek z Transylwanii

W czasach powszechnego narzekania, że prawica nie umie zaciekawiać młodych i nie wie, jak budować soft power, Węgrzy wskazują drogę

Dopóki nie zamieniłem kilku słów z innymi podróżnikami, dopóty nie miałem pojęcia, jak bardzo byłem uprzywilejowany. Ci, którzy wybrali pociąg z Budapesztu, jechali tu 16 godzin. Ci, którzy wsiedli w samochody, niewiele krócej, bo jadąc ze stolicy Węgier, za kółkiem trzeba spędzić przynajmniej dziewięć, dziesięć godzin, a przecież trzeba jeszcze po drodze coś zjeść i odpocząć. Nagle nasza nieco męcząca podróż, czyli atak na Transylwanię z innej strony – lot z Warszawy do Bukaresztu, potem cztery godziny w aucie – wydała mi się krótka

i luksusowa. Nieważne, grunt, że byliśmy na miejscu.

Było późno: ciepły wieczór, zmrok, a w powietrzu dudniła muzyka wypełniająca całą dolinę, w której rozsiadł się kurort Băile Tușnad. Rumunia, ale wszędzie słychać język węgierski; nic dziwnego, jesteśmy na 31. edycji Uniwersytetu Letniego Tusványos. To impreza organizowana przez instytucje węgierskie dla wielkiej transylwańskiej diaspory. Jesteśmy w sercu Seklerszczyzny, tu niemal 90 proc. ludności mówi po węgiersku. Ilu tu jeszcze Seklerów? Szacunki są różne, jedno źródło mówi o 850 tys., inne – o ponad 1,2 mln.

Zostawiam bagaż w pensjonacie, odbieram niezbędne przepustki z biura organizatorów i pędzę na teren imprezy zobaczyć, jak to wszystko wygląda. Na głównej scenie (mapka informuje, że to scena imienia poety węgierskiego Sándora Petőfi'ego) gra właśnie węgierska gwiazda melodyjnego rocka, zespół Kowalsky meg a Vega (nie mylić z polską grupą Kowalski). Tłum bawi się znakomicie, jest tu na pewno kilka tysięcy ludzi, może więcej,

trudno ocenić w orgii reflektorów bijących ze sceny w ciemność. Spaceruję, słucham, przyglądam się stoiskom z jedzeniem. Jestem tu pierwszy raz. OK, a więc to taki wakacyjny festiwal.

Nic bardziej mylnego.

SŁOWO „UNIWERSYTET” ZOBOWIĄZUJE

Cele i specyfikę Uniwersytetu Letniego mogę poznać i docenić dopiero następnego dnia, po wędrowce przez imponujący obszar tego zbudowanego naprędce miasteczka i zapoznaniu się z programem. W ostatniej chwili dojechała wersja angielska, przeglądam PDF na smartfonie. To nie festiwal muzyczny, to nie maraton rockowy, to nie konkurs talentów. W kilkunastu namiotach rozmaitej wielkości prowadzone są dyskusje, panele, wykłady, promocje książek, spotkania autorskie. Słowo „uniwersytet” zobowiązuje.

Tematy spotkań: „Quo vadis, Europo?”, „Przed czy po burzy – inflacja, ceny energii, recesja”, „Ameryka, Europa i świat”, „Chrześcijaństwo w świecie Zachodu”, „Wizje

przyszłości Unii Europejskiej”, „Przeszłość przyjaźni polsko-węgierskiej w świetle rosyjskiej agresji na Ukrainę”, „Co Europa może zrobić dla Ukrainy?”, „Media i kultura w świecie dezinformacji”, „Nowy konserwatyzm w XXI w.”, „Szkoła Scrutona – renesans konserwatyizmu?”. Wymieniam te najbardziej międzynarodowe, bo poza tym mnóstwo jest także spotkań poświęconych polityce węgierskiej oraz sytuacji Węgrów w Rumunii. Dyskusje przekładane są na język angielski, w namiotach na osobnych stanowiskach siedzą tłumacze, publiczność może zaopatrzyć się w odbiorniki ze słuchawkami; wolontariusze podpowiadają, na którym kanale słuchać jakiego języka. Większość panelistów przyjechała z Węgier, ale bez wątpienia Letni Uniwersytet to impreza międzynarodowa, są goście z uniwersytetów i think tanków z USA, Wielkiej Brytanii, Włoch Austrii, Rumunii.

Po raz pierwszy w historii zaproszono polską delegację. Oprócz niżej podpisanego w dyskusjach brali udział m.in. prof. Andrzej Zybertowicz, dr Maciej Szymanowski (szef Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka) czy Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”. Goście to ciekawy miks polityków różnego szczebla, doradców, przedstawicieli think tanków, NGO-sów, uczelni i mediów. Publikacja na spotkaniach – od kilkudziesięciu do ponad stu osób. Przez cały dzień. Koncerty, widzicie, to tutaj tylko taki deser dla wszystkich zmęczonych słuchaniem wykładów i zadawaniem pytań.

Wieczorem Tusványos zmienia charakter. Na głównej scenie grają gwiazdy, ale w mniejszych, osobnych namiotach słychać zupełnie inną muzykę. Tu folk, tam poezja śpiewana, gdzieś indziej współczesny pop albo nawet taneczna elektronika. Tłum oblega táncház, gdzie słychać muzykę ludową, w której rytm każdy może zatańczyć. Dla tych, którzy nie orientują się, w czym rzecz: „Ruch domów tańca (táncház) narodził się na przełomie lat 60. i 70. na Węgrzech, dzięki grupie młodych entuzjastów muzyki i tańca ludowego. Wzorowany na kulturze, muzyce i tańcu Siedmiogrodu był alternatywą i opozycją dla tradycji związanych z państwem komunistycznym” (informuje Polski Instytut Badawczy i Muzeum, ważna instytucja Polonii węgierskiej). Domy tańca do dziś są na Węgrzech niezmiernie popularne, to jeden z filarów narodowego odrodzenia i ludowego konserwatyizmu. Co ważne, to nie jest tylko rozrywka dla młodych; na deskach namiotu w Băile Tușnad

tańczą wszyscy: politycy, profesorowie, goście zagraniczni i lokalni, starzy i młodzi. Jest transowo.

TAK TO SIĘ ROBI!

Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, przede wszystkim młodych, odwiedziło w tym roku Letni Uniwersytet w Transylwanii. Nawet jeśli szacunki organizatorów są zbyt optymistyczne, to i tak była to impreza imponująca. I perfekcyjnie zorganizowana. W długim ciągu zaparkowanych samochodów widzę rejestrację z Węgier, Rumunii, ze Słowacji, z Serbii, a nawet Ukrainy.

Piszę o tym wszystkim nie dlatego, żeby pochwalić się miłą letnią wycieczką, lecz by uświadomić choć części opinii publicznej w Polsce, i mam nadzieję polskim prawicowym politykom, że można stworzyć konserwatywną soft power z wykorzystaniem kultury masowej. Trzeba tylko cierpliwości, konsekwencji i pieniędzy (wśród sponsorów imprezy były węgierskie banki, firmy ubezpieczeniowe, poczta węgierska itp.). Można zorganizować festiwal, uniwersytet, zjazd, jak zwał, tak zwał, które nie będą ani hermetycznym spotkaniem jakiejś grupy (jak zjazdy Klubów „Gazety Polskiej”), ani jedynie elitarnym spotkaniem ekspertów, jak Kongres Polska Wielki Projekt. Ten ostatni to wspaniała i niesłychanie potrzebna inicjatywa. Ale czy stałoby się coś strasznego, gdyby podejmować w Polsce podobne, tylko bardziej... ludowe? Zapewniam, że poziom dyskusji na Letnim Uniwersytecie nie był niższy niż na panelach podczas PWP.

W naszym nieustannym narzekaniu, jak prawica przegrywa bitwę o kulturę, w biadoleniu o upadku cywilizacji Zachodu, w lękach o przyszłość chrześcijaństwa, w nieustannym zamartwianiu, że elektorat się starzeje... Cóż, w tym wszystkim przykład Tusványos jest wielce optymistyczny, by nie rzec – ołśniewający. Nikt nie boi się tu zacząć oficjalnie imprezy od mszy świętej na wolnym powietrzu, kultura kwitnie, rozmowy są nie tylko o schyłku, lecz także o możliwych drogach ratunku dla Zachodu, a wszystkiemu przysłuchują się młodzi. Można? Można.

UTOPIA?

Tak, wiem, jestem utopistą. Nie wiem, czy u nas nie skończyłoby się polityczną awanturą pt. „Czyja to właściwie impreza?” (już nawet nie czyjej partii, ale której frakcji), czy sponsorzy nie mieliby absurdalnych oczekiwań, czy nie wjechałyby natychmiast bojówki barbarzyńców z KOD, czy media tzw. głównego nurtu nie pisałyby wcześniej z rozkoszą przez pół roku o tym, ilu to artystów odmówiło występu na „zjeździe faszystów”, a przez kolejne – już po imprezie – wyciągały z kontekstu wypowiedzi i nimi manipulowały. Być może. Zapewne.

Ale w mojej pamięci zapisały się te wszystkie dyskusje, panele, koncerty i tańce jako spotkanie wolnych ludzi z wolnymi ludźmi, którzy nie wstydzą się swojej tradycji i uważają, że ich narody mają przyszłość.

Czyż nie jest to godny propagowania program minimum dla polskiej prawicy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tu folk, tam poezja śpiewana, gdzieś indziej współczesny pop albo nawet taneczna elektronika. Na zdjęciu: Szabó Balázs Bandája
FOT. SZENNYES KRISZTIÁN/TUSVANYOS.RO



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEĆ

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

DVD

Czy warto było?



★★★★★
REŻ. DAVID YATES
„FANTASTYCZNE
ZWIERZĘTA:
TAJEMNICE
DUMBLEDORE'A"
(„FANTASTIC
BEASTS: THE
SECRETS OF
DUMBLEDORE")
USA 2022

Nie było okazji poznać się przy okazji premiery kinowej, zrobię to w chwili, gdy film „Fantastyczne zwierzęta: Tajemnice Dumbledore'a” trafia na płyty DVD. Po pierwsze, jest nad czym się zmyślać, po drugie, trzeba odnotować, jak ideologiczne szaleństwa składają do grobu niezwykle popularną franczyzę. Dokrętka nowych opowieści do świata Harry'ego Pottera miała być przecież źródłem dochodów Warnera przez dwie dekady, tymczasem po trzecim filmie serii prace nad kolejnymi wstrzymano. A przecież zapowiadano ich pięć. Kasa też się nie zgadza – film kosztujący 200 mln dol. zarobił łącznie na świecie nieco ponad 400 mln. Co oznacza, że po odjęciu wydatków na reklamę i marketing przed-

sięwzięcie było tylko minimalnie opłacalne. Przypomnę, że trzeci film serii oryginalnej, czyli „Harry Potter i więzień Azkabanu”, kosztował 130 mln, a zarobił niemal 800 mln. Tak to się robi.

Zostawię z boku dyskusję o tym, jakim numerem na wyrwę było wyciskanie na siłę kolejnej serii filmów z tego samego świata, ale bez ukochanych bohaterów. Zajmę się jakością samego cyklu. Pierwszy film „Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć” miał jeszcze wdzięk i wciągającą intrygę. Drugi („Zbrodnie Grindelwalda”) zamieniał się w męczącą tyradę o rasizmie i nietolerancji. Trzeci, „Tajemnice Dumbledore'a”, to już pełna katastrofa. Fabuła jest szczątkowa, dialogi słuszne, to znaczy dętwe, niemal

wszystkie postacie utraciły swój urok i wyglądają na zmęczone kolejnym dniem w pracy (łącznie z Eddiem Redmaynem w roli Newta Skamandera, który niósł na swych barkach sukces filmu pierwszego). Nic tu nie porywa – ani kolejne fantastyczne stwory, ani wymuszona, rozciągnięta sekwencja walki czarodziejów, kiedy to ziewamy, obserwując, jak przez kwadrans jacyś ludzie machają patykami, a inni zamieniają się w czarne dymki.

Caość pograża absurdalny pomysł dopisania homoseksualnej przeszłości przysiężnemu dyrektorowi Hogwartu, czyli Albusowi Dumbledore'owi. Film otwiera sprzeczka dawnych męskich kochanków o pryncypia, odkrywamy też, że za młodu złożyli przysięgę krwi. Jak teraz oglądać serię o Harrym Potterze, wiedząc, że mentorem małoletniego czarodzieja jest niemal wszechmocny osobnik, który może spoglądać na niego jak na smaczny kąsek? Tej tajemnicy akurat nie było nam w czarodziejskim świecie potrzeba. ©



NOWE SERIALE: „PRIMAL”

Niezwykle osiągnięcie gwiazdy animacji, którą jest w USA Genndy Tartakovsky. Autor takich hitów Cartoon Network jak „Laboratorium Dextera”, „Samuraj Jack” czy pierwszej serialowej wersji „Wojen klonów” stworzył serię dla dorosłych „Primal”, której akcja rozgrywa się w czasach prehistorycznych ubarwionych fantastyką. Opowieść

o wspólnych wędrówkach ludzkiego wojownika i samicy tyranozaura odbywa się bez dialogów, wszystko opowiadane jest gestem, ruchem, mimiką. Pierwszy sezon powstał w roku 2019, teraz do HBO Max trafia premierowo sezon drugi. ©

Piotr Gocieć

• sezony 1–2 „Primal”, USA 2019–2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „**Słodkie kłamstwka: Grzech pierworodny**” („**Pretty Little Liars: Original Sin**”), USA 2022

• miniseria dokumentalna „**Light & Magic**”, USA 2022

• sezon 1 „**Paper Girls**”, USA 2022

Jeszcze nie dziś

KINO

79-letni David Cronenberg próbuje zainfekować młode pokolenie kinomanów swoimi starymi obsesjami. Punkt wyjścia jest prosty: ludzkie ciało nie nadąża za technologiczną rewolucją i coś z tym trzeba zrobić. Drogę do nowego, wspaniałego świata wskazują artyści. Na tle konkurencji – faceta z tysiącem uszu czy panny publicznie dokonującej aktów samooszczędzenia – performer Saul jawi się twórcą przez duże T. Hoduje w sobie eksperymentalne organy, by po jakimś czasie, ku zachwytowi widzów, usuwać je operacyjnie. „Artysta ludzkiego wnętrza” ma też inne atuty: ponętną asystentkę oraz stylowe łożo służące do autopsji. Któż poskromi tę moralną anarchię? Nie urzędnicy, którzy

sami zdradzają chorobliwy pociąg do praktyk sadomasochistycznych, ani lubiąca się w prowokacjach i tropieniu spisku policja. Trudno i darmo: „chirurgia to seks przyszłości”.



★★★★★

REŻ. DAVID CRONENBERG
„ZBRODNI PRZYSZŁOŚCI”
 („CRIMES OF THE FUTURE”)
WIELKA BRYTANIA/KANADA/GRECJA/FRANCJA 2022

wyst. Viggo Mortensen, Léa Seydoux, Scott Speedman

Bliżnim z wrażliwymi żołądkami tego filmu nie polecam, fanom body artu tudzież czarnego jak smoła poczucia humoru – jak najbardziej. Na Kremlu „Zbrodnie przyszłości” też mogą się spodobać, ponieważ potwierdzają tezę o zblazowanym, zgniłym Zachodzie, który chciałby znowu poczuć ból (istnienia). Osobiście od Cronenberga „proroka i futurologa” wolę Cronenberga penetrującego mroczne zakamarki ludzkiego umysłu. Może to nie jest jego ostatnie słowo? ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DUSZA UDREĆZONA

arte



★★★★★

REŻ. BRUNO SEVAISTRE
„MEL GIBSON. PORTRÉT EKSCENTRYKA”
 („MEL GIBSON. À LA FOLIE, PASSIONNÉMENT...”)

Gibson to nonkonformista – przyznają to nawet wrogowie. Za własne pieniądze nakręcił „Hamleta”, „Człowieka bez twarzy” i „Pasję”. Najlepiej odnajdywał się w rolach strażników. Pięć Oscarów dla „Braveheart” wyszło mu jednak bokiem. Oglądając dawne wywiady, łatwo zauważyć, że z Melem jest coś nie tak. Za aktorską i reżyserską intensywność zapłacił wysoką cenę. Ukojenia szukał w alkoholu, nerwy puszczały mu w najmniej odpowiednich momentach. Media obieły wieści o chorobie dwubiegunowej. W Hollywood ekscy gwiazdów są chlebem powszednim, ale podejrzanym o konserwizm, katolicyzm, antysemityzm i antyfeminizm grozi śmierć cywilna. Gibson upadł, doczekał amnestii, jednak sytuacja jest dynamiczna, bo chce nakręcić „Zmartwychwstanie”. Francuzi kochają ludzi sponiewieranych przez Amerykę, więc wystawiają diagnozę: „Za luzowym spojrzeniem i zabójczym wdziękiem kryje się udrećzona dusza”. ©©

88 KOCHANKÓW

HBO max



★★★★★

REŻ. ANNE SEWITSKY
„SKANDAL W BRYTYJSKIM STYLU”
 („A VERY BRITISH SCANDAL”)

Ryba psuje się od głowy, a społeczeństwo od góry. Historia Margaret Campbell i jej męża Iana, księcia Argyll, była tego kolejnym potwierdzeniem. Jakims cudem wytrzymali razem lat kilka, ale potem nastąpiło publiczne pranie brudów. Zdaje się, że byli siebie wari. On sobek i alkoholik, ona rozpustnica i kłamczucha.

WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Claire Foy, Paul Bettany, Julia Davis

Trzydziestokrotny serial, ekszumuujący obyczajową aferę sprzed półwiecza, nieco przesunął akcenty. Drzewiej opinia publiczna chętniej obwiniała kobiety, dziś nawet w żołądku widzi się ofiary patriarchy. To, że w roli Margaret obsadzono aktorkę, która chwilę wcześniej popisowo wcieliła się w królową Elżbietę II, też ma swoją wymowę. „Skandal w brytyjskim stylu” podtrzymuje dobrą passę wyspiarskich fabuł o szlachty i nudyżmach z wyższych sfer. Zanim seans dobiegnie końca, ku własnemu zaskoczeniu ujrzemy w nich istoty ludzkie, godne jeśli nie sympatii, to przynajmniej współczucia. ©©

recenzuje Wiesław Chełmniał

GRA TYGODNIA: „GWINT: MAG RENEGAT”

Singlowy dodatek do „Gwinta”, czyli karcianki w świecie „Wiedźm”. Brak głośnych zapowiedzi, częściowa polonizacja (napisy) i niska cena wskazują, że mamy do czynienia z budżetowym produktem. Ci, którzy liczyli na coś na miarę „Wojuj krwi”, mogą poczuć się rozczarowani. Fabuła nie porówna

(wcielamy się w maga poszukującego mutagenów w celu stworzenia pierwszych wiedźminów). A rozgrywka? Karty jak z pełnoprawnego „Gwinta”, ale inne zasady budowania decku. Całość w konwencji roguelike, a więc pierwsza przegrana cofa nas do początku (pojedynki skrócono do



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jednej rundy). Grosza dają wiedźminowi na zakład, że nie wszystkim starczy zapasu, by doprowadzić fabułę do finału. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** karcianka
 • **Platforma:** PC, iOS, And
 • **Producent, wydawca:** CD PROJEKT RED

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wielkie, własne i święte

Powstanie, którego 78. rocznicę obchodzimy, dla urodzonych tutaj, mających warszawskie korzenie, jest czymś absolutnie wyjątkowym, a już dla tych, których przodkowie, krewni czy kuzyni walczyli w nim, jakże często płacąc za to krwią, stanowi świętość. Strzeżemy więc pamięci Godziny „W”, dumnie podkreślając, że jesteśmy następcami, ideowymi spadkobiercami bohaterów sierpnia 1944 r. Powstanie Warszawskie wpisane jest w nasze biografie już samą nazwą konkretnie je lokalizującą. To nie żadne – mówimy, nawiązując do historycznych polskich insurekcji – powstanie sierpniowe, ale powstanie chłopców i dziewcząt z Woli i Ochoty, Mokotowa i Żoliborza, Powiśla i Starówki. Stąd.

Ale czy tylko? Oto ukazała się książka Agnieszki Cubały pt. „Wielkopolanie '44” z podtytułem: „Jak mieszkańcy Wielkopolski walczyli w powstaniu warszawskim”. Sam aneks do tej pracy zawiera ponad 1 tys. powstańczych biogramów osób związanych nie z Warszawą, a z Poznaniem i Kaliszem, Gnieznem, Leszmem, Koninem, Szamotułami. Mieszkańców Okręgu Rzeszy Poznań i Kraju Warty, którzy znaleźli w stolicy schronienie po ucieczce lub deportacji ze swej ziemi rodzinnej. Włączyli się tu zaraz do pracy konspiracyjnej; pierwszym delegatem rządu na kraj został przedwojenny prezydent Poznania, Cyryl Ratajski, a pierwszym naczelnikiem „Szarych Szeregów” (współautorem tego harcerskiego kryptonimu był inny wielkopolanin, Józef Wiza) – poznański instruktor Florian Marciniak.

W Powstaniu Warszawskim dowodzili wielkopolanie zgrupowaniami, batalionami i kompaniami, a przede wszystkim walczyli w nich. Działali w najróżniejszych

służbach, pracowali w łączności, kobiety „pełniły znacznie mniej widowiskową służbę w kuchniach polowych, punktach opatrunkowych i szpitalach, szwalniach czy gospodach żołnierskich peżetek (kobiecej organizacji Pomoc Żołnierzowi)”.

„Do legendy – pisze Agnieszka Cubała – przeszło wielu wybitnych wielkopolskich lekarzy, którzy w koszmarnych warunkach ratowali ludzkie życie, przeprowadzając z sukcesem najtrudniejsze operacje bez dostępu do wody i prądu, bez środków znieczulających, a nawet podstawowych narzędzi chirurgicznych. Niektórzy, dzięki ogromnej odwadze, umiejętności zachowania zimnej krwi i świetnej znajomości języka niemieckiego, uratowali setki rannych przed egzekucjami”. Wielu z nich nie uniknęło jednak śmierci.

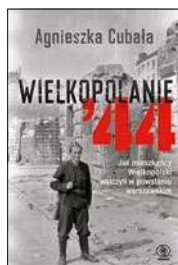
I tak powstańcy przydziel do Szpitala Wolskiego dostał wyrzucony przez Niemców z Poznania prof. Janusz Zeyland, wybitny specjalista w zakresie gruźlicy dziecięcej, powstaniec wielkopolski i uczestnik wojny z bolszewikami, z czego pozostała mu pamiątka w postaci inwalidztwa. 5 sierpnia do szpitala przy ul. Płockiej wtargnęli dowodzący przez niemieckich esesmanów rosyjskojęzyczni żołnierze. Jeden z nich kazał profesorowi oraz dyrektorowi szpitala i szpitalnemu kapelanowi stanąć za biurkiem, po czym zabił ich strzałami w głowę. Ciało profesora, pochowane w zbiorowej mogile na szpitalnym podwórzu, w marcu 1945 r. zostało ekshumowane i przeniesione, najpierw na warszawskie Powązki, a następnie na poznański cmentarz na Jeźcach.

Miał swoje poznańskie i kaliskie lata autor wiersza „Apel Warszawy”, bardziej znanego jako „Żądamy amunicji”, Zbigniew Jasiński. Tak opisał zdarzenie,

którego był świadkiem 1 sierpnia, gdy ul. Mokotowską szedł „do powstania” z bliską swemu sercu Sławą: „Na wprost nas stał młody, śliczny chłopiec w brązowym, aksamitnym ubraniu, z kołnierzykiem wykładanym »à la Słowacki«. Lecz co przede wszystkim przykuwało doń zdumione oczy, to rogatywka z orłem, a w rękach – karabin! Wtedy – może to był patos – ruchem nagłym, a wariackim wyszarpnąłem z teczki mój beret z orzełkiem i wcisnąłem na głowę... i patrzę na Sławę, w gardle mnie ścisła... Ona tego nie widzi... zapatrzona w chłopca z karabinem, uśmiechnięta... a ręce jej – jak w śnie lunatycznym – sięgają wolno do torebki po duży, »legionowy« orzełek i drząc, przypinają srebrny symbol do bluzki. W chwilę później padł chłopiec twarzą w rynsztok”.

Zbigniew Jasiński, nazywany głosem walczącego miasta także z tej racji, że obok Zbigniewa Świętochowskiego był spikerem Stacji Nadawczej AK „Błyskawica”, nie wrócił po Powstaniu Warszawskim do Polski. Wyemigrował do Australii, gdzie zmarł w 1984 r. Miał życie barwne, choć trudne i niejednowymiarowe, bo i sam nie był postacią pomnikową. Ale o powstaniu zawsze mówił z czcią i dumą z tego, że „miał się w życiu coś, co było własne, wielkie i święte”.

Powtórzę raz jeszcze: w książce „Wielkopolanie '44” pomieszczonych zostało ponad tysiąc powstańczych biogramów, z konieczności lapidarnych. Każdy z nich poświadcza sens słów wypowiedzianych przez kpt. Zofię Grodecką (łączniczke AK zmarłą w 2009 r. w Poznaniu i z miastem tym związaną, choć urodzoną we Lwowie): „Powstanie 1944 roku było powstaniem narodowym. Warszawskim z lokalizacji, a narodowym w treści”. ©



★★★★★
AGNIESZKA
CUBAŁA
„WIELKO-
POLANIE '44”
REBIS,
POZNAŃ 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zabijanie pamięci

O czym tu gadać? Książka „Wojna powietrzna i literatura” W.G. Sebald ukazała się po polsku 10 lat temu, były recenzje i spory. Teraz eseje wznowiono, bo Ossolineum wydaje dzieła wybrane niemieckiego pisarza. A jednak wrócić do tego tomu trzeba koniecznie, bo przy okazji niemieckiego wołania o prawdę dostrzec możemy nasze polskie z prawdą kłopoty.

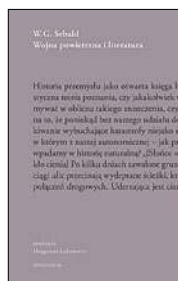
Rzecz jest oparta na krótkiej serii wykładów, Sebald potem rzecz poprawiał, zmieniał, redagował przez ponad 10 lat, szykując się do potężnego ataku na niemieckich pisarzy i literaturę. Zarzuca im zbiorową amnezję, amputację pamięci, odwrócenie się od wielkiej traumy przeszłości. Dlaczego – pyta – wyparłicie pamięć o alianckich nalotach i o setkach tysięcy ofiar? Bo uważaliście, że sprawcy wojny nie mają prawa pamiętać? Ważna uwaga: Sebald nie wzywa do rewanżu, to nie jest apel o to, by hitlerowskie Niemcy nazwać niewinną ofiarą, a bombardujących Drezno czy Hamburg Anglików i Amerykanów – barbarzyńcami. Nie, Sebald mówi tylko, że żaden naród nie może istnieć bez pamięci, a niemiecka pamięć jest okaleczona, bo po prostu wielką narodową traumę po prostu postanowiła dyskretnie ominąć.

Całość uzupełnia jeszcze szkic o Alfredzie Anderschu, rzecz raczej dla polskiego odbiorcy hermetyczna. Pamiętam, jak przed laty, czytając jego „Spisek w Winterspeltie”, wynudziłem się śmiertelnie. Ale przynajmniej dzięki Sebaldowi wiem już dlaczego. Natomiast oczywiście, dla wywodu zawartego w książce, jest to tekst istotny.

Po pasji apel Sebald o pamięć przypominał mi wszystkie te amputacje, których na polskiej tożsamości dokonywał PRL. Kresy były tematem zakazanym. Całe morze polskiej literatury i kultury związanej z utraconymi ziemiami na wschodzie musiało zejść na emigrację, do podziemia lub zamieszkać jedynie w rozmowach prywatnych przesiedleńców. Tyle że PRL manipulował i zakazywał, a pisarze niemieccy dokonali autocenzury. Czy można mieć do nich o to pretensje? Oczywiście. Tak jak można

mieć pretensje do polskich pisarzy, że w przezwijającej liczbie dokonali autoamputacji pamięci w związku z tragedią smoleńską. Dlaczego? Odpowiadał kilka miesięcy temu prof. Andrzej Żybertowicz: „Bo są kartami moralnymi i intelektualnymi”. Myślę, że Sebaldowi spodobałaby się ta odpowiedź. ©©

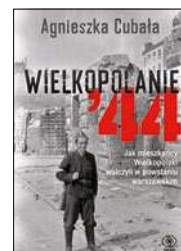
Piotr Gociek



★★★★★
W.G. SEBALD
„WOJNA POWIETRZNA I LITERATURA”
OSSOLINEUM
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Intrygujące spojrzenie na powstańczy zryw stolicy – mało kto wie, jak wielu uciekinierów i przesiedleńców z Kraju Warty zaangażowało się w działalność konspiracyjną, a potem walczyło w powstaniu (m.in. dowódca „Parasola”).



AGNIESZKA CUDALA
„WIELKOPOLSKIE 44”
REBIS

Biografia Eugenii Pol, zbrodniarki wojennej, jednej z najbardziej okrutnych strażniczek niemieckiego obozu dla dzieci i młodzieży przy ul. Przemysłowej w Łodzi. W PRL pracowała w żłobku. Skazano ją dopiero w roku 1974.



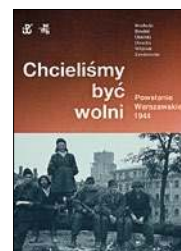
BŁAŻEJ TORAŃSKI
„KAT POLSKICH DZIECI”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Misja była niemal samobójcza, paliwa starczało tylko, by dokonać zrzutów pomocy nad walczącą Warszawą i lądować na sowieckich lotniskach. To, co działo się na tych ostatnich, zajmuje szczególnie ciekawą partię książki.



SERHII PLOKHII
„MOST NAD PIEKŁEM. AMERYKAŃSKIE BOMBOWCE NA POLSKIM NIEBIE”
ZNAK

Grupa historyków z Muzeum Powstania Warszawskiego przygotowała na 78. rocznicę zrywu okupowanej przez Niemców Warszawy obszerną antologię. Napisana przystępnie, obficie ilustrowana – dobre wprowadzenie w temat. ©© **Piotr Gociek**



AUTORZY RÓŻNI
„CHCIELIŚMY BYĆ WOLNI. POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944”
W.A.B.

KOMIKS TYGODNIA: „POWSTAŃCY 1944”

Pełny tytuł to „Tytus, Romek i A'Tomek jako warszawscy powstańcy 1944, z wyobraźni Papcia Chmiela narysowani”. Henryk Jerzy Chmielewski, legenda polskiego komiksu, był żołnierzem AK (ps. Jupiter) i walczył w Powstaniu Warszawskim. Swoje losy opisał w autobiografii „Urodziłem się w Barbakanie”. W 2008 r. zakończył rysowanie głównej serii o Tytusie (na księdze XXXI) i rozpoczął tworzenie albumów z tymi samymi bohaterami, ale przybliżających czytelnikowi historię Polski.



HENRYK JERZY CHMIELEWSKI
„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK”
PRÓSZYŃSKI 2022

Pierwszym z nich był tom o powstaniu, teraz wznowiony w twardej oprawie. ©© **poleca Piotr Gociek**

DO ZOBACZENIA

Święty Jerzy i smok. I nie tylko



RADOSŁAW WOJTAS

Pasjonat Włoch i Quattrocenta, Karol Lanckoroński, skupował obrazy na europejskim rynku antykwarycznym w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. i w pierwszych latach XX. Stworzył jedną z najszlachetniejszych w Europie kolekcji malarstwa Italii. Zbiory obejmowały także m.in. obrazy artystów holenderskich, niemieckich, francuskich i hiszpańskich, porcelanę, numizmaty, sztukę orientalną, tkaniny...



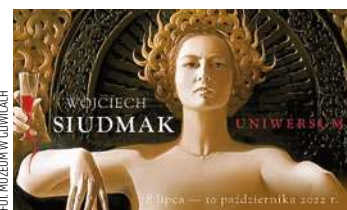
FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Po drugiej wojnie światowej kolekcja była stopniowo rozprzedawana przez spadkobierców Karola Lanckorońskiego. Jednak świadoma historycznej i artystycznej wartości kolekcji Karolina Lanckorońska zdecydowała o wyłączeniu ze sprzedaży części dzieł i przekazaniu jej do polskich zbiorów.

W 20. rocznicę jej śmierci Zamek Królewski na Wawelu przypomina jej sylwetkę i ten dar. Prezentuje dzieła będące na co dzień w zasobach krakowskiego muzeum oraz płótna, które trafiły na rynek antykwaryczny i są dziś częścią zagranicznych zbiorów. Wśród nich „Święty Jerzy i smok” Paola Uccella, „Portret 21-letniej kobiety” pędzla naśladowcy Bartholomaeusa Bruyna starszego oraz „Towarzystwo w parku” Barends Graata. ©©

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu

KIEDY? do 2 października



FOT. MUZEUM W GLIWICACH

FANTASTYCZNY SIUDMAK

„[...] niekończące się kręcenie nosem przez krytyków sztuki nie powstrzyma i nie przeszkadza Wojciechowi Siudmakowi nadal być jednym z niewielu współczesnych, polskich artystów, który sięgnął po rzeczywistość, międzynarodową sławę i popularność” – piszą autorzy wystawy malarstwa i rysunków pt. „Wojciech Siudmak. Uniwersum”. Przypominają, że tego urodzonego w Wieluniu przedstawiciela realizmu fantastycznego, autora setek okładek i ilustracji w światowych wydawnictwach SF docenili tacy giganci jak George Lucas czy Federico Fellini. ©©

GDZIE? Muzeum w Gliwicach

– Willa Caro

KIEDY? do 8 października

NA SŁUCH

Norwid odmieniany przez style



GRZEGORZ BRZozowicz

Po sukcesie albumu „Herbert 3.0” pod patronatem Narodowego Centrum Kultury ukazała się płyta poświęcona muzycznej interpretacji twórczości Cypriana Norwida.

Album zawiera zapis recitalu z okazji 200. rocznicy urodzin poety, który miał miejsce 15 listopada 2021 r. w Studiu Koncertowym Polskiego Radia. Kierownikiem muzycznym był Miłosz Wośko, który w swej twórczości łączy jazz z muzyką poważną. Zaprosił on do współpracy gwiazdy: popu (Gaba Kulka, Renata Przemyk, Tomasz Makowiecki), alternatywy (Baasch), hip-hopu (Meek, Oh Why?), jazzu (Kuba Stankiewicz, Kuba Więcek, Joanna Duda,

EABS), piosenki aktorskiej (Hanna Łubieńska, Jacek Kotlarski) i rocka (SBB). W warstwie lirycznej wybrano wiersze pochodzące ze zbioru Norwida „Vade-mecum”, w tym nagrane w latach 70. przez Czesława Niemena „Pielgrzym” i „Marionetki”.

Program koncertu został ułożony jako spójna całość i jako taki wypada interesująco. Miłośników klasyki rocka zainteresuje „Pielgrzym” w wykonaniu SBB, który to zespół współpracował z Niemenem w latach 70. Natomiast jazzowy EABS wsparty o gitarzystę Apostolisa Anthimosa (SBB) wykonał mieniącą się różnymi nastrojami instrumentalną wersję „Bema pamięci żałobnego rapsodu”. ©©



★★★★★

TOMASZ LADA

„ZAGRANI NA ŚMIERĆ”

CZARNE

Historia perkusisty (Janusza Rojta), wokalisty (Dariusza „Skandala” Hajna)

i gitarzysty (Roberta Sadowskiego). Opowieść o talentach niszczonej przez nałogi jest też mrocznym opisem muzycznego podziemia przełomu XX i XXI w.



★★★★★

JACK WHITE

„ENTERING HEAVEN ALIVE”

THIRD MAN RECORDS

Akustyczny kontrapunkt dla wydanego przed trzema miesiącami rozhisteryzowanego, atonalnego albumu „Fear of the Dawn”. White brzdąka na gitarze akustycznej, ale tylko pozornie trafiamy do krainy łagodności. Za łagodnymi nutami i tu czają się paranoja i strach. ©©



★★★★★

RÓŻNI WYKONAWCY
„NORWID/OD.NOWA”
NCK

Tadeusz Słobodzianek. Jeden z artystów rzeczywistych, a nie tylko wylansowanych – choć tajniki lansu posiadał, zanim to było modne. Wybitny reprezentant pokolenia, które w latach 90. i dwutysięcznych dostawało wszystko i osiągnęło wszystko. Dziś pokolenie złapało zadyszkę albo osiadło na laurach i zajmuje się utrzymywaniem stanowisk i podtrzymaniem chwały własnego nazwiska, zamienionego na markę. Wydawało się, że i tzw. Słobo gra w tej lidze, a tu tymczasem – niespodzianka. Słobodzianek dramaturg zrobił fabularnego twista i napisał doskonały zbiór dramatów – „Kwartety otwockie”. Jak to się stało? Covidowy areszt domowy? Wejście w zdrowotną smugę cienia? Perturbacje zawodowe, kiedy to niegdysiejsi sojusznicy z warszawskiego Ratusza przestali stawiać na dyrektora Teatru Dramatycznego i zrezygnowali z jego usług na rzecz Moniki Strzępki?

Faktem jest, że autor „Naszej klasy” przestał pisać sztuki polityczno-światopoglądowe z nutką egzystencjalizmu. Po dotkliwym doświadczeniu wywindowania, a potem odsunięcia, doświadczeniu w swej naturze przede wszystkim politycznym, wrócił, przemieniony, do swoich korzeni z wczesnych lat 90. Znow zaczął pisać sztuki egzystencjalne, gdzie mierzy się z tematami spoza aktualnie obowiązującej puli, zanurzając się w innym, szerszym uniwersum, a przy okazji daje wyraz dojrzałemu rozczarowaniu polityką jako zbiorem działań bezideowych, nastawionych na grę o władzę.

„Kwartety otwockie” są o wielu sprawach, ale najbardziej o tym, że w ostatecznym rozrachunku liczy się jedynie Sztuka, i to taka serio, naprawdę pisana wielką literą. Archetypiczna to historia... Rewolucja zjada swoje dzieci,

To idzie młodość



Grzegorz Kondrasiuk

„Kwartety otwockie” są o wielu sprawach, ale najbardziej o tym, że w ostatecznym rozrachunku liczy się jedynie Sztuka, i to taka serio, naprawdę pisana wielką literą

dawny pupil Salonu dziś jest okrzykany przez dzieci i wnuki tej rewolucji jako dziaders, którego należy natychmiast odstawić na śmietnik historii. Są dwa powody przyspieszenia tego procesu.

Po pierwsze, radykalizacja nastrojów, języka, postaw na lewej stronie. Jesteśmy na wojnie, nam nie wystarcza już Olga Tokarczuk ze swoim czułym narratorem, potrzebujemy Agnieszki Szpili (autorki „Heksy”, być może niebawem w próbach w nowym Dramatycznym pod Moniką Strzępką i jej nową, równościową i ekofeministyczną ekipą), która nawołuje, by „puścić z dymem ten katolicki kurwidół”.

I po drugie, co jest powiązane z pierwszym, zmiana pokoleniowa. Detronizacja Słobodzianka (tak jak detronizacja Krystiana Lupy) świadczy o tym, że właśnie do teatrów idzie młodość. Młodość totalnie antystemowa, dla której i np. Lupa, i „Słobo” to



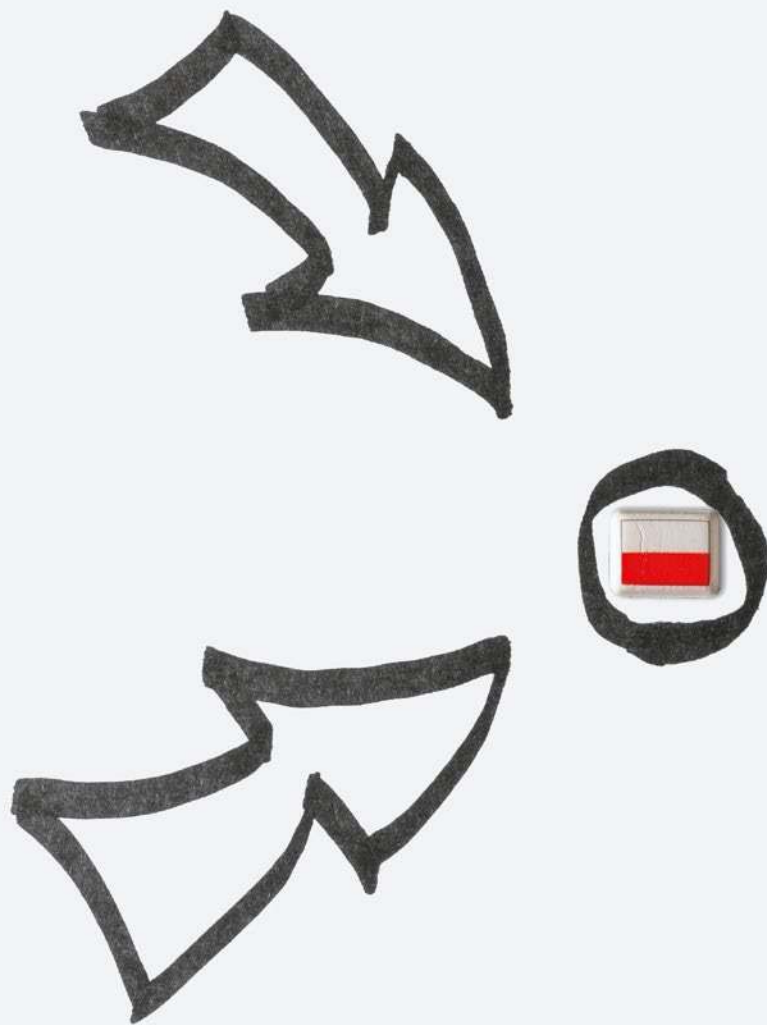
przedstawiciele tej samej dziadersowskiej, patriarchalnej gangreny. Młodość jest tu kategorią problematyczną, bo chociaż w inwektywach i polemikach przewija się ten, jakże równościowy, ejdżystowski argument wieku (nie da się przecież uciec od źródłosłowa ulubionej obelgi, „dziadersa”), to chodzi głównie o jasne wytyczenie granicy pomiędzy „my” i „oni”.

Oni to ci, którzy zamiast uprawiania aktywizmu coś tam jeszcze bełkoczą o Sztuce albo uparcie, tak jak Lupa, robią spektakle o wypaleniu dawnych ideałów, sięgając po ikony własnego światopoglądu (jak to ostatnio zrobił Lupa z Johnem Lennonem w „Imagine”). Pokolenie dzisiejszych 30-, 40- i 50-latków, którym daje się obecnie teatry, złapane w pułapkę radykalizmu, ma dwa wyjścia i żadnej możliwości pośredniej. Pozostać po tamtej, złej stronie albo odciąć się od skompromitowanego

ponoć teatru w zwykłym tego słowa znaczeniu, gdzie pojęcia dzieła sztuki i autonomii sztuki jeszcze coś znaczą. Odciąć i przyłączyć się do ruchu w teatrze (i ogólnie w kulturze) narzucającego ton, widoczniejszego i słyszalniejszego. Jeśli tego nie zrobi, to naraża się na zarzuty kolaboracji z PiS, w najlepszym razie symetryzmu (najgorzej, bo pachnie hipokryzją). Skąd my to znamy? Te pogłosy pryncypialnej krytyki hamletyzowania, estetyzmu i paseizmu artystów, którzy unikają odpowiedzialności za dźwiganie bryły świata...

Jako podzwonne dla tego schyłkowego okresu mamy zatem „Kwartety otwockie” i wywiedzione z tego zbioru spektakle. Pisałem o „Sztuce intonacji”, z której moment historyczny zrobił coś w rodzaju manifestu. Jednak Słobodzianek wraz z Anną Wieczur na tym nie poprzestali. Słobodzianek wymyślił formułę cyklu o spotkaniach ikonicznych twórców teatru XX w. Wieczur odnalazła właściwy styl reżyserski do tych krótkich, kameralnych, gęstych dramatów. Autor poszukiwał wyrazistości w ograniczeniu, w wprowadzeniu na scenę jedynie czterech postaci w sytuacjach i wnętrzach zmuszających do tzw. rozmów zasadniczych. Wieczur – dysponując zespołem prześwietnych aktorów Teatru Dramatycznego (m.in. Adam Ferency, Katarzyna Głogowska, Sławomir Grzymkowski, Łukasz Lewandowski, Anna Moskał, Modest Ruciński) – postawiła na reżyserską formułę oszczędną, niemal przezroczystą, oddała pole tekstowi i jego sensom oraz graniu, tak bardzo dziś staromodnemu, postaci złożonych i wiarygodnych psychologicznie. O stworzonych w Laboratorium Dramatu kolejnych realizacjach kwartetów Słobodzianka, które można także oglądać on-line, z przyjemnością napiszę w kolejnej recenzji. ©

Jak Polska utraci niepodległość



Andrzej Krzystyniak

Naiwnością jest myślenie, że przynależność do NATO i Unii Europejskiej zabezpiecza nas przed ewentualną agresją

Dnia 24 lutego Rosja dokonała zbrojnej napaści na terytorium Ukrainy. Agresja zbrojna na naszej szerokości geograficznej, niespotykana od czasów drugiej wojny światowej, wzbudziła wiele pytań dotyczących bezpieczeństwa, zawieranych sojuszy, stabilności układów międzynarodowych itp. Agresja rosyjska, którą z całą stanowczością należy potępić, burzy dotychczasowe założenia na temat bezpieczeństwa w Europie. Wojna jako element przedłużenia polityki, zasada, jaką zastosowali Rosjanie, nie jest niczym

nowym, jednak bliskość wojny, jaką odczuwa polskie społeczeństwo, skłania nas coraz bardziej ku bliższemu przyjrzeniu się naszej polityce bezpieczeństwa.

Polski rząd udziela, i słusznie, wszelkiej pomocy stronie napadniętej, polskie społeczeństwo i jego postawa powinny budzić podziw i dumę wszystkich Polaków. Z kolei chłodna analiza tego, co dzieje się od końca lutego, powinna skłaniać nas do refleksji, że w polityce – a ściślej mówiąc, w relacjach między państwami – nie ma rzeczy trwałych, ustalonych na stałe, niepodlegających korektom bądź też stanowiących z czasem wartość papieru, na którym zostały zapisane.

NIC STAŁEGO

Układy międzynarodowe podlegają stałym modyfikacjom w zależności od potrzeb stron, które je zawarły, a między państwowe sojusze mogą okazać się niezwykle złudne. Opieranie bezpieczeństwa państwa na międzynarodo-

wych sojuszach oraz przynależności do układów gospodarczych czy też wojskowych wspólnot bezpieczeństwa jest obciążone sporym ryzykiem. Historycy bez trudu wymieniają przykłady państw, które z sojuszników przemieniały się w śmiertelnych wrogów, lub też państwa, które – tocząc ze sobą spór militarny – nie przerywały wzajemnej wymiany handlowej, eksportu i importu.

Historia zna również przypadki, gdy w obliczu śmiertelnego wroga państwa wykorzystują swoją przewagę i nie rezygnują z neutralizacji niektórych ważnych segmentów rywalizacji z sojusznikiem. Dla przykładu: kierując się zapewne tym motywem, Wielka Brytania zlikwidowała główne siły francuskiej floty w ramach operacji „Catapult” w 1940 r. Oficjalnym powodem takiego działania Wielkiej Brytanii było zabezpieczenie francuskich okrętów przed ich przejęciem przez Niemców. Oczywiście wielu uzna, że podany przykład jest przedstawiony zbyt na wyrost, jednak działanie Brytyjczyków

że Niemcy stanowią dla Polski główne zagrożenie, argumentując to w jednym z wywiadów faktem, jakoby „Niemcy nie byli zainteresowani istnieniem państwa polskiego”. Głównym dla Polski zagrożeniem może być zdaniem dr. Sykulskiego fakt, że celem państwa niemieckiego jest likwidacja państw narodowych, w tym również Polski.

O ile w wielu kwestiach można z dr. Sykulskim polemizować, o tyle trudno wobec wspomnianego poglądu o zagrożeniu dla Polski z kierunku zachodniego przejść lekceważąco bez głębszej refleksji. Jeśli do tego dodamy neutralizację NATO w Europie jako dominującej siły zbrojnej – poprzez utworzenie armii europejskiej, mającej zapewniać bezpieczeństwo jej członkom – to scenariusz „czarnej godziny” może zarysowywać się niezwykle interesująco i bardzo dla Polski niebezpiecznie. Europejska armia byłaby lustrzanym odbiciem NATO, z tym że byłoby to krzywe zwierciadło. Armię, w której dominującą rolę – podobnie jak w NATO – stanowi armia amerykańska, stanowiłaby Bundeswehra.

Obecna polityka polskiego rządu dążąca do wspierania wysiłków USA w kształtowaniu europejskiej polityki jest nie tylko próbą zabezpieczenia się na wypadek agresji ze Wschodu, lecz także neutralizowaniem prób dominacji Niemiec w Europie, która może być dla Polski w przyszłości równie niebezpieczna. Nieco zapomniana już dzisiaj sprawa uznania przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej może okazać się w przyszłości sprawą otwartą, dodajmy, że z całą pewnością z niekorzyścią dla Polski.

Konflikt zbrojny dwóch państw będących członkami NATO w chwili obecnej wydaje się mało realny, aczkolwiek nie niemożliwy. Przyłączone do Polski po drugiej wojnie światowej ziemie, należące wcześniej do Niemiec, stanowią dziś jedną trzecią polskiego terytorium. Długa, zawiła i trudna jest historia uznania granicy zachodniej przez Republikę Federalną Niemiec. Jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku wiele środowisk w Niemczech Zachodnich domagało się od rządu Niemiec energicznych działań na rzecz, nazwijmy to, nieuznawania przez Niemcy utraty ich wschodnich terenów na rzecz Polski. Sprawę ostatecznie uznano za zamkniętą po podpisaniu 4 listopada 1990 r. układu między przedstawicielami Niemiec i Polski, gdzie

obie strony ostatecznie potwierdziły przebieg granicy polsko-niemieckiej.

W polityce, zwłaszcza międzynarodowej, nic nie jest zatwierdzone raz na zawsze, przykłady zmiany i rozpadu sojuszy między państwami można mnożyć. Trudno oczywiście mówić w chwili obecnej o zagrożeniu utraty przez Polskę tzw. Ziem Odzyskanych, mimo to możemy wspomnieć o daleko posuniętym odcinaniu kulturowym tychże obszarów od Polski. Nie od rzeczy jest dodać o prężnie tam działających, wrogich Polsce, proniemieckich organizacjach, których aktywność nastawiona jest głównie na propagowanie odrębności terenów przyznanych Polsce po 1945 r., np. Górnego Śląska.

LOGIKA CZARNEJ GODZINY

Oczywiście mówimy o wariantach hipotetycznych mogących zaistnieć w dalszej lub bliższej przyszłości, których jednak nie możemy wykluczać zgodnie z logiką czarnej godziny – a zatem o oderwaniu części polskiego terytorium. Co równałoby się utracie przez Polskę niepodległości. Przeciwnicy tego typu argumentacji, jeśli w ogóle podejmą polemikę, będą argumentować fakt pozostawania we wspólnym sojuszu wojskowym i gospodarczym, przynależność do Unii Europejskiej i NATO. Co ma stanowić o naszym bezpieczeństwie gospodarczym i militarnym. Pierwszą naiwnością, której chyba nikt trzeźwo myślący nie wyznaje, jest myślenie, że przynależność do Unii Europejskiej i NATO zabezpiecza nas przed ewentualną agresją, a w przypadku, gdyby do niej doszło, z pomocą sojuszników odeprzemy agresora. Drugą sprawą do poważnego rozważenia pozostaje hipoteza, którą musimy założyć, na ile pomoc ze strony sojuszników w przypadku agresji ze Wschodu nie zakończy się dla państwa polskiego całkowitym uzależnieniem czy wręcz oddaniem kontroli nad obszarami przyznanymi Polsce po 1945 r.

Polska we wrześniu 1939 r. weszła do wojny, zaatakowana przez Niemców, będąc w sojuszu z dwiema potęgami europejskimi – Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii oraz Francją. Z wojny wyszliśmy zrujnowani pod względem ludnościowym i gospodarczym, ze zmienionym kształtem granic, jako satelita Związku Sowieckiego. Oby historia, która – jak wiemy – nigdy się nie powtarza, nie zrobiła tym razem dla nas wyjątku, zmieniając tylko aktorów. © Wszelkie prawa zastrzeżone

może przypominać tzw. logikę czarnej godziny, według której kraj, który dzisiaj jest przyjaźnie nastawiony wobec naszego państwa, jutro może stać się śmiertelnym zagrożeniem. Tej możliwości nie należy wykluczać, zwłaszcza w przypadku, jeśli sojusznikiem danego kraju jest państwo posiadające względem niego roszczenia terytorialne, nawet jeśli z nich oficjalnie zrezygnowało, a my uwierzyliśmy szczerze w prawdziwość deklarowanych intencji.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Konflikt między Rosją a Ukrainą, trwający – przypomnijmy – od 2014 r., powinien nam uzmysłowić dobitnie fakt niepodważalny, że w polityce między państwami nie ma nic trwałego i żaden scenariusz nie jest niemożliwy. Nie możemy wykluczyć konfliktu z żadnym z sąsiednich krajów. Doktor Leszek Sykulski, specjalista w dziedzinie geostrategii, analityk ds. bezpieczeństwa międzynarodowego w Kancelarii Prezydenta RP w czasie prezydentury Lecha Kaczyńskiego, konsekwentnie głosi pogląd,

Czy Kościół w Polsce da się okpić?



Paweł Chmielewski

Pierwsza faza Synodu o Synodalności dobiega końca. W diecezjach na całym świecie publikowane są syntezy z rozmów przeprowadzonych z wiernymi. Gdy Franciszek ogłaszał przed rokiem start tego procesu, ostrzegałem, że przerodzi się on w wielki koncert życzeń, w którym całe narody będą domagać się totalnej „modernizacji” Kościoła. Niestety, ten scenariusz się ziścił. W wielu krajach Europy synod ograniczył się do powtórzenia katalogu postulatów sporządzonego wcześniej w Niemczech. Polska jest wyjątkiem, ale cieszyć się nie ma z czego

W maju 2021 r. Franciszek nieoczekiwanie ogłosił, że Kościół katolicki rozpoczyna proces synodalny, który zakończy się Synodem Biskupów w Rzymie w 2023 r. Oficjalnymi celami miały być pobudzenie wszystkich członków Kościoła do refleksji nad tym, jak kształtować życie chrześcijańskie w III tysiącleciu, oraz samo funkcjonowanie kościelnych struktur. Plan synodu został wymyślony przez biskupów z Niemiec rok wcześniej. Co więcej, dokumenty synodalne przedstawione przez Watykan zawierały oczywiste błędy doktrynalne. Opisałem to dokładnie w książce „Papież Franciszek i mafia z Sankt Gallen” i tam odsyłam czytelnika zainteresowanego szczegółami. Niestety, w Polsce od samego początku panował wokół idei synodalnej niezrozumiały optymizm. Media kościelne rozpisywały się o geniuszu Franciszka, który dąży do misyjnego ożywienia Kościoła. Ci, którzy sugerowali, że tak naprawdę chodzi raczej o kolejną próbę przepchnięcia starej lewicowej agendy, takiej jak demokratyzacja Kościoła, zmiany w kapłaństwie (celibat,

rola kobiet) oraz podejście do tzw. osób LGBT, byli krytykowani jako mąciciele i czarnowidze. Przecież z inicjatywy papieża nie może wyniknąć nic złego – głosiła obieguwa mądrość.

ZGRZYTY W SYSTEMIE

Gdy watykańska strona Synodu o Synodalności zaczęła kilka miesięcy temu publikować elaboraty na temat wartości adoptowania dzieci przez pary homoseksualne, apologetci synodalności stracili nieco rezonu. Nie wiem doprawdy, co powiedzą teraz, gdy znane są już wyniki debat synodalnych w wielu państwach Europy. Nie da się już dłużej pudrować rzeczywistości: dzięki synodowi Franciszka wśród setek tysięcy katolików rozbudzone zostały nadzieje na przeprowadzenie w Kościele antykatolickiej rewolucji. W momencie, gdy piszę ten tekst, znane są już syntezy synodalne z Belgii, Holandii, Francji, Hiszpanii, Irlandii i ze Szwajcarii. We wszystkich tych krajach (z pewnymi odrębnościami w Hiszpanii) katolicy opowiedzieli się za przebudową Kościoła dokładnie tak, jak zdefiniował ją wcześniej

Kościół katolicki w Niemczech, który na Drogę Synodalną – przypadek? – wszedł już w 2019 r., zanim w Kościele powszechnym ktoś słyszał o synodalności. Czego zatem chcą wyznawcy Chrystusa w Europie, poproszeni o wyrażenie swoich marzeń i nadziei przez samego papieża?

SYNTEZY KRAJOWE. PRZEGLĄD

Katolicy w Belgii poprosili o wprowadzenie kapłaństwa kobiet, zniesienie obowiązku celibatu księży i wprowadzenie kościelnych błogosławieństw związków homoseksualnych. Ich zdaniem Kościół powinien być ogólnie bardziej „otwarty”, co może wyrażać się np. w wejściu na drogę „ekologii integralnej”.

Katolicy w Holandii oczekują Kościoła jako „otwartej i gościnnej wspólnoty, w którą każdy będzie wносił swój wkład na zasadach równości”. Wymienieni zostali m.in. homoseksualiści oraz rozwodnicy w nowych związkach. Zdaniem Holendrów należy też znieść celibat oraz w większej mierze dopuścić kobiety do posług w Kościele, z uwzględnieniem sakramentu święceń (w tej kwestii



FOT. ANDRZEJ STOK

w niektórych diecezjach wyrażano pewne zastrzeżenia).

Biskupi we Francji zastrzegali asekuracyjnie, że nie wszystkie idee, które pojawiły się w ich syntezie synodalnej, należy rozumieć jako oficjalne „postulaty” Kościoła nad Sekwaną na Synod Biskupów o synodalności. Najwyraźniej przestraszyli się własnych wiernych. Ci bowiem – kto mógł się spodziewać? – zaproponowali m.in. zniesienie celibatu i święcenia diakonatu dla kobiet. W debatach synodalnych pojawił się też koncept wprowadzenia „różnorodności liturgicznej” – tak, by sprawować liturgię również bez Eucharystii, bo przez Komunię Świętą czują się z Kościoła wykluczeni homoseksualiści i rozwodnicy. Jak podsumował dziennik „Le Figaro”, Kościół we Francji nie przyjął jeszcze nigdy „tak radykalnie reformatorskiego tekstu” jak synteza synodalna.

Co słychać z kolei w dawnej katolickiej Irlandii? 96 proc. uczestników prac synodalnych poparło dopuszczenie kobiet do sakramentu święceń, 85 proc. opowiedziało się „przeciwko wykluczaniu osób LGBT z Kościoła”, 70 proc. oczekiwało większej demokracji w Kościele, a ponad połowa zażądała zniesienia obowiązkowego celibatu. Dodatkowo zaproponowano zmianę charakteru czytań liturgicznych, bo teksty Starego Testamentu są dla współczesnego odbiorcy „zbyt brutalne”.

W Szwajcarii większość wypowiadających się katolików wyraziła oczekiwanie „sprawiedliwego włączenia rozwodników w nowych związkach oraz osoby ze spektrum LGBTIAQ*” w życie Kościoła; Szwajcarzy oczekują też „rozwoju rozumienia urzędu kapłańskiego”, to znaczy odejścia od zasady obowiązkowego celibatu oraz „pełnego równouprawnienia” kobiet.

Nieco odmienny obraz wyłania się z syntez synodalnych w Hiszpanii, gdzie za błogosławieństwami homoseksualistów, zniesieniem celibatu czy kapłaństwem kobiet opowiedziały się „tylko” dwie archidiecezje.

W MONACHIUM I LIMBURGU OTWIERAJĄ SZAMPANA

W 2020 r. kard. Reinhard Marx z Monachium i bp Georg Bätzing z Limburga mówili, że niemieckie idee z Drogi Synodalnej powinny zostać przedyskutowane na szczęblu Europy, tak by niemiecka koncepcja Kościoła przyszłości mogła zostać wdrożona w życie i doprowadzić do realnej i skutecznej przebudowy katoli-

cyzmu. O drodze, jaką przeszli, oraz o ich planach pisałem w książce „Niemiecka rewolucja” już kilka lat temu. Niestety, przestrzeganie przed rozlaniem niemieckich błędów na inne kraje kościelny mainstream uważał za przesadzone. Dziś Marx i Bätzing mogą świętować: ich wizja Kościoła rzeczywiście staje się wizją całej Europy. Stolica Apostolska wyraziła wprawdzie w połowie lipca krótkie zastrzeżenia wobec samej niemieckiej Drogi Synodalnej, nie odnosząc się jednak konkretnie do żadnej z głoszonych tam herezji; Watykan poprosił tylko, by Niemcy przed wprowadzaniem jakichś zmian w strukturze władzy kościelnej skonsultowali to z Kurią Rzymską. Nie daje to nadziei na poważną próbę rozpedzonego walca rewolucji.

POLSKA DEBATA O NICZYM

Jak na tym tle wypada Polska? Wciąż czekamy na ogólnokrajową syntezę, która zostanie przygotowana pod kierunkiem przewodniczącego episkopatu, abp. Stanisława Gądeckiego. Można jednak zapoznawać się już z syntezami opublikowanymi przez prawie 30 diecezji. Przejrzałem m.in. dokumenty ogłoszone przez archidiecezje częstochowską, gdańską, gnieźnieńską, łódzką, lubelską, szczecińsko-kamieńską, warszawsko-praską, wrocławską czy diecezję opolską i toruńską. Abstrahując od drobnych różnic, wszystkie są do siebie dość podobne: wątki rewolucyjne pojawiają się w nich tylko marginalnie, na zasadzie wzmianki o istnieniu w diecezjach głównie młodocianych środowisk domagających się otwartości na rzecz LGBT czy zmian w kapłaństwie. Generalnie jednak dominują w syntezach niezwykle obszerne narzekania na relacje wiernych z księżmi, którzy mają być zbyt oficjalni; mnóstwo jest również krytyki stanu polskiej homiletyki – zarówno kazania, jak i odczytywane w ramach kazań listy pasterskie biskupów bywają, uważają wierni, niezrozumiałe i oderwane od rzeczywistości. Istotnym tematem okazała się też liturgia; wierni oczekują, że będzie sprawowana godnie, podniosła i uroczysta, bez nadużyć i bez jakichś autorskich wygibasów celebriansa.

Ktoś powie: świetnie zatem, Kościół katolicki w Polsce nie opowiedział się za niemieckim programem nowej reformacji, więc wszystko jest w porządku. Niestety, jest zupełnie przeciwnie – jest bardzo źle. Wyniki polskich syntez synodalnych

trącą bowiem zaściankowością; dotyczy wyłącznie lokalnych problemów, nie uwzględniając perspektywy nie tylko ogólnoswiatowej, lecz także ogólnoeuropejskiej. Tymczasem Synod o Synodalności nie jest wydarzeniem o wymiarze parafialnym, diecezjalnym czy krajowym, ale właśnie światowym. Polska synteza synodalna zostanie wkrótce przekazana do Sekretariatu Synodu, który połączy ją z syntezami z innych krajów po to, by tak powstały dokument przedłożyć biskupom z całej Europy, którzy będą zastanawiać się na jego podstawie nad kształtem Kościoła w przyszłości. Ich refleksje dołączą na kolejnym, trzecim etapie do wniosków z innych kontynentów, stając się przedmiotem debaty na Synodzie Biskupów jesienią roku 2023. Stawiam w związku z tym kluczowe w mojej ocenie pytanie: Co zrobiła Polska, by zatrzymać pędzącą jak walec rewolucję, która miażdży elementarne prawdy nauczania Kościoła i odrzuca wielowiekowe tradycje? Rozmawiając o stanie homiletyki czy relacjach na linii wierni – księża, nie zrobiła, niestety, zupełnie nic.

WLECZENI SIŁĄ W OGONIE REWOLUCJI

Efekt jest następujący: wielki front rewolucjonistów z Europy domaga się totalnej przebudowy Kościoła, a katolicy z Polski nie mają na ten temat wiele do powiedzenia.

I nie jest to bynajmniej winą wiernych, ale biskupów i księży, którzy w związku z panującym od samego początku Synodu o Synodalności huraoptymistycznym klimatem postanowili spać dalej, udając, że problemu nie ma. Oczywiście Kościół w Polsce nie będzie szedł w awangardzie rewolucji. Będzie po prostu przez nią wleczony jak ktoś, kto nie ma własnego zdania i musi, chcąc nie chcąc, podążać biernie za większością.

Mam nadzieję, że ostateczna synteza abp. Stanisława Gądeckiego będzie w stanie choć w pewnym stopniu uratować sytuację i naprawić zaniechania popełnione na szczęblu diecezjalnym. Niestety, lektura syntezy z samej archidiecezji poznańskiej nie pozwala mieć na to nadziei: jest tak samo partykularna jak wszystkie inne.

Dzisiaj można stwierdzić, że z powodu naiwnej wiary w to, że w Watykanie na pewno „chcą dobrze”, daliśmy się po prostu okpić jak dzieci. To gorzej niż błąd – to głupota.

Szarańcza



FOT. ADOBE STOCK



Wojciech Golonka

Czy robactwo będzie nową, przemysłową paszą dla ludzi?

Od kilku tygodni w anglojęzycznych mediach społecznościowych krążą informacje i filmiki na temat domniemanych planów globalistów względem ludzkiej diety. Przekaz, który się z nich wyłania, jest następujący: możni tego świata, którzy sami w Davos zajądają się wykwinną kuchnią najlepszych szefów, wykorzystają obecne zaburzenia na świecie, aby w przyszłym roku, po turbulencjach energetycznych nadchodzącej zimy, wcisnąć nam do talerza, jako podstawę naszego menu, szarańczę i inne robactwo.

Po weryfikacji okazuje się, że część materiałów nagłaśnianych do poparcia tej tezy to w rzeczywistości odgrzewane stare kotlety, jak np. filmik Salmy Hayek z 2015 r., na którym aktorka ochotczo zjada się sporym, chrupiącym w jej ustach świerszczem. Sama Hayek już 15 lat temu

promowała prażone świerszcze w jednym z amerykańskich talk-show jako tradycyjny przysmak z kraju jej pochodzenia – Meksyku – i tak się składa, jeśli wierzyć statystkom, że dla ok. 2 mld ludzi na świecie owady stanowią regularny element ich diety żywieniowej. Filmików z nimi w talerzu jest zatem w bród i nie ma co z tego powodu popadać w histerię.

ŚWIERSZCZ W BIZNESIE

Wspomniane krytyki w mediach społecznościowych nie są wszelako totalnie odrealnione, ponieważ biorą pod uwagę jeden istotny szczegół: otóż na Zachodzie ludzie nie są skorzy do zjadania się owadami, stąd dość nachalne w ostatnim czasie publikacje usiłujące ten stan rzeczy odmienić powinny jednak dać do myślenia, o co i komu chodzi. Ot, przykładowy artykuł z 21 lipca w portalu BBC, w którym autor z Ugandy zastanawia się w tytule: „Czy koniki polne rzeczywiście mogłyby zastąpić wołowinę?”, by już na wstępie wyłożył kawa na ławę bronioną przez siebie opinię na wypadek, gdyby ktoś nie zamierzał czytać reszty: „Dla większości ludzi w Europie i USA pomysł jedzenia świerszczy i koników polnych może wydawać się czymś odrzucającym,

jednakże są one popularną przekąską w Afryce i Azji. Nie tylko są one pełne składników odżywczych, lecz także są o wiele mniej szkodliwe dla klimatu”. A jak wiadomo (przynajmniej od czasów założenia Klubu Rzymskiego w 1972 r.), świat czeka klimatyczny armagedon, jeśli ludzkość – czytaj: zachodni człowiek – nie opamięta się w swych zgubnych nawykach, zatem logiczną konkluzją, do której powinien dojść świadomy i odpowiedzialny Europejczyk czy Amerykanin, jest bezwzględne przerzucenie się z wołowiny na koniki polne i inne chrabąszcze. Z tą drobną różnicą, że nie będzie chodziło o owady rzeczywiście „polne”, wyłapane w naturze, ale wyprodukowane w powstających właśnie na Zachodzie gigantycznych fabrykach produkcji białka owadopochodnego. Hodowla milionów świerszczy – a o tym szczególnie dowiadujemy się z kolei z reportażu wyemitowanego przez „The Economist” w styczniu – może nie tylko uratować planetę, lecz także okazać się wielce obiecującym biznesem.

„Czy będziesz wkrótce jadał owady?” – ten kilkunastominutowy film również już na wstępie streszcza całą ideę ich konsumpcji: w 2050 r. na świecie będzie 10 mld ludzi, a jednym z największym

wyzwań będzie całe to towarzystwo wyżywić w sposób „zrównoważony”, czyli ekologiczny, nie powodując suszy i wycinki lasów. Dobra wiadomość jest taka, jak zaznacza reportaż, że już wkrótce pełne wartości odżywczych pasze białkowe ze świerszczy trafią do naszych supermarketów. Nie ma wątpliwości, że film jest formą lokowania produktu i wzbudzania, jeśli nie apetytu, to przynajmniej popytu, pozostaje natomiast kwestia otwartą, czy jest czymś więcej. Najpierw pani dr Erica McAlister z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, zając się w pracy larwami, przedstawia się jako entoewangelizatorka prowadząca pracę misyjną na rzecz zrównoważonego jedzenia, a następnie porównuje owady do ziemskich owoców morza i zaprasza do muzeum na nocne nimi poczęstunki przy lampce wina. Potem dowiadujemy się, że już i tak 2 mld ludzi „zdecydowało się” na regularne jedzenie insektów, jak gdyby w przypadku milionów ubogich z Azji czy Afryki zachodził rzeczywisty wybór między wołowym stekiem a miską świerszczy. Mniejsza z tym nietaktem, bo pada zaraz kolejna świetna wiadomość: przynajmniej 130 gatunków owadów jest jadalnych, a ich dopuszczenie w formie żywności jest już legalne w wielu krajach, w tym od 2021 r. w Unii Europejskiej, i są one obfitym źródłem najważniejszego elementu żywieniowego człowieka, jakim jest białko. Oto teraz dr Brian Fisher, założyciel farm produkujących na Madagaskarze puder proteinowy ze świerszczy, dosypuje go przed kamerą do swego porannego jogurtu, zapewniając, że 25 g tej paszy na dzień zapewni nam potrzebny dobowy aport protein. Shake z owadów śniadaniem przyszłości, choć owadomisjonarka z Londynu zaznacza, że możliwa jest także produkcja „makaronów” itp. Pora następnie na bilans ekologiczny: produkcja 1 kg mięsa wymaga aż 15 tys. l wody, podczas gdy w przypadku owadziej paszy jest to tylko 2,5 tys. Tymczasem w świerszczowym pudrze może być nawet dwa razy więcej białka niż w kurczaku, zatem jeść, nie umierać; w każdym razie dzieci z sierocińca, w którym dr Fisher na Madagaskarze testuje swe smakołyki, uśmiechają się na stołowie grzecznie do kamery. A przecież te dobrodziejstwa żywieniowe mogłyby trafić pod każdą strzechę, nie tylko na Madagaskarze, gdzie uprawy rolne i hodowla zwierząt zmuszają ludzi do zgubnego dla planety i klimatu karczowania lasów, i w Afryce, a nawet – do naszych domów.

O to zadba już firma Aspire, której prezes Mohammed Ashour przedstawia powstającą w Kanadzie wielką uprzemysłowioną hodowlę świerszczy, mogącą pomieścić aż 90 tys. boksów na 30 tys. owadów każdy. Jak wskazuje, hodowla w warunkach wewnętrznych, gdzie kontroluje się wszystkie parametry, jest o wiele bardziej wydajna od naturalnej, a fabryka ma docelowo produkować 12 tys. ton paszy ze świerszczy rocznie. Dla ludzi. Palce lizać! Również gdy idzie o wartość rynku sprzedanych insektów jadalnych, który do 2030 r. ma zwiększyć ośmiokrotnie swą wartość do 8 mld dol. Prawdą jest, że to wciąż mało w porównaniu z rynkiem wołowiny (333 mld rocznie). Ale kto wie? Owady są bezkonkurencyjne, gdy idzie o emisję gazów cieplarnianych, stąd główne wyzwanie to zwiększenie dostaw z roku na rok. Na które trzeba będzie przecież znaleźć także rynek zbytu, stąd nie dziwi końcowa puenta reportażu, czy owady staną się globalną dietą, oraz padająca odpowiedź: to zależy od wielu czynników, od zmian klimatycznych do ludzkiej psychiki, którą na szczęście można edukować do nowości kulinarnych, bo przecież spożywanie surowych ryb budziło onegdaj obrzydzenie, a dziś sushi je się wszędzie.

BAKTERIE I PASOŻYTY

Bywają jednak i zastrzeżenia do tej wizji globalnej entomofagi. Profesor Rajmund Sokół i lek. wet. Remigiusz Gałęcki z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie w publikacji z 2019 r. przedstawili swoją ewaluację jadalnych owadów jako nośnika potencjalnych pasożytów i bakterii właśnie na podstawie analizy farm insektów na Madagaskarze. Ich wyniki nie były optymistyczne, choć proces przygotowania paszy z owadów podawanych obróbce termicznej w wysokości 65 st. C może te zagrożenia neutralizować. Kontrowersje budził także sam proces hodowli owadów – w niektórych farmach były one karmione odchodami zwierzęcymi, padliną, spleśniałym jedzeniem, a nawet surowym mięsem.

Pytany o komentarz dla „Do Rzeczy” prof. Piotr Tryjanowski z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu zwraca z kolei uwagę na pewien paradoks całego założenia: w przypadku hodowli owadów jadalnych, w imię ekologii, dochodzi do radykalnego uprzemysłowienia produkcji żywności, czyli oddalania nas od naturalnej relacji z ekosystemem żywieniowym, z mającym niepowtarzalny dla danego miejsca

charakter terroir; a przecież w przypadku ludzi jedzenie to nie tylko sam fakt dostarczania kalorii, ale w niemałym stopniu i element kultury. Naukowiec podkreśla także, że pierwotnie uprzemysłowienie hodowli owadów ukierunkowane było akurat na produkcję paszy dla tych gatunków zwierząt, dla których są one pospolitym pokarmem w naturze, np. dla drobiu czy ryb. Do owych rozważań można by także dorzucić wątpliwości dietetyków zaznaczających, że białko białkiem, ale nie wszystkie aminokwasy, wpływające np. na regulację hormonów ludzkich, można znaleźć poza białkiem zwierzęcym.

Z drugiej strony: wolność Tomku w twoim talerzu, wszak św. Jan Chrzyciel żywił się pustyni szarańczą z dzikim miodem, a cystersi w okresie pokutnym – ślimakami. Niech zatem Salma Hayek i inni celebryci delektują się rodzimymi specjami wśród fleszów i kamer, nie ma jednak zgody, aby jakiś „ekomisjonarz” pchał się nam na siłę i trwale do jadłospisu ze swą nową wiarą. Wiarą, które nie jest indyferentna: „W jaki sposób moglibyśmy przezwyciężyć »zachodni« opór przed jedzeniem insektów” (Imperial College London 2019) – to tylko jedna z wielu publikacji, które obok reportażu „The Economist” dają rzeczywiste do myślenia, czy larwy i koniki polne mają być w przyszłości li tylko opcjonalne czy zasadniczo obligatoryjne. Kto wie, czy nie ma zatem podstaw, aby sparafrazować hasła filantropów ratujących ludzkość i planetę przed zagrożeniem, które stanowi zwykły człowiek: „Będziesz jadł owady i będziesz szczęśliwy; my będziemy jeść mięso i też będziemy szczęśliwi”.

Te uzasadnione kpiny i przestrogi nie oznaczają przy tym, że konserwatyści nie powinni racjonalizować swych własnych nawyków żywieniowych choćby dlatego, że nieumiarkowanie w jedzeniu i picu to rzeczywiście jeden z grzechów głównych. Dla wierzących i niewierzących umiar w tej dziedzinie ma, oprócz konotacji moralnych, także pozytywne skutki zdrowotne. Już popularny francuski XIX-wieczny pisarz religijny, o. Prosper Guéranger, w rozważaniach na Wielki Post stwierdzał, że francuski naród degeneruje się przez nadmierne jedzenie mięsa, a pozbawiony przez to wigoru stał się niezdolny do poszczenia wzorem przodków. Ale właśnie: in medio stat virtus, cnota leży pośrodku, jak wiadomo od czasów starożytności, a tego globaliści ze swymi ekspertami zdaje się jeszcze nie odkryli.



Grzegorz Kucharczyk

„Rozspołecznianie społeczeństwa europejskiego” rozpoczęło się z chwilą pierwszego rozbioru Polski

W imię Trójcy Przenajświętszej! Duch stronniczy, podtrzymujący anarchię w Polsce, każe obawiać się zupełnego rozkładu państwa, co by mogło zaszkodzić interesom sąsiadów tej Rzeczypospolitej, naruszyć dobre stosunki istniejące między nimi i wszcząć ogólną wojnę; więc Austria, Prusy i Rosja, mające względem Polski pretensje i prawa równie dawne jak słuszne, postanowiły wystąpić z nimi, przywrócić porządek wewnątrz Polski i nadać temu państwu stan polityczny więcej zgodny z interesami jego sąsiadów” – tak brzmiały pierwsze zdania preambuły do konwencji rozbiorowej podpisanej 5 sierpnia 1772 r. w Petersburgu przez Rosję, Prusy i Austrię. Błuznierstwo – przywoływanie imienia Bożego dla rabunku cudzej ziemi – szło tutaj w parze ze znieśławianiem Polski i polskości. Zaborcy przedstawiali się jako wielcy pacyfikatorzy przynoszący ład i porządek na ziemię targaną „duchem stronniczym, podtrzymującym anarchię” w Polsce.

ROZBIORY, CZYLI „PORZĄDKOWANIE CHAOSU”...

Tego typu argumentacja adresowana była przede wszystkim do oświeceniowych elit na Zachodzie, które już od dawna patrzyły na naszą część Europy jako na miejsce złowrogiego chaosu i ciemnoty, który czeka na swojego „organizatora”. W tej roli już od czasów cara Piotra I obsadzani byli przez oświeceniowe salony (głównie we Francji) despoci, którzy zyskiwali poklask les philosophes, żelazną ręką modernizując swoje państwa. W drugiej połowie XVIII w. do tego grona awansowali władca Prus Fryderyk II Hohenzollern (fetowany na oświeceniowych salonach jako „król filozof”, czytaj: król ateista) oraz rosyjska caryca Katarzyna II (de domo von Anhalt-Zerbst).

Krótko mówiąc, Europa Środkowa czekała na swojego „gospodarza”, który „ucywilizuje” tubylców dzięki temu, że posłuchał w stosownym czasie rad tych, którzy uważali siebie za oświeconych



„I rozbiór Polski”, rysunek z 1773 r. autorstwa Jeana-Michela Moreau
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Kanibalizm polityczny

„światłem rozumu”. Wolter w listach pisanych do Fryderyka II krótko po rozbiórce nazywał ten czyn „dziełem geniusza”. Dla autora „Kandyda”, który za cel swojego życia postawił sobie walkę z chrześcijaństwem, a zwłaszcza katolicyzmem (słynne „Ecrasez l'infâme!” – „Wymażcie niegodziwość!”), niszczenie katolickiej Polski było czynem z gruntu postępowym i godnym pochwały. Przyczyniało się ponadto do promowania tolerancji.

... ORAZ WALKA Z „FANATYZMEM”

Od czasu tzw. tumultu toruńskiego z 1724 r. (wywołane przez protestantów zamieszki wyznaniowe w Toruniu, które zakończyły się ostrymi represjami wobec protestanckiego magistratu) trwała w zachodnich środowiskach protestanckich i oświeceniowych kampania zniesławiająca Polskę jako kraj ucisku religijnego. Szczególną popularność zyskała w Wielkiej Brytanii, gdzie obowiązywały ostre antykatolickie prawa, zabraniające m.in. sprawowania na Wyspach Mszy Świętej (penal laws). Jednak zasadniczym „pasem transmisyjnym” tej antypolskiej propagandy były Prusy rządzone wtedy przez zaprzysięgłego militarystę Fryderyka Wilhelma I, który w jednym ze swoich rozkazów gabinetowych nakazywał zabicie wszystkich Cyganów przebywających w granicach jego państwa. Nie przeszkadzało to „królowi sierżantowi” odgrywać roli zatroskanego o los dysydentów w Polsce chrześcijańskiego władcy.

Tę tradycję kontynuował jego syn, zadeklarowany ateista Fryderyk II, który wraz z carycą Katarzyną II w 1766 r. wystąpił jako obrońca rzekomo uciskanych w Rzeczypospolitej protestantów i prawosławnych. Na taką interpretację ingerencji mocarstw ościennych w wewnętrzne sprawy naszego kraju zachodnioeuropejskie elity oświeceniowe były przygotowywane od dziesiątków lat. Nie tylko zresztą angielscy czy francuscy oświeceniowcy traktowali rozbiory jako czyn z gruntu postępowy. Na przykład Immanuel Kant przekonywał po trzecim rozbiórce, że zniknięcie państwa polskiego z mapy Europy jest dla Polaków unikalną okazją, by pod rządami „oświeconej” monarchii pruskiej pozbyć się zgubnego przywiązania do „barbarzyńskiej wolności”. A Goethe zalecał wprowadzenie na ziemiach polskich zagarniętych przez Prusy obowiązkowego

języka niemieckiego, co pozwoli szybko „ucywilizować” nowych poddanych Hohenzollernów.

JUŻ MY WAS UNOWOCZEŚNIMY!

Zacytowana preambuła do pierwszej konwencji rozbiorowej wpisywała się w dyfamacyjną wobec Polski propagandę, powtarzając slogany o „wrodzonej Polakom anarchii”. Tego typu narrację uprawiał ciesząc się wielką estymą na oświeceniowych salonach pruski „król filozof”. W swoim testamentie politycznym z 1768 r. Fryderyk II określał ustrój Rzeczypospolitej jako „rządy anarchii”, które sprawiają, że jest „zawsze słaba, a jak długo trwać będzie obecny jej ustrój, tak długo nie będzie groźna dla swoich wrogów, a dla swoich sprzymierzeńców będzie ciężarem”. Swoje rozważania o Polsce Hohenzollern konkludował następującym wnioskiem: „Jednym słowem, jest ona [Polska] wśród narodów Europy na ostatnim miejscu”.

Ten sam władca w latach 1764–1766 bombardował carycę Katarzynę II listami, w których przestrzegał, że podejmowane

**Obca przemoc była
czynnikiem kluczowym,
gdy chodzi o genezę
I rozbioru Polski. Czy jednak
był on nieuchronny?**

przez Sejm konwokacyjny częściowe reformy zmierzające do usprawnienia władzy wykonawczej w Polsce oraz ograniczenia liberum veto stanowią śmiertelne zagrożenie dla mocarstwowej pozycji Prus i Rosji, które w chwili otrząśnięcia się Rzeczypospolitej z letargu utracą raz na zawsze możliwość wywierania wpływu na bieg spraw politycznych w Europie Środkowej.

Chociaż to fryderycjańskie Prusy parły do rozbioru, to warunkiem sine qua non realizacji tego planu była zgoda Rosji. Myśl o podziale Polski co rusz pojawiała się nad Newą, właściwie nieprzerwanie od czasów Piotra I. Po objęciu władzy przez Katarzynę II w 1762 r. plany te odżyły ze zdwojoną mocą. W 1763 r., gdy w Petersburgu podejmowano decyzje o polityce wobec Polski wchodzącej w okres bezkrólewia po śmierci Augusta III Sasa, wpływowe kręgi na rosyjskim dworze już wtedy domagały się aneksji

przez Rosję Inflant polskich oraz ziem nad Dźwiną i górnym Dnieprem, które mniej więcej pokrywały się z zasięgiem terytorialnych nabytków, które uzyskała Rosja niemal 10 lat później w wyniku akcji rozbiorowej.

ZDRADA I NAIWNOŚĆ

Obca przemoc była czynnikiem absolutnie kluczowym, gdy chodzi o genezę pierwszego rozbioru Polski. Czy jednak był on nieuchronny? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wskazać na inną przyczynę, która zachęciła rozbiorców do działania, czyli brak „sumienia narodowego” (prymas Wyszyński) sporej części politycznych elit dawnej Rzeczypospolitej. Chodzi o truciznę zdrady, która sączyła się nie tylko w czasach Ponińskiego, Branickiego, Rzewuskiego i Potockiego – emblematycznych zdrajców epoki stanisławowskiej. Jurgielt od ościennych państw Potoccy, Sapiehowie czy Pacowie regularnie brali już w czasie panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego. „Królewietą”, które dzięki Rzeczypospolitej dysponowały fortunami na Litwie i w Koronie, nie gardziły marnymi tysiącami talarów czy liwów wypłacanymi im przez brandenburskich, austriackich czy francuskich dyplomatów, byleby pociągnąć w swoją stronę „postaw sukna”.

Plany rozbiorowe wobec Polski to nie nowość XVIII stulecia. O podziale Królestwa Polskiego między Krzyżaków a swoimi państwami myślał na początku XV w. Zygmunt Luksemburski (król Czech i Węgier, cesarz rzymski). W następnym stuleciu, podczas ostatniej wojny Korony z państwem krzyżackim (1519–1521), plany rozbiorowe snuli ostatni wielki mistrz krzyżacki w Prusach Albrecht Hohenzollern i wielki książę moskiewski Wasyl. W czasach potopu w siedmiogrodzkim Radnot podpisano nawet w 1656 r. formalny traktat rozbiorowy przewidujący podział ziem polskich między Moskwę, Szwecję, Brandenburgię-Prusy, Siedmiogród, Kozaków i rodzimych zdrajców (Radziwiłłowie).

Jednak jeszcze wtedy ludzi dobrej woli było więcej i Polska otrząsnęła się z kryzysu moralnego pod murami Jasnej Góry i kolejnymi zwycięstwami militarnymi przekreśliła wydany na nią wyrok śmierci. „Nie masz takowych terminów, z których viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można”. Te słowa włożone przez Sienkiewicza w usta pana Zagłoby pod koniec „Potopu” doskonale

opisywały stan rzeczy w tamtej epoce. Pokazywały jednocześnie, że rozbiór był do uniknięcia, bo najistotniejsze sprawy rozstrzygały się w sercach i głowach tych, którym powierzono rządy nad republiką. Jednak w XVIII w. tej jedności, a i wiary w boskie auxilia u wielu przedstawicieli elity szlacheckiej zabrakło. Wymowna pod tym względem była ekspansja wolnomularstwa (od czasów saskich) wśród prominentnych przedstawicieli stanu szlacheckiego oraz plaga rozwodów, skazywana pod płaszczykiem „unięcia małżeństw” (pod koniec XVIII w. nuncjatura w Warszawie zyskała sławę prawdziwego „biura rozwodowego”).

Do tego doszła skrajna naiwność wielu szczerych patriotów, którzy w zaprzysięgłych wrogach Polski i polskości widzieli sprzymierzeńców naszej walki o wolność. Złudzenia wielu konfederatów barskich żywione pod adresem króla Prus Fryderyka II są tego doskonałą ilustracją. Liczono, że Hohenzollern wesprze walkę Baru przeciw Rosji. Władca Prus nie tylko tego nie zrobił, lecz także w swoich pamfletach pisanych po francusku i wysyłanych do swoich oświeceniowych przyjaciół na Zachodzie oczerniał konfederatów jako eksponentów „polskiego fanatyzmu i ciemnoty”.

„NOWE PRAWO NARODÓW”

W memoriale przesłanym w 1848 r. papieżowi Piusowi IX nasz wieszcz Zygmunt Krasiński zwracał uwagę na to, że „kryzys, co dręczy naszą epokę, zaczął się od najwyższej niegodziwości. Pierwszy rozbiór Polski, dokonany bez mała na ćwierć wieku przed rewolucją francuską, służył poniekąd za usprawiedliwienie, za powód bytu jej skrajnościom. Jakaż bowiem okropność, jaka zgroza jakiego bądź rodzaju i formy stała się niemożliwą, nie mogła się stać wśród ludów i rządów dość a zepsutych na to, by spełnić mord na całym narodzie, albo dość głupich i podłych, by na to patrzeć obojętnie i pozwolić? Ten pierwszy krok w niegodziwości wyprzedził i przyspieszył wszystkie inne. Zasada władzy zachowała się w tym razie tak, że przez ten akt, powtórzony trzy razy z niezrównaną zatwardziałością sumienia, jak żeby sama chciała wszczęć w ludy bezbożność i zbrodnię”.

Na przełomie XVIII i XIX w. zniknęły z mapy Europy byty polityczne o wiekowiej historii: Polska, francuska monarchia, Republika Wenecka i Święte Cesarstwo Rzymskie. Każde z tych

Pierwszej wojny światowej nie byłoby, gdyby w 1772 r. koronowani rewolucjoniści nie naruszyli równowagi w Europie, niszcząc państwo polskie

zniknąć było wstrząsem samo w sobie, ale pierwszy w sensie chronologicznym wstrząs dotyczył zniszczenia polskiej państwowości. „Rozspołecznianie społeczeństwa europejskiego” (Z. Krasiński) rozpoczęło się z chwilą pierwszego rozbioru Polski. Badania historyczne potwierdzają opinię naszego wieszca, że po 1772 r. nic już w Europie nie było pewne i nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Nieprzypadkowo właśnie po tej dacie wielu władców mniejszych państw wchodzących w skład Rzeszy wyrażało niepokój o byt swoich państw, wskazując na fatalny precedens, jakim była konwencja rozbiorowa podpisana 5 sierpnia 1772 r. w Petersburgu.

Jak pisał Władysław Konopczyński w swojej monografii pierwszego rozbioru Polski: „Nie przesadzali ci publicyści, którzy ostrzegali Europę, że koniec Polski to dopiero początek nowego świata, świata bez przesądów i skrupułów, gdzie rozbiór jak topór zawiśnie nie tylko nad państwami drugorzędnymi, ale nad każdym narodem, na którego zgubę spiknie się materialna przemoc. Chorych kaleczyć i obezwładniać, wracających do zdrowia dobijać, zmartwychwstających wyrzynać – tak miało opiewać prawo narodów z poczdamskiej kuźnicy według wzoru 1772 roku”.

REWOLUCJA GEOPOLITYCZNA

Rozbiory nie tylko były politycznym „róbta, co chceta”, zapraszającym kolejnych rewolucjonistów – tym razem niekoronowanych – do działania. Zniszczenie Rzeczypospolitej było rewolucją geopolityczną dokonaną w niewralgicznym miejscu Starego Kontynentu. W dłuższej perspektywie nawet ci, którzy najbardziej terytorialnie zyskali na rozbiorach, czyli państwa Hohenzollernów, które po trzecim rozbirozie niemal w 40 proc. składało się z ziem polskich, strategicznie postawiło się w kłopotliwej sytuacji. Jak napisał w 1799 r., po trzecim rozbirozie, jeden z pruskich generałów: „Geograficzne poło-

żenie państwa pruskiego sprawia, że jego obrona w sytuacji zaatakowania jednocześnie przez kilku wrogów jest niezwykle trudna. Szczególnie jednak położenie to pogorszyło się na skutek tego, że Rosja, która dotąd [do trzeciego rozbioru Polski – przyp. red.] była pięćdziesiąt mil od pruskiej granicy, ma w swoim władaniu większość dawnej Polski i w ten sposób graniczy bezpośrednio z Prusami”.

Wagę geopolitycznej rewolucji rozpoczętej w 1772 r., a dokończonych w 1795 r. najlepiej można uświadomić sobie w ten sposób, że nie byłoby pierwszej wojny światowej, gdyby istniała Rzeczpospolita oddzielająca Rosję od Niemiec oraz od Austrii. Zagrożenie ekspansją rosyjską na Bałkany popchnęło, jak wiadomo, Wiedeń do szukania ostrej rozprawy z Serbią. Z kolei rozpoczęcie w lipcu 1914 r. przez Rosję mobilizacji w sytuacji, gdy zachodnia granica imperium Romanowów przebiegała na Prośnie, przekonała niemieckie elity polityczne i wojskowe, że „teraz albo nigdy”, co w efekcie oznaczało wypowiedzenie przez Rzeszę Niemiecką wojny Rosji i wybuch „sierpniowych salw”, które zmieniły Europę nie do poznania nie tylko pod względem politycznym, lecz także kulturowym. Dość wspomnieć, że wielka wojna utorowała drogę do władzy ideologom totalitarnym najpierw w Rosji, a potem w Niemczech.

Pierwszej wojny światowej nie byłoby zaś, gdyby w 1772 r. koronowani rewolucjoniści nie naruszyli równowagi politycznej w Europie Środkowej, niszcząc państwo polskie. W tym sensie można powiedzieć, że Fryderyk II przygotowywał drogę Hitlerowi, a Katarzyna II – Leninowi. Wielka wojna oznaczała również wyrok śmierci dla monarchii Habsburgów, której władczyni pobożna Maria Teresa miała podobno opatrzyć swoją zgodę na udział Austrii w pierwszym rozbirozie Polski proroczymi słowami: „Zgoda. Ale po wielu latach, kiedy już mnie nie będzie wśród żywych, świat dowie się, jaki będzie nieodwracalny skutek tego naruszenia wszytkiego, co święte i sprawiedliwe”.

Po wielu latach historia przyznała rację autorowi „Nie-Boskiej komedii”, który w 1846 r. w memoriale do François Guizota pisał: „Bóg tak ludzkość stworzył, że kto na zbrodnię pozwala, kiedy powinien jej nie dopuścić, ponosi skutki tej zbrodni, tak jak żeby ją był sam popełnił. A ci, co znają historię, wiedzą, że tych skutków nie uniknie nigdy nikt, choćby był najpotężniejszym i najzręczniejszym”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zapomniana zbrodnia

Lapanki, tortury, obozy, pacyfikacje i masowe egzekucje. Terror niemiecki w okupowanej Polsce przyjmował kolosalne rozmiary. Palmiry, Auschwitz, rzeź Woli, Piaśnica – o tych zbrodniach mówi się wiele. I słusznie.

Warto jednak pamiętać również o wielu mniejszych miejscach kaźni. W wielu małych ośrodkach Generalnego Gubernatorstwa działali lokalni kacykowie gestapo, którzy byli panami życia i śmierci miejscowych Polaków.

Jednym z takich miejsc było Busko-Zdrój. A konkretnie położony pod miastem Las Welecki. Było to miejsce straceń, w którym Niemcy rozstrzeliwali Polaków zaangażowanych w działalność konspiracyjną.

Tę tragiczną kartę naszych dziejów z mroków niepamięci wydobyła Karolina Trzeskowska-Kubasik.

Autorce udało się ustalić personalia ok. 100 osób rozstrzelanych w Lesie Weleckim. Ale jej zdaniem liczba ofiar mogła być znacznie wyższa.

„Ja słyszałem nieraz strzały dochodzące z lasu i widziałem świeżo zakopane doły – relacjonował mieszkaniac sąsiedniej wsi Jan Głęb. – [Pewnego dnia] wpadł do mojego domu młody mężczyzna.

Poprosił, żeby mu dać coś do picia. Opowiedział nam, że hitlerowcy przywieźli go wraz z grupą innych osób do Lasu Weleckiego na rozstrzelanie. Dostał od nas chleba na drogę i poszedł”.

Inny świadek, Józef Zelek, zeznawał: „Widziałem, jak Niemcy przywieźli samochodem ciężarowym około 30 osób, które rozstrzelali na skraju lasu. Ludzi tych powiązali, poukładali ich jeden na drugim na ziemi i z tyłu, na leżąco, do nich strzelali”.

Głównymi odpowiedzialnymi za egzekucje było dwóch niemieckich funkcjonariuszy – Johann Hansel i Max Peter. Ten ostatni został zastrzelony przez żołnierzy Armii Krajowej. Miało to miejsce 12 lipca 1944 r. na rynku w Busku. Konsekwencje akcji były tragiczne.

Likwidacja Petera nie zatrzymała egzekucji, które trwały aż do początku 1945 r. Niemcy dokonali natomiast

straszliwej zbrodni odwetowej. Za śmierć Petera głową zapłaciło 29 kolejnych Polaków.

Karolinie Trzeskowskiej-Kubasik należy się uznanie za przypomnienie o tragedii rozstrzelanych w Lesie Weleckim. Jej śladem pójść kolejni badacze i wkrótce opisane zostaną wszystkie miejsca kaźni Polaków. Jesteśmy to winni ofiarom. ©©



★★★★★

KAROLINA
TRZESKOWSKA-
KUBASIK
„ZBRODNI
NIEMIECKIE
W LESIE
WELECKIM”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nowela sierpniowa

Przewrót majowy był ewenementem w politycznych dziejach świata. Rebelianci odnieśli zwycięstwo, ale nie zawieszono konstytucji, nie rozwiązano parlamentu i nie wprowadzono stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Więzienia nie zapełniły się pokonanymi (trafiło tam jednak czterech generałów – osobistych

nagradzanych też ludzi wiernych Piłsudskiemu.

Oczywiście nie obyło się bez nadużyć i rozgrywek personalnych.

Ale czy w normalnym życiu publicznym (nawet bez zamachu stanu) takie sytuacje nie mają miejsca? Inna sprawa, że do zwycięzców tłumnie napływali zwykli karierowicze, spragnieni awansów i stanowisk.

Piłsudzczycy potrzebowali bowiem nowych zwolenników, a z reguły brakowało im wykształconych kadr administracyjnych. Starzy legioniści patrzyli jednak na neofitów z pogardą, nazywając ich „IV Brygadą”. I chyba mieli rację.

Parlament 2 sierpnia 1926 r. posłusznie przegłosował poprawki do konstytucji wzmacniające władzę wykonawczą. Prezydent otrzymał prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy (konieczna była jednak akceptacja parlamentu w terminie 14 dni), głowa państwa uzyskała również prawo do rozwiązywania Sejmu i Senatu. W przypadku nieuchwalenia budżetu prezydent miał prawo wyrazić zgodę na posługiwanie się przez rząd poprzednią ustawą budżetową. Podczas głosowania nad nowelizacją konstytucji doszło do niecodziennego wydarzenia. Na skutek zwyczajnej pomyłki Sejm i Senat (ku radości piłsudzczyków) straciły prawo do samorozwiązania i w tej wersji ustawa weszła w życie. I niebawem miała być gorliwie wykorzystywana przez obóz rządzący. ©©

Tuż po zamachu przeprowadzono czystkę w administracji

wrogów Marszałka), a triumf Piłsudskiego natychmiast został zalegalizowany. Ustąpili tylko rząd i prezydent, a złośliwi komentowali, że przelewano krew wyłącznie po to, aby Piłsudski został ministrem. A stanowisko to przecież proponowano mu już wcześniej.

Bepośrednio po zamachu przeprowadzono jednak czystkę w administracji państwowej. Chociaż to normalna procedura przy zmianie ekipy rządzącej, to wymiana urzędników wywołała oburzenie opozycji. Zwycięzcy błyskawicznie obsadzili kluczowe stanowiska administracyjne swoimi zwolennikami. W ciągu kilku miesięcy wymieniono większość wojewodów (11 z 17) i ponad jedną trzecią starostów. Przy okazji (jak zwykle w takich sytuacjach bywa)

Życie na terenach okupowanych szczegółowo opisuje m.in. Lidia Chaustowa z lokalnego portalu Strona miasta Słowiańsk 6262. – Nie ma zasięgu, Internetu. Światło czasem się pojawia [...]. Nawet jak włączają światło, po dwóch czy trzech godzinach znika. Zniszczone są wszystkie słupy telegraficzne – opowiadał kilka dni temu mer Iziumu Walerij Marczenko na antenie ukraińskiego Radia Charków. Okupanci chodzą ponoć po ulicach i w nieoficjalnych rozmowach sugerują mieszkańcom, żeby poprosili armię rosyjską o „wyzwolenie” pobliskiego Kramatorska, skąd przed wojną Izium czerpał gaz, ponieważ aktualnie gazu w mieście brak. Centralne ogrzewanie przestało działać w marcu, po czym jeszcze zdarzały się 15-stopniowe mrozy. Jeśli sytuacja się nie zmieni, to w najbliższym sezonie grzewczym mieszkańcy będą zamarzać.

Na masową ewakuację nie zezwalają władze okupacyjne. Marczenko twierdzi, że Rosjanie sami ostrzeliwują Izium, po czym próbują przekonać mieszkańców, iż to „ukraińscy nacjonaści bombardują”. Z kolei sytuację w zajęętym pod koniec maja Łymanie (obwód doniecki) opisują miejscowi za pośrednictwem komunikatora Telegram. W mieście brakuje żywności. Ta, którą okupanci przywożą do ocalałych sklepów, jest tak droga, że nikogo nie stać na zakupy.

POMOC NA POKAZ

Rosjanie rozdają, co prawda, pomoc humanitarną, ale tylko na pokaz, przed oczami kamer telewizyjnych, żeby wykreować potrzebny obraz propagandowy. Gdy media znikają, znika też „humanitarka”. Mieszkańcy teoretycznie mogą liczyć na pomoc w odbudowie domów. W praktyce – jedynie na przydział desek do zabicia powybijanych szyb w oknach. Jak opisuje jedna z użytkowników Telegramu, nawet ci, którzy czekali na przyjsie „raszystowskiego świata”, zaczynają mieć już dość braku wody, gazu i prądu. „Ale są tacy idioci, którzy mówią, że trzeba być cierpliwym” – dodaje.

Żołnierze rosyjscy wchodzą do domów i kradną wszystko, co im się podoba. Jednej z mieszkanki zabrali grzejnik elektryczny. W odpowiedzi na pytanie, jak ma się teraz ogrzać zimą, usłyszała: „A co, moja droga, nie rozumie pani, że jest wojna?!”. Przy czym kradną nie tylko Rosjanie, lecz także Ukraińcy, zmuszeni do tego ciężką sytuacją materialną.

Życie codzienne pod okupacją



Maciej Pieczyński

Bez pieniędzy, perspektyw, zasięgu w telefonie i Internetu. Do tego z łatką „kolaboranta”. Na „pocieszenie” dla chętnych – paszport z dwugłowym orłem. To codzienność Ukraińców na terenach okupowanych przez Rosję

Jak nietrudno się domyślić, sezonu turystycznego nad Morzem Azowskim praktycznie nie ma. W Żelaznym Porcie od lipca, co prawda, otworzyła się część hoteli, a w jednym z nich luksusowy pokój, wart normalnie 1,5 tys. hrywien, można wynająć za 500. Chętnych jednak brak. Dwadzieścia kilometrów dalej, w kurorcie Łazurne, ludzie boją się korzystać z uroków nabrzeża z powodu min. W maju dla trzech osób plażowanie skończyło się tragicznie. W Berdiańsku plaże opustoszały. Na ulicach miasta okupanci zatrzymują przypadkowych mężczyzn, sprawdzają im dokumenty i tatuaże (a nuż trafią na ukrytego bojownika „Azowa”). Opowiedział o tym jeden z mieszkańców w rozmowie z Radiem Swoboda. Przyznał, że kobiety są legitymowane rzadziej, ale były przypadki, gdy np. zabraniano im głośno się śmiać. Wielu właścicieli sklepów zamknęło swój biznes, żeby nie płacić podatków okupantom.

O realiach życia w Melitopolu „Ukraińskiej Prawdzie” opowiedziała Kateryna (imię zmienione przez redakcję w celach bezpieczeństwa), absolwentka miejscowego liceum, która miała właśnie zdawać maturę i iść na studia do Charkowa. Po wybuchu wojny nie dała rady wyjechać na tereny niezajęte przez Rosjan. Dlatego też zmieniła plany i pogodzona z sytuacją zamierza studiować na Krymie. Gdy oka-

zało się, że w Melitopolu przestała działać ukraińska policja, zaczęły się masowe rabunki sklepów, przy czym swoich rodaków okradali sami Ukraińcy. Do miasta w tym celu przyjeżdżali mieszkańcy okolicznych wsi. Powstał internetowy czat „Maruderzy Melitopola”, na którym publikowano zdjęcia szabrowników. Na jednym z nich chłopak Kateryny rozpoznał swojego kolegę z klasy. „Niektórzy mieszkańcy zwracali się nawet do Rosjan, żeby pomogli im bronić sklepy przed maruderami. Inni samodzielnie organizowali »drużynę« w celu ochrony porządku w mieście” – relacjonuje Kateryna.

Bohdan, mieszkaniec Melitopola, o warunkach prowadzenia biznesu w swoim rodzinnym mieście opowiedział redakcji portalu Focus. „Jeśli ktoś nie chce z nimi współpracować i się z nimi »dzielić« zyskami, to znajdują kogoś na jego miejsce i zabierają mu firmę. W Melitopolu zostali ci biznesmeni, którzy nie mogli przewieźć swojego majątku. Około 25 proc. tych, którzy zostali, zaczęło współpracować” – mówił.

„SZUKAJĄ JEDZENIA NA ŚMIETNIKACH”

Ołena (imię zmienione ze względów bezpieczeństwa) przed wojną prowadziła wraz z mężem firmę w Chersoniu. Po zajęciu miasta przez Rosjan zrezygnowała

FOT. ALEX CHAN / TSYK / DPA, IMAGES GETTY IMAGES

z prowadzenia biznesu. – Raszyści dają wybór: albo płacisz im daninę, albo tracisz firmę – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”. Jako wolontariuszka zajmuje się opieką nad zwierzętami. Wraz z rodziną utrzymuje się z oszczędności. Nie planują wyjechać na tereny znajdujące się pod kontrolą Kijowa. – Na wyjeździe z miasta są ogromne korki. Stoi tam teraz ze 4 tys. samochodów. Rosjanie przepuszczają po 150–200 dziennie. Nie chcemy stać w wielogodzinnej kolejce, w pełnym słońcu. Nasze zwierzęta tego nie wytrzymają, a zostawić ich nie możemy – tłumaczy Ołena „Do Rzeczy”. Sytuacja w mieście jest jednak fatalna. – Ludzie szukają jedzenia na śmietnikach, sprzedają wszystko, co mają cennego, aby przeżyć – mówi. Przez pewien czas do sklepów ustawiały się ogromne kolejki, choć półki sklepowe niemal świeciły pustkami. – Teraz produktów nie brakuje, ale ceny są bardzo wysokie. Przed wojną kilogram mięsa mielonego kosztował 120 hrywien, teraz – 250. Szampon z kolei można było kupić za 80, a teraz – za 600 hrywien. Lekarstwa są tak drogie, że emerytów nie stać nawet, żeby spojrzeć w stronę apteki – relacjonuje Ołena. Ceny podawane są w hrywnach i w rublach. Obie waluty na terenach okupowanych funkcjonują równolegle. Banki i poczty są zamknięte, bankomaty nie działają. Kartą można płacić w niewielu sklepach. Tych najdroższych. Nie ma jak i gdzie wypłacić gotówki z własnego konta. Emeryci dostają od okupacyjnej administracji po 10 tys. rubli. – Nawet jak nie chcą od raszystów nic brać, to są do tego zmuszeni – mówi Ołena.

Na braku gotówki zarabiają ci, którzy przed wojną mieli jej nadmiar. „Mieniała” (po rosyjsku) albo „miniajło” (po ukraińsku) to osoba prywatna, która na terenach okupowanych pełni rolę „bankomatu” z bardzo wysoką prowizją. Interesant przelewa „mieniale” środki na konto. W zamian otrzymuje gotówkę. Usługa kosztuje od 10 do 20 proc. od wypłaconej kwoty.

RUSYFIKACJA SZKÓŁ

Na terenach zajętych przez Rosjan po 24 lutego ukraińska szkoła w trybie stacjonarnym przestała funkcjonować. Nauczyciele zmuszani są do prowadzenia lekcji zgodnie z rosyjskim programem albo zastępowani swoimi kolegami po fachu z Rosji. Wśród tych ostatnich znalazło się 250 chętnych wyjechać na „delegację” do szkół w obwodach chersońskim i zaporoskim. Głównie są to nauczyciele z biedniejszych regionów kraju. Jedna trzecia pochodzi

z kaukaskiego Dagestanu. Moskwa obiecuje, że zapewni im osobiste bezpieczeństwo. Pracę mają zacząć od 1 września, kiedy to w placówkach oświatowych na terenach okupowanych ma ruszyć na całego rosyjski program nauczania. Nauczyciele ukraińscy z Mariupola, którzy zgodzili się na współpracę z okupantem, wywożeni są na specjalne kursy do Rostowa nad Donem.

Nauczanie zgodne z ukraińskim programem odbywa się zdalnie, jak w czasie pandemii. Tyle że z Internetem jest różnie. – Około 30–40 proc. mieszkańców Chersonia może nie mieć dostępu do sieci. Ja mam, bo mi sąsiadka dała hasło do swojego wi-fi – mówi Ołena. Rosjanie wyłączyli też zasięg ukraińskich operatorów sieci komórkowych. Mieszkańcy zmuszeni są więc kupować rosyjskie karty SIM. Czasem jednak nawet i one nie działają z braku zasięgu. W Melitopolu przez tydzień w ogóle nie było dostępu do sieci komórkowej. Po tygodniu Rosjanie dali mieszkańcom wybór: albo dalej funkcjonują bez kontaktu ze światem, albo przechodzą do rosyjskiego operatora.

TERROR

W pierwszych tygodniach okupacji ulicami Chersonia przechodziły demonstracje patriotyczne. Mieszkańcy nie zamierzali witać Rosjan kwiatami. Jednak terror wszystko zmienił. – Nawet za polubienie proukraińskiego postu na Facebooku mogą aresztować – mówi Ołena.

Pochodząca z niewielkiej miejscowości w jednym z okupowanych obwodów Switłana (imię zmienione ze względów bezpieczeństwa) miała szczęście. Jeszcze przed wojną wyjechała do pracy w Polsce. W rodzinnej wsi została jej córka z mężem i dwuletnim dzieckiem. W pierwszych dniach wojny wysłała matce nagranie, na którym widać, jak pod domem przejeżdżają rosyjskie czołgi. A jednak córka ewakuować się nie zamierza. – Nie potrafię jej namówić na wyjazd. Jej męża nie wypuszczą, a ona go tam nie chce zostawić. Nie chce też zostawić swoich siostrzeńców mieszkających w sąsiedniej wsi. Jeden ma 10, drugi 14 lat. Są sierotami. Poza tym wyjazd [z prywatnym kierowcą, który zarabia na transporcie uchodźców, innej opcji nie ma – przyp. red.] kosztuje bardzo dużo, nie stać ich – opowiada Switłana w rozmowie z „Do Rzeczy”. Przed wojną jej zięć kupił stare kutry rybackie i przerobił na statki wycieczkowe. Teraz ten turystyczny biznes nie ma, rzecz jasna, sensu. Młodzi utrzymują się wyłącznie z tego, co przeleje

im Switłana z Polski. Oczywiście po odjęciu prowizji, którą naliczy „mieniale”.

Brak pieniędzy to jeszcze nie jest najgorsze, co może spotkać mieszkańców terenów okupowanych. W Mariupolu po kilku miesiącach braku wody okupanci zaczęli ją rozdawać na ulicy. Miejscowi partyzanci dostarczyli próbkę do sanepidu w Zaporozżu. Wykryto bakterię coli. Z kolei w Doniecku, który pod okupacją jest od ośmiu lat i nie został tak zniszczony jak Mariupol, rozdają wodę „pitną” z płynącymi w niej czerniwami.

Na Ukrainie toczą się dyskusje o wyznaczenie granicy, za którą zaczyna się kolaboracja. Władze namawiają mieszkańców okupowanych terenów do ewakuacji, ale nie wszyscy chcą i nie wszyscy mogą to żądanie spełnić. Okupanci rozdają mieszkańcom paszporty rosyjskie w uproszczonym trybie. Rząd ukraiński zamierza wprowadzić odpowiedzialność karną za ich przyjęcie. Obrońcy praw człowieka kwestionują takie rozwiązania, argumentując, że paszportyzacja w dużej mierze jest przymusowa. W części regionów Ukraińcy zmuszani są do przyjęcia obywatelstwa FR, a za odmowę karani robotami publicznymi. Okupanci też zwyczajnie kupują kolaborantów – w zamian za paszport państwa agresora można dostać 10 tys. rubli. W mediach kremlewskich można zobaczyć obrazki szczęśliwych (z reguły starszych) osób, które cieszą się z „powrotu do macierzy”. I z uśmiechami na ustach odbierają paszporty w dwugłowym orle. Podobną praktykę stosowano wcześniej w zajętych w 2014 r. rejonach Donbasu oraz na Krymie.

Na terenach okupowanych po 24 lutego tworzona jest administracja wojsko-cywilna, kierowana oficjalnie przez miejscowych kolaborantów. Publicznie wypowiadają się oni za wejściem regionów bezpośrednio w skład Federacji Rosyjskiej. Prawdopodobnie Rosjanie rozważali ogłoszenie powstania Chersońskiej Republiki Ludowej. Ostatecznie do tego nie doszło, najwyraźniej z powodu trwających w okolicy działań wojennych, przede wszystkim zaś z uwagi na nikłe, w porównaniu z sytuacją w Donbasie osiem lat wcześniej, poparcie społeczne. Wiele wskazuje na to, że Moskwa planuje, wzorem Krymu, na okupowanych terenach przeprowadzić „referendum” i rzekomo wola ludu uzasadnić aneksję. Miałoby do tego dojść w połowie września. Do tego czasu Rosjanie chcą zająć jak największy obszar.



Zielona rewolucja spowodowała zmniejszenie produkcji herbaty o połowę. To pociągnęło za sobą lawinę bankructw właścicieli plantacji i wpędziło w biedę setki tysięcy pracujących na nich zbieraczy. Wściekli ludzie wyszli na ulice. FOT. THARAKA BASNAYAKA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

W raju na skraju

Ten turystyczny raj miał się stać pierwszym na świecie państwem, w którym cała produkcja rolna będzie w pełni ekologiczna. Prezydent Gotabaya Rajapaksa z nieskrywaną dumą zapowiadał wiosną zeszłego roku, że zakaz importu nawozów sztucznych i pestycydów będzie „dobry dla zdrowia”. Cały świat miał się zachwycić lankijskimi osiągnięciami w rozwoju ekoroelnictwa.

Wystarczył niecały rok, by rzeczywistość brutalnie zweryfikowała zielone wizje Rajapaksy. Zakaz stosowania nawozów sztucznych najmocniej uderzył w perłę lankijskiego rolnictwa – słynną cejlońską herbatę.

SPADEK ZBIORÓW, UPADEK PLANTATORÓW

Licząc zbiory rok do roku, zielona rewolucja prezydenta Sri Lanki spowodowała zmniejszenie produkcji herbaty



Piotr Włoczyk

Sri Lanka stanęła nad gospodarczą przepaścią z powodu nałożenia się na siebie kilku kryzysów. Ogromną rolę odegrał w tym niebezpieczny zielony eksperyment

o połowę. To z kolei pociągnęło za sobą lawinę bankructw właścicieli plantacji i wpędziło w biedę setki tysięcy pracujących na nich zbieraczy. „Wszyscy będą cierpieć z powodu tego kryzysu. Nie tylko najbiedniejsi. Bogaci również potracą majątki. W najczarniejszym scenariuszu świat straci cejlońską herbatę” – powiedział w rozmowie z telewizją Sky News Rajith Gnanasekera, właściciel plantacji herbaty. „Wszystkie najważniejsze uprawy upadły. Brakuje herbaty na sprzedaż,

ponieważ zbiory okazały się bardzo niewielkie. Ludzie nie mają środków, by kupić towary importowane z zagranicy, a produkcja żywności na miejscu, by żywić mieszkańców Sri Lanki, okazuje się zupełnie niewystarczająca. Ludności grozi głód” – alarmował na antenie Fox News Myron Ebell, ekspert z waszyngtońskiego Competitive Enterprise Institute.

Załamanie upraw herbaty to najgłośniejszy efekt zielonej rewolucji Rajapaksy. Lankijczycy zmagają się jednak dziś

również z ogromnym spadkiem zbiorów ryżu, który jest podstawą wyżywienia mieszkańców Sri Lanki. Efektem są tłumy ludzi przy nabrzeżach lankijskich portów, czekających na rozładunek dostaw pomocy humanitarnej, głównie z Indii. Widok taki jeszcze do niedawna był nie do pomyślenia w tym turystycznym raj. Kolejki ludzi czekających na pomoc z zewnątrz, którzy jeszcze rok temu zupełnie dobrze radzili sobie sami, przywołuje skojarzenia z innymi rewolucyjnymi dekretemi władz owładniętych wizją przeprowadzenia błyskawicznej transformacji w danej dziedzinie. Pół wieku temu Mao Zedong doprowadził do głodu na biblijną skalę, rozkazując industrializację chińskiej wsi, czego skutkiem było oderwanie chłopów od pól.

Lankijskie władze nie musiałyby jednak sięgać tak głęboko w przeszłość, by zobaczyć, jakie efekty przynoszą podobne wizje. Wystarczyłoby poczytać raporty z Wenezueli pokazujące, do jakiej zapaści doprowadziło tamtejsze ręczne sterowanie rolnictwem. Produkcja trzciny cukrowej, która dla Wenezueli jest tym, czym dla Sri Lanki herbata, spadła w ostatnich latach do tak niskiego poziomu, że tamtejsze fabryki słodkich napojów gazowanych musiały przestawić produkcję na wersję „light”, czyli bez cukru.

KUMULACJA KRYZYSÓW

Efekty realizacji zielonej wizji prezydenta Rajapaksy to tylko jeden z kilku kryzysów, które w jednym czasie obezwładniły gospodarkę Sri Lanki. Gotabaya Rajapaksa ma na swoim koncie jeszcze jedną reformę, która wraz z zakazem używania nawozów sztucznych i pestycydów doprowadziła kraj nad przepaść. Jesienią 2019 r. Rajapaksa prowadził swoją kampanię prezydencką pod hasłem ogromnej obniżki podatków. Gdy jednak kilka miesięcy później uderzył COVID-19, który zatrzymał gospodarkę i odciął ten tropikalny raj od dochodów z turystyki, prezydent nie wycofał się z potężnego cięcia podatków. Budżet państwa odczuł to błyskawicznie, co skończyło się na zadłużeniu państwa ponad stan. O ile w 2018 r. dług Sri Lanki wynosił nieco ponad 80 proc., o tyle w 2021 r. przekroczył 100 proc., czyli w niecałe trzy lata zwiększył się o 25 proc. W połączeniu z globalnymi problemami z łańcuchami dostaw i drożającymi surowcami energetycznymi skończyło się na inflacji przekraczającej 50 proc. i niemal dwukrotnym

spadku wartości rupii lankijskiej. Obsługa zadłużenia zagranicznego wydręnowała do reszty rezerwy walutowe Sri Lanki. Państwo to dysponuje obecnie mniej niż 2 mld dol., a tylko w tym roku musi spłacić 9 mld dol. długu.

Wszystko to razem sprawiło, że od wiosny tego roku nikt rozsądny nie sprzedaje Sri Lance ropy naftowej. Do braku ryżu doszedł brak paliwa, co dodatkowo uderza w rolnictwo. Pod naporem coraz tragiczniejszych statystyk rząd wycofał się z zakazu stosowania nawozów sztucznych i pestycydów, ale obecnie brak paliwa, po części wywołany odwołanym niedawno zakazem, jest obecnie największym problemem dla lankijskich rolników. Telewizje na całym świecie pokazywały w reportażach ze Sri Lanki niekończące się kolejki riksarzy i taksówkarzy czekających kilka dni na zatankowanie swoich pojazdów, ale równolegle rozgrywa się dramat na wsiach, gdzie brak paliwa do maszyn rolniczych uniemożliwia efektywne prace na polach. To największy kryzys gospodarczy w historii Sri Lanki, odkąd ta była brytyjską kolonią uzyskała w 1948 r. niepodległość (Cejlon w 1972 r. zmienił nazwę na Sri Lanka). Kraj znalazł się w tak dramatycznym położeniu, że władze zdecydowały się na dramatyczny apel do swoich obywateli pracujących za granicą: „Przesyłajcie do kraju więcej twardej waluty!”.

Drastyczny spadek poziomu życia milionów Lankijczyków (państwo to liczy sobie 22 mln obywateli) doprowadził do masowych protestów. Demonstranci winili nie tylko prezydenta, lecz także innych członków jego rodziny, którzy zajmowali kluczowe stanowiska w państwie. Brat Gotabayi Mahindy do maja tego roku był premierem, a ich trzej inni bracia byli ministrami. Ich przeciwnicy mówią o klanie, który oplótl państwo pajęczyną korupcji.

Kryzys zakończył panowanie Rajapakśów. Najpierw w maju zmiótł Mahindę, a w lipcu Gotabaya uciekł ze Sri Lanki do Singapuru. Demonstranci wdarli się do siedzib premiera i prezydenta. Obrazki tłumu biedaków zażywających kąpieli w basenie na terenie rezydencji głowy państwa obiegły światowe media. Nowym prezydentem (wybrany 21 lipca przez parlament) został Ranil Wickremesinghe, który zastąpił na fotelu premiera Mahindę Rajapakse. Ten weteran lankijskiej polityki sześciokrotnie pełnił funkcję szefa rządu i choć w czasie inauguracji mówił: „Nie jestem

przyjacielem Rajapakśów, jestem przyjacielem ludu”, to mało kto w to wierzył. Wickremesinghe kojarzony jest jako stronnik klanu Rajapakśów i niewielu Lankijczyków daje wiarę, że uda mu się skutecznie zwalczyć kryzys. Być może dlatego na jego inauguracji nie pojawił się prawie nikt z lankijskiego „ludu”, którego przyjacielem się mieni. Co ciekawe, Wickremesinghe bardzo szybko pokazał, że nie będzie litości dla protestujących. Następcą znienawidzonego Gotabayi Rajapaksy rozkazał rozpozdenie „miasteczka” protestujących, które wyrosło przed budynkami rządowymi.

„Ranil chciał pokazać, że ma władzę – powiedział z rozmowie z BBC Asiri Perera, jeden z demonstrantów. – Nie ma poparcia wyborców, więc chciał zdemontować politykom i armii swoje zdecydowanie. Dla nas to katastrofa. Kiedy już udało się nam pozbyć Gotabayi, uwierzyliśmy, że Sri Lanka robi krok naprzód. Zamiast tego wróciliśmy do punktu wyjścia”.

Władze Sri Lanki szukają ratunku przed kompletną zapaścią w Indiach, Chinach, Bangladeszu, a nawet w Rosji. Szczególnie pomoc z Pekinu obarczona jest jednak dużym ryzykiem na przyszłość. Chińscy komuniści są oczywiście skłonni pożyczać pieniądze zadłużonym krajom Globalnego Południa, ale ceną jest zawsze przejmowanie kontroli nad kluczowymi punktami gospodarki, jak np. porty. Nie inaczej jest w tym przypadku. Dlatego lankijskie władze przede wszystkim liczą na pomoc Międzynarodowego Funduszu Walutowego. I choć MFW wymaga reform (często bardzo bolesnych) w zamian za pomoc, to jednak zastrzyk pieniędzy z tego kierunku wydaje się Lankijczykom bezpieczniejszy. Problem polega na tym, że dopóki Sri Lanka nie opanuje choćby częściowo chaosu, dopóty MFW nie zamierza rzucać temu krajowi koła ratunkowego, wychodząc z założenia, że totalny rozgardiasz w gospodarce to zbyt duże ryzyko dla pożyczonych pieniędzy.

Władze Sri Lanki zdają sobie najwyraźniej sprawę z tego, że uzyskanie wsparcia MFW nie będzie łatwe. „Nasz kraj wielokrotnie prowadził negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym – mówi w lipcu Ranil Wickremesinghe. – Teraz jest jednak inaczej niż wcześniej. Kiedyś prowadziliśmy rozmowy jako kraj rozwijający się. Obecnie już tak nie jest. Teraz bierzemy udział w negocjacjach jako bankrut”.



TRANSSEKSUALNE ZNAKI DROGOWE

W Izraelu pracują nad zmianą znaków drogowych. Tamtejsze Ministerstwo Transportu i Bezpieczeństwa Drogowego uznało, że projekty znaków z lat 60. nie zawierają sylwetek kobiet. „Kobiety są dziś wykluczone z przestrzeni publicznej, dlatego podejmujemy kroki, aby różnicować znaki i umieścić na nich wizerunki kobiet, a nawet osób transseksualnych” – powiedział przedstawiciel izraelskiego resortu portalowi Ynetnews.com. Jak wyglądać ma piktogram osoby transseksualnej – jeszcze nie wyjaśniono.

FOT. ADRIE STOCK

NIEBEZPIECZNY SPORT – SZACHY

W organizowanym turnieju szachowym w Rosji – Moscow Chess Open – siedmioletni chłopiec rozgrywał partię przeciw robotowi szachowemu. W pewnym momencie maszyna, która sama przedstawiała pionki na planszy, złapała palec dziecka i go złamała. Wiceprezes Rosyjskiej Federacji Szachowej winą za ten incydent obciążył poszkodowanego chłopca. Uznał, że to dziecko „złamało zasady bezpieczeństwa”.

PASTOR NOSIŁ BIŻUTERIĘ WARTĄ MILIONY

Pastor Lamon Miller-Whitehead z Brooklynu w USA został napadnięty, gdy prowadził mszę. Wszystko zarejestrowały kamery, bo msza była transmitowana w mediach społecznościowych. Miller-Whitehead po napadzie wyznał, że stracił biżuterię o wartości przekraczającej milion dolarów. Miał na sobie nie tylko pierścienie biskupi, obrączkę, lecz także „łańcuchy”

skryte pod szatą oraz zegarek Rolex wartý ok. 75 tys. dol.

KOLEGA SIĘ TOPI? TO NAGRYWAM

W Den Bosch w Holandii dwaj znajomi, panowie po pięćdziesiątce, wybrali się nad jezioro. Jeden z nich zaczął się topić, drugi wezwał służby na pomoc. Okazało się jednak, że nagrały go kamery monitoringu. I najpierw, zamiast pomóc koledze czy wezwać pomoc, nagrywał tonącego znajomego smartfonem. Za nieudzielenie pomocy grozi mu do trzech miesięcy więzienia.

STRACIŁ GŁOWĘ DLA SELFIE

Tragiczne wakacje Brytyjczyka w Grecji. 22-latek wracał wraz z rodziną z wycieczki helikopterami i po wylądowaniu w miejscowości Spata wysiadł i poszedł z telefonem na tył maszyny, aby zrobić sobie selfie. Tam został uderzony przez mały wirnik śmigłowca w głowę. Nie przeżył. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Świat zaciska pasa

Aby walczyć z wysoką inflacją, amerykańska Rezerwa Federalna drugi miesiąc z rzędu podniosła referencyjną krótkoterminową stopę procentową o 0,75 punktu procentowego, tym razem do przedziału 2,25–2,5 proc. Tak gwałtownego wzrostu kosztu pieniądza w USA – pół roku temu stopa procentowa była bliska zeru, a maszynki do drukowania pieniędzy pracowały pełną parą – nie widziano od lat 80. ubiegłego wieku. 21 lipca „cenę pieniądza” w strefie euro podniósł również Europejski Bank Centralny. Podwyżka o 0,5 punktu procentowego była pierwszą od lipca 2011 r. Z kolei Węgrzy – mając w pamięci hiperinflację będącą

wynikiem powojennego kryzysu – aby walczyć ze wzrostem cen, od czerwca ubiegłego roku do ubiegłego tygodnia podnieśli główną stopę już z 0,6 proc. do najwyższego poziomu w całej Unii Europejskiej, czyli do 10,75 proc.

Trzeba przyznać, że inflacja zarówno w Europie, jak i za oceanem tak wysoka nie była od kilkudziesięciu lat (w czerwcu w USA wyniosła 9,1 proc., na Węgrzech – 11,7 proc., a w Polsce – 15,6 proc.). Jednocześnie spowolnienie lub nawet recesja – którymi od miesięcy straszą nas analitycy – w różnych regionach świata zaczynają być coraz bardziej widoczne, nie tylko w USA. Wielu komentatorów spodziewa się więc,

że Rada Polityki Pieniężnej mimo wciąż szybkiego tempa wzrostu cen w obawie o słabnącą koniunkturę gospodarczą na wrześniowym posiedzeniu nie podwyższy stóp procentowych, utrzymując stopę referencyjną na poziomie 6,5 proc. Zbyt mocne zacieśnianie polityki monetarnej może bowiem wywołać recesję. To dobra wiadomość dla kredytobiorców. Obniżenie oczekiwań dotyczących przyszłych podwyżek stóp sprawia również, że od kilku tygodni spada też rentowność polskich obligacji, co cieszy wreszcie posiadaczy funduszy obligacyjnych. Dalszy rozwój gospodarek naszego regionu zależy jednak mocno od wydarzeń na Ukrainie. ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNER



Fundacja

Najnowsza prognoza Narodowego Banku Polskiego, dotycząca perspektyw polskiej gospodarki do końca 2024 r., zrobiła nieco szumu tylko dlatego, że stoi w sprzeczności z wcześniejszymi słowami prezesa NBP Adama Glapińskiego o spodziewanym szczytowym momencie inflacji. 8 lipca Glapiński przewidywał, że najwyższy poziom inflacji osiągnie w wakacje, ale analiza NBP mówi coś całkiem innego. To jednak jedyny jej element, który przebił się do mediów – a szkoda, bo obraz, który się z niej wyłania, jest mocno niepokojący.

Analitycy umieszczają polską sytuację na tle światowym i europejskim. Wskazują m.in. na problemy, które doskonale znamy, takie jak zderzenie popandemicznego ożywienia z problemami z łańcuchami dostaw. Z praktycznym wymiarem tego zjawiska ma do czynienia niemal każdy, kto czeka – czasami już od wielu miesięcy – na zamówiony nowy samochód.

NIE TYLKO CZYNNIKI ZEWNĘTRZNE

Widać tutaj pewne pozornie korzystne zmiany, ale mogą być one zarazem zwiastunem czegoś gorszego niż popandemiczny kryzys podaży. Jeśli spojrzymy na wykres cen frachtu, to globalny indeks zaczął już spadać, choć nadal utrzymuje się na poziomie wyraźnie wyższym niż w 2020 r. Dotyczy to przede wszystkim tras z Azji Wschodniej do Europy. Na wzrosty w jakiejś mierze składa się zapewne cena paliwa, z kolei spadek można by przypisać stabilizowaniu się sytuacji na rynkach. Jest jednak i taka możliwość, że wszelkie spadki cen, które możemy ostatnio obserwować – także te dotyczące ropy – są już sygnałami nadciągającej światowej recesji.

Ceny ropy na światowych giełdach są co prawda wciąż o wiele wyższe, niż były jeszcze w listopadzie ubiegłego roku, ale aktualnie spadły do poziomu mniej więcej z kwietnia tego roku. Ropa WTI kosztuje teraz ok. 95 dol. za baryłkę, a ropa Brent ok. 104 dol. To wyraźnie mniej niż szczyt z marca tego roku (odpowiednio 109 i 111 dol. za baryłkę), choć wciąż bardzo dużo. Od tych cen oczywiście wyraźnie odstaje indeks ropy Ural, czyli rosyjskiej, który rozejchał się z dwoma pozostałymi chwilę po wybuchu wojny. Dziś rosyjska ropa kosztuje zaledwie 78 dol. za baryłkę, co w wielu krajach daje rosyjskiemu surowcowi ogromną konkurencyjną przewagę.



Ciemne chmury nad gospodarką



Łukasz Warzecha

Polska gospodarka jest częścią większego systemu. Prognoza dla strefy euro wygląda mało optymistycznie. Od wzrostu gospodarczego, wynoszącego ponad 5 proc. w 2021 r., ma nastąpić spadek do niewiele ponad 1 proc. w przyszłym roku

Dramatycznie w ciągu ostatnich miesięcy poszybowały ceny pozostałych surowców – gazu i zwłaszcza węgla, a także produktów rolnych. NBP wskazuje, że w wyniku szoków podażyowych w wielu krajach świata wystrzeliła w górę inflacja – aczkolwiek przypisywanie tego zjawiska wyłącznie czynnikom zewnętrznym wielu ekonomistów uznaje za błędne. Dotyczy to także Polski, gdzie trzeba pamiętać o wpompowaniu blisko 300 mld zł w gospodarkę w ramach tarcz antycovidowych, których stworzenie było przecież efektem podejścia do zamykania gospodarki. Nikt nam tego nie narzucał.

Skutkiem rosnącej inflacji – wskazują analitycy – jest z kolei podnoszenie stóp procentowych, czyli zacieśnianie polityki monetarnej. Analiza NBP nie pokazywała jeszcze najnowszego ruchu Europejskiego Banku Centralnego. EBC podniósł stopy procentowe 21 lipca po raz pierwszy od 11 lat – i to od razu o 50 punktów bazowych, więcej od oczekiwani, z zera do poziomu 0,5 proc. W ostatnią środę zaś Rezerwa Federalna zdecydowała o podniesieniu amerykańskich stóp aż o 75 punktów bazowych, do 2,5 proc., i była to już czwarta podwyżka w tym roku.

Czy jednak faktycznie, jak sugeruje analiza NBP, inflacja w tak wielu miejscach na świecie jest spowodowana w zasadzie wyłącznie zewnętrznymi czynnikami? Z takim poglądem nie zgadza się Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha. Sadowski wskazuje na Japonię jako przykład kraju osadzonego w zachodnim systemie gospodarczym, gdzie sytuacja jest inna. Faktycznie – jakkolwiek w drugiej połowie ubiegłego roku Japonia wyszła z krótkiego dołka deflacyjnego, który zaczął się w 2020 r. pod wpływem pandemii, a tamtejsza inflacja wzrosła, to jest też wciąż o wiele mniejsza niż w przywoływanych przez NBP krajach i w lipcu wynosiła jedynie 2,4 proc. Czyli mieściła się całkowicie w obrębie tego, co uznajemy za cel inflacyjny w Polsce. Ba, jest to nawet spadek o 0,1 punktu w stosunku do czerwca.

Sadowski wskazuje również na to, że w samej strefie euro kraje mają różny poziom inflacji, co pokazuje, że nie można jej zrzucać wyłącznie na karb czynników zewnętrznych.

– Chodzi tutaj o podaż pieniądza – mówi Sadowski. – To jest czynnik, który w jednych państwach inflację napędza bardziej, w innych mniej. Rządy natomiast chciałyby odpowiedzialność przerzucić jedynie na niezależne od nich zjawiska, bo tak jest im wygodnie.

NIE MA POWODÓW DO OPTYZMU

Co nas w takim razie czeka? Polska gospodarka jest częścią większego systemu, NBP pokazuje zatem prognozę dla strefy euro, a ta wygląda mało optymistycznie. Od wzrostu gospodarczego, wynoszącego ponad 5 proc. w 2021 r., ma nastąpić spadek do niewiele ponad 1 proc. w przyszłym roku, a w następnym lekki wzrost do niespełna 2 proc. W zasadzie więc mówimy o stagnacji. Najświeższa prognoza Goldman Sachs mówi o jeszcze gorszym scenariuszu: jeśli Rosja wstrzyma dostawy gazu, to zdaniem analityków banku gospodarke strefy euro czeka recesja: -0,1 proc. w III i -0,2 proc. w IV kwartale tego roku. Potem ma nastąpić pewne odbicie. Niewiele lepiej ma być w USA, gdzie przewidywany wzrost gospodarczy na dwa kolejne lata ma być tuż poniżej 2 proc.

A co z Polską? Nie ma powodów do wielkiego optymizmu. NBP przewiduje wzrost bezrobocia do końca horyzontu prognozy. Są tu dwa wskaźniki: bezrobo-

cie rejestrowane oraz bliższe autentycznemu, zawsze niższe, obliczane na podstawie badania aktywności ekonomicznej ludności. To pierwsze wynosi dzisiaj ok. 5 proc. i jest jednym z najmniejszych notowanych. To drugie jest zwykle niższe o ok. 2 punkty. Prognoza dotyczy tylko tego drugiego wskaźnika i pokazuje, że do końca 2024 r. ma on rosnąć, aby osiągnąć niespełna 5 proc. Bezrobocie rejestrowane będzie zatem wynosiło mniej więcej 7 proc. Byłby to poziom z roku 2017. Nie rekordowo wysoki, ale też wyraźnie wyższy od obecnego. To jednak scenariusz raczej optymistyczny.

Bardzo niepokojąco wygląda wykres stopy oszczędności gospodarstw domowych. Znalazł się on na zerowym poziomie już w połowie ubiegłego roku. Oznacza to, że Polacy w większości stracili wówczas możliwość odkładania pieniędzy. Pod koniec tego roku, według NBP, stopa dobrowolnych oszczędności ma się znaleźć poniżej zera, a to znaczy, że gospodarstwa domowe będą musiały zacząć czerpać ze swoich zapasów, aby utrzymać się na powierzchni. To wszystko w połączeniu z malejącą prawie do zera konsumpcją.

Spójrzmy w końcu na dwa kluczowe wskaźniki: prognozę rozwoju gospodarczego i prognozę inflacji. NBP wskazuje, że negatywnie na dynamikę PKB wpłyną rosnące stopy procentowe (mniej pieniędzy na rynku oznacza mniejszy popyt), spowolnienie gospodarcze poza Polską oraz spadek napływu funduszy UE. Z kolei łagodzący skutek mają mieć tarcza antyinflacyjna i Polski Ład (więcej pieniędzy w kieszeniach konsumentów, czyli wyższy popyt), wyższe wydatki na obronność oraz napływ migrantów z Ukrainy w połączeniu ze wzrostem wydatków publicznych na nich. Te pozytywne czynniki natychmiast jednak budzą wątpliwości. Więcej pieniędzy w kieszeniach ludzi to zarazem czynnik proinflacyjny, a więc będzie się to niejako znosić ze skutkiem podwyżek stóp procentowych, a to z kolei oznacza, że może się nie udać wystarczająco wyhamować inflacji. Wydatki na obronę to ogromne obciążenie budżetowe, a więc znaczący wzrost faktycznego długu publicznego. Wspieranie Ukraińców w Polsce z budżetu państwa to kolejne dosypywanie pieniędzy do systemu, czyli znów napędzanie inflacji.

Prognoza wzrostu PKB w tzw. ścieżce centralnej, czyli najbardziej prawdopodobnym zdaniem analityków scenariu-

szu, to zaledwie 1,4 proc. w przyszłym roku oraz 2,2 proc. w 2024 r. Bardzo marnie. Znacznie gorzej wygląda to jednak w scenariuszu skrajnym – owszem, najmniej prawdopodobnym, ale jednak uwzględnionym w prognozie. Zgodnie z nim mielibyśmy wpaść w recesję w drugiej połowie tego roku i nie wyjść z niej już do końca prognozy. W tym scenariuszu pod koniec 2024 r. wzrost PKB miałby wynosić -2 proc. Problem w tym, że nie mamy tutaj marginesu błędu: centralna linia prognozy leży tak blisko zera, że nawet w umiarkowanie negatywnym scenariuszu czeka nas przez część czasu recesja. Wzrost gospodarczy w tym wariantcie w przyszłym roku miałby wynieść zaledwie 0,2 proc.

Co z inflacją? Tu jest podobnie. Liczona rok do roku w średnim scenariuszu miałyby wynieść 14,2 w tym roku, 12,3 w przyszłym oraz 4,1 w 2024 r. Jej szczyt faktycznie przypaść ma na początek przyszłego roku, a nie tegoż roczne wakacje. I uwaga: w najgorszym wariantcie sięgnęłaby w tym apogeum aż ok. 26 proc.! W prognozie centralnej – 18 proc., co też optymizmem nie napawa. Jeśli chodzi o osiągnięcie celu inflacyjnego – 2,5 proc. – nie przewiduje tego żaden scenariusz na przyszły rok, a prawdopodobieństwo takiego rozwoju wypadków na 2024 r. obliczono na 28 proc.

KRYZYS JEST NIEUCHRONNY?

Czy jesteśmy zatem skazani na przynajmniej duże spowolnienie, stagnację albo, co najgorsze, stagflację – fatalne połączenie stagnacji gospodarczej z wysoką inflacją? Zdaniem Andrzeja Sadowskiego – niekoniecznie.

– Kryzys nie jest nieuchronny – uważa prezydent Centrum im. Adama Smitha. – Podczas światowego krachu w latach 2007–2009 w wielu krajach UE mieliśmy stagnację, a w Polsce nastąpiło tylko pewne spowolnienie. Warunkiem uniknięcia głębokich problemów jest rezygnacja przez rządzących z działań proinflacyjnych oraz z blokowania działalności gospodarczej na różne sposoby.

Nie wygląda jednak, żebyśmy zmierzali w tym kierunku. Na razie pojawiają się kolejne przygnębiające statystyki, takie jak ta pokazująca, że w pierwszej połowie tego roku zamknęło się o 26 proc. firm więcej niż w tym samym okresie w ubiegłym roku, a o 39 proc. wzrosła liczba wniosków o zawieszenie działalności.

Węglowy krok wstecz

Konflikt Zachodu z Rosją bywa niekiedy przedstawiany wręcz jako starcie niskoemisyjnej i ekologicznej cywilizacji z przestarzałą „stacją benzynową” paliw kopalnych Władimira Putina. Wielu polityków i ekspertów przekonuje, że jedynie przyspieszenie zielonej transformacji pozwoli odnieść nad Rosją pełne zwycięstwo poprzez wygaszenie jej surowcowych atutów. Tego rodzaju deklaracje nie dość, że całkowicie abstrahują od problemu finansowania środowisk ekologicznych przez Kreml, to na dodatek coraz bardziej rozmiągają się z faktami. Rzeczywistość w postaci narastających problemów z dostawami prądu czy też skokowo rosnącymi cenami surowców pokazuje, że jeśli „zeroemisyjna cywilizacja” będzie chciała się obronić, to będzie jeszcze bardzo długo musiała „grzeszyć” korzystaniem z brudnej energii.

NIEMIECKIE POJEDNANIE Z WĘGLEM

Tak właśnie zamierzają uczynić Niemcy, które niedawno przyjęły projekt ustawy zakładającej, że w przypadku ograniczenia dostaw gazu z Rosji wygaszenie elektrowni opalanych węglem



Jakub Wozinski

Wybuch wojny na Ukrainie pozwolił wielu państwom znaleźć dogodne usprawiedliwienie dla rosnącego od dłuższego czasu wykorzystania paliw kopalnych

i ropą zostanie wstrzymane. Pierwszy raz tego rodzaju zapowiedź pojawiła się w marcu, a dziś wiadomo już, że przez najbliższe dwa lata tradycyjne bloki energetyczne mają być w stanie permanentnej gotowości.

Tego rodzaju nagły zwrot zyskał od samego początku akceptację władz Komisji Europejskiej. Komisarz ds. klimatu Frans Timmermans już na początku rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie dał krajom członkowskim zielone światło do zwiększenia udziału węgla w miksie energetycznym, jeśli tylko dzięki temu dokonają od razu przejścia bezpośredniego do OZE z pominięciem rosyjskiego „paliwa przejściowego”. Z tego zapewnienia skorzystały obficie m.in. Czechy i Rumunia.

W pierwszym kwartale tego roku Niemcy pozyskały aż 31,5 proc. całej

swojej energii właśnie z węgla, który w porównaniu z analogicznym okresem sprzed roku zwiększył swój udział w miksie o 12,5 proc. W Nadrenii wciąż powiększana jest kopalnia w okolicach Lützerath, przez którą będzie trzeba zapewne zlikwidować kilka wsi. Niemcy w poszukiwaniu dodatkowych dostaw węgla prowadzą także intensywne rozmowy z Kolumbią, choć tamtejsze kopalnie od lat dewastują naturalne środowisko i zdrowie miejscowej ludności.

Przez długi czas w Niemczech i innych krajach Unii Europejskiej ze względu na unijny system pozwoleń na emisję CO₂ bardziej opłacalne w energetyce było wykorzystywanie gazu. Wobec dramatycznego spadku dostępności gazu oraz wzrostu jego ceny elektrownie węglowe wróciły ponownie do łask jako tańsza opcja.

Powrót do węgla był jednak widoczny w Niemczech jeszcze przed wybuchem wojny. W trzecim kwartale ubiegłego roku wykorzystanie energii z tego źródła wzrosło w porównaniu z poprzednim kwartałem z 29,3 TWh do 35,1 TWh. Oprócz tego w 2021 r. nasz zachodni sąsiad importował 39 mln ton węgla, co stanowiło wzrost o 24,5 proc. w porównaniu z 2020 r., a w obecnym roku import ma wzrosnąć aż do 42 mln ton.

Decyzje podjęte przez Niemcy ośmieliły także inne kraje członkowskie Unii Europejskiej. Po tym, jak Gazprom ogłosił, że ograniczy dostawy gazu poprzez Nord Stream, poluzowanie zasad dekarbonizacji ogłosiły również Holandia i Austria. Najpierw rząd austriacki zapowiedział, że ponownie otworzy zamkniętą już kopalnię węgla wraz z elektrociepłownią w Mellach, a następnie Holandia zdjęła dosłownie wszelkie ograniczenia przy wykorzystaniu paliw kopalnych w energetyce. Ponownie otwarcie starych elektrowni na węgiel planują obecnie także Włochy.

Zdrowy rozsądek w kwestiach ekologicznych zachowali na szczęście także pozostający poza Unią Brytyjczycy. Mimo że tamtejszy rząd planował zamknąć do września wszystkie elektrownie na węgiel, niedawno zdecydowano się na utrzymanie ich pracy przez kolejne lata. Oficjalnie w planach jest wciąż całkowite odejście od węgla do końca 2024 r., ale wiele wskazuje na to, że i ten termin może zostać zmodyfikowany.

Węglowy rewizjonizm zaobserwować można ostatnio nawet w Kalifornii. Ów najbardziej lewicowy stan USA już w 2018 r. zadeklarował osiągnięcie neutralności emisyjnej do 2045 r. Władze Kalifornii rewidują w ostatnim czasie nawet plany wygaszenia elektrowni atomowej Diablo Canyon o mocy 2250 MW do 2025 r. Dodatkowym problemem jest także to, że we wcześniejszych latach w kryzysowych chwilach (głównie w upalne, letnie popołudnia) słoneczny stan był w stanie nabywać energię od sąsiadów, lecz wobec jednoczesnego wygaszania tradycyjnych elektrowni w całym kraju stało się to dużo bardziej problematyczne.

SMOK BEZ ENERGII

Swoje własne problemy z dostępem do energii mają także Chiny, które oficjalnie cel zeroemisyjności zamierzają osiągnąć do 2060 r. Państwo Środka nie narzuciło sobie

tak forsownego tempa jak Kalifornijczycy, lecz mimo wszystko ustami Xi Jinpinga zadeklarowały wcześniej, że nie będą finansowały budowy elektrowni węglowych poza granicami kraju. W praktyce jednak chińskie państwo realizuje łącznie (także poza swoim terytorium) projekty elektrowni wykorzystujących węgiel o łącznej mocy aż 42 GW.

Inwestycje w tradycyjne źródła energii stały się dla Pekinu priorytetem w szczególności po znacznym kryzysie w dostawach, który dał o sobie znać we wrześniu ubiegłego roku. Problem nasilił się w szczególności w północno-wschodnich prowincjach, gdzie wiele fabryk trzeba było na pewien czas zwyczajnie zamknąć. W wyniku tego część zagranicznych inwestorów (m.in. Apple) ogłosiła, że będzie musiała znaleźć dla siebie nową lokalizację.

Chiny są powszechnie uważane za największego na świecie odstępcę od zielonej agendy, choć w rzeczywistości w ciągu ostatniej dekady zdołały zredukować udział węgla w swoim miksie energetycznym z 68 do ok. 56 proc. oraz stały się jednym ze światowych liderów w zakresie technologii wykorzystywanych przy OZE. Problem jednak w tym, że stale rosnąca chińska gospodarka nie jest w stanie poradzić sobie bez węgla. Prawie połowa światowej energii z tego źródła jest wytwarzana właśnie w Chinach, które są przecież „fabryką świata”. Jeszcze latem ubiegłego roku władze w Pekinie nakładały na wydobycie węgla nowe normy środowiskowe i wprowadzały ograniczenia w jego imporcie. Wielki niedobór energii sprawił jednak, że chiński rząd pospieszenie wycofał się z wcześniejszych decyzji, gdyż w kryzysowym momencie posiadane zapasy węgla wystarczały na zaledwie 16 dni niezakłóconej pracy największych elektrowni. W tej sytuacji Pekin zdecydował się nawet na wznowienie importu węgla z Australii, z którą relacje stały się w ostatnim czasie dość napięte. Wydobycie węgla w ciągu miesiąca wzrosło w Państwie Środka o 20 proc. w porównaniu z wrześniem, a w całym 2021 r. wzrosło o 4,7 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. Według prognoz Państwowej Komisji ds. Rozwoju i Reform również w 2022 r. należy się spodziewać wzrostu konsumpcji energii pochodzącej z węgla (wydobycie w kraju ma wzrosnąć o 300 mln ton).

Kryzys energetyczny związany z nieodpowiedzialnie wdrażaną zieloną transformacją to naprawdę spore zagrożenie. Szacuje się, że w przypadku małych i średnich przedsiębiorstw w Unii Europejskiej

energia stanowi aż 33 proc. wszystkich ponoszonych przez nie kosztów. Aby uniknąć prawdziwej fali upadłości w nadchodzących miesiącach, konieczny będzie powrót do węgla na jeszcze większą skalę niż do tej pory. Ekolodzy już dziś biją na alarm, że rok 2021 doprowadził w Unii Europejskiej do praktycznego wstrzymania procesu dekarbonizacji, choć kryzys zaznaczył się dopiero pod koniec roku. Podczas gdy w latach 2017–2019 ilość energii wytwarzanej z węgla udało się zredukować o 29 proc., to w latach 2019–2021 już tylko o 3 proc.

Na szczególną uwagę w tym kontekście zasługuje to, że największy wysiłek w dziele ograniczenia emisji dwutlenku węgla wykonują obecnie m.in. takie kraje jak Polska. Podczas gdy najbogatsze państwa na kontynencie bezceremonialnie wracają do węgla, polskie państwo i inne kraje regionu przedstawiają się wciąż intensywnie na odnawialne źródła energii.

FANTAZJA W DOBIE RECESJI

O tym, że wbrew nachalnej narracji o nieuniknionym końcu węgla surowiec ten będzie wciąż absolutnie niezbędny dla utrzymania stabilności całej gospodarki, świadczą dodatkowo horrendalnie wysokie koszty, które trzeba ponieść, aby osiągnąć cele zapisane w porozumieniu paryskim z 2015 r. Globalnie trzeba byłoby do połowy stulecia przeznaczyć na ten cel co najmniej 30 bln dol. rocznie. Biorąc jednak pod uwagę to, że w nadchodzących miesiącach większość państw na świecie będzie się mierzyla z wielką falą inflacji, kryzysem energetycznym, wywołanym przez wojnę kryzysem surowcowym i ogólnym spowolnieniem gospodarczym, trudno sobie wyobrazić, aby udało się zmobilizować tak zawrotne sumy.

Cały projekt zeroemisyjności i całkowitej dekarbonizacji można w tym sensie odczytywać właśnie jako nadzwyczaj optymistyczny i nieliczący się z twardymi realiami projekt powzięty w czasach, gdy pieniądze wydawały się wręcz leżeć na ulicy.

Finansowa euforia nie trwa jednak nigdy wiecznie i dlatego dekarbonizacyjna agenda utyka coraz bardziej w martwym punkcie związanym z pogarszającą się sytuacją gospodarczą. Obecne problemy z inflacją czy kursami walut nie są niestety wcale przejściowe, lecz zwiastują poważną recesję. W tych warunkach wdrożenie niezwykle kosztownych programów inwestycyjnych może się

■ zwyczajnie okazać zbyt kosztowne dla większości krajów na świecie. O ile niektóre najbogatsze państwa, które stanowią polityczną lokomotywę ekoagendy, być może będą w stanie udźwignąć narzucony ciężar, o tyle dla Polski będzie to już zwyczajnie zbyt wiele.

AZJA PRACUJE PEŁNĄ PARĄ

Rosyjska agresja na Ukrainę przyczyniła się m.in. do tego, że rosyjskie surowce zaczęły zamiast do Europy płynąć w wielkich ilościach do Azji. Najbardziej ludny kontynent świata będzie miał teraz dostęp do taniego gazu i ropy, co jeszcze bardziej zwiększy jego konkurencyjność w porównaniu z całym Zachodem. Dodatkowo kraje azjatyckie zyskają także ogromnie na zwiększonej produkcji węgla. Rząd Indii ogłosił niedawno, że zamierza zwiększyć do końca roku wydobycie węgla o 400 mln ton do poziomu 1,2 mld ton (czyli dwukrotnie więcej, niż wydobywa się w całych Stanach Zjednoczonych).

Ograniczenie dostępu do tanich surowców na Zachodzie przy odwrotnym trendzie w Indiach czy Chinach jeszcze bardziej pogłębi tym samym status Azji jako fabryki świata. Nie można mieć przy tym złudzeń, że światowi przywódcy nie będą przytykali oka na hinduski i azjatycki „grzech węglowy”, gdyż interes wielkich korporacji posiadających fabryki i montownie w tym regionie będzie tradycyjnie wyznaczał normy tego, co ekologiczne i nieekologiczne. Dotyczy to w szczególności Indii, które mogą dzięki zaostrzającemu się konfliktowi chińsko-amerykańskiemu przejmować coraz bardziej rolę, którą pełniły do tej pory Chiny. Rząd w Delhi, wykorzystując obecną sytuację międzynarodową, bezceremonialnie wspiera rozwój górnictwa węglowego, poluzowując normy środowiskowe. Produkcja wielkich koncernów rośnie stale także w takich krajach jak Indonezja, Bangladesz czy Wietnam, a tamtejszy przemysł będzie jeszcze długo potrzebował znacznych ilości węgla (Indonezja to zresztą czwarta węglowa potęga na świecie).

Nawet jeśli bogate kraje zachodnie po obecnym kilkuletnim zboczeniu z kursu powrócą na ścieżkę dekarbonizacji i osiągną wypracowane przez siebie standardy w skali globalnej, to i tak nie uda się ograniczyć korzystania z węgla. Usatysfakcjonowane upowszechnieniem korzystania z „czystej energii” społeczeństwa półkuli północnej są na najlepszej drodze do tego, aby stworzyć sobie iluzję ratowania planety w swojej części świata, podczas gdy

Energetyka węglowa nie musi wcale stanowić tak wielkiego problemu z perspektywy emisji dwutlenku węgla

tak naprawdę znaczna część najbardziej potrzebnych im do życia produktów będzie wytwarzana w krajach, w których interesy wielkiego biznesu będą ograniczać pełną implementację zeroemisyjnych celów.

WĘGLOWY FUNDAMENT

W 2020 r. za sprawą pandemii po raz pierwszy od czasów rewolucji przemysłowej udział węgla w globalnej produkcji energii spadł do poziomu 35 proc., a w kolejnym roku miało już miejsce odbicie o ponad 1 punkt procentowy. Być może w ten właśnie sposób ludzkości natrafiła na pewną wartość graniczną, której nie jest w stanie przekroczyć, nie doprowadzając tym samym do wielkiego kryzysu. Wszystkie inne źródła energii, które pojawiły się w ostatnich dekadach, znacząco rozbudowały moce światowej gospodarki, ale stabilności tejże gospodarki nie da się zachować bez węglowego fundamentu. Cały zachodni świat oszukuje sam siebie, że brak zadowalających sukcesów w zakresie dekarbonizacji to jedynie problem polityczny związany z niesubordynacją Chin czy Indii – w rzeczywistości zaś postawa azjatyckich potęg ukazuje leżący u podstaw poważny problem natury ekonomicznej. Globalny Zielony Ład jest właśnie weryfikowany na naszych oczach jako program, który nie zapewnia stabilnego funkcjonowania gospodarki.

W tym kontekście bardzo niepokojące jest to, że Polska tak lekkomyślnie przystąpiła na warunki postawione jej przez Unię Europejską i przyjęła harmonogram zamykania kopalni węgla do 2049 r. Tymczasem to właśnie węglowi zawdzięczamy to, że Polska obok Norwegii stanowiła jeden z nielicznych europejskich krajów, w których ceny energii nie skoczyły w górę w pierwszych miesiącach kryzysu energetycznego w aż tak drastyczny sposób (choć niestety teraz szybko się to zmienia). Światowe potęgi gospodarcze właśnie zrozumiały, że zachowanie dostępu do węgla i możliwość skorzystania z niego w kryzysowej sytuacji to kwestia najwyższej wagi, dlatego w interesie Pol-

ski powinna leżeć jak najszybsza modyfikacja podjętych zobowiązań.

I rzecz nie mniej ważna: wbrew temu, co się obecnie mówi, energetyka węglowa nie musi wcale stanowić tak wielkiego problemu z perspektywy emisji dwutlenku węgla. Zaledwie parę lat temu, gdy zeroemisyjna propaganda nie była jeszcze tak agresywna i nie zawłaszczała dla siebie niemal całego dyskursu o wytwarzaniu energii, sporą popularnością cieszyła się jeszcze idea budowy nowoczesnych, bardzo wydajnych i niskoemisyjnych bloków węglowych. O wielkich szansach, jakie stwarzało upowszechnienie się tego rodzaju technologii, informował cały międzynarodowy medialny mainstream, a wielkie nadzieje z nimi wiązały światowe organizacje branżowe.

Choć dziś niewiele osób chce jeszcze o tym pamiętać, to idea modernizacji energetyki węglowej wedle niskoemisyjnych wzorców uważana była swego czasu za stuprocentowo ekologiczny krok ku lepszej przyszłości. Raporty Międzynarodowej Agencji Energii jeszcze kilka lat temu mówiły nawet o możliwości zredukowania emisji dwutlenku węgla w porównaniu z tradycyjnymi blokami aż o 90 proc. Kierując się ówczesnymi zapatrywaniem na węgiel, wiele krajów na świecie, w tym Polska, podjęło długofalowe inwestycje, które w ciągu ostatnich kilku lat uznano nagle za szkodliwe i przeznaczone do likwidacji. W 2020 r. średni wiek elektrowni węglowych w Azji Południowo-Wschodniej, Indiach i Chinach wynosił ok. 11–13 lat, w Europie – 34, a w Stanach Zjednoczonych aż 41 lat. Z oczywistych względów większe koszty ewentualnego wygaszenia bloków węglowych poniosłoby tym samym kraje rozwijające się, które budując w ostatnich latach nowe jednostki, korzystały z dużo bardziej ekologicznych rozwiązań. Jak wiadać jednak, w całej zeroemisyjnej agendzie nie liczy się przede wszystkim szczerza troska o przyrodę, lecz interes najbardziej zamożnych.

Jak głosi znane powiedzenie, czasami trzeba wykonać jeden krok w tył, aby później zrobić dwa kroki do przodu. Zwolennicy zielonej transformacji zdają się upatrywać w obecnej sytuacji jedynie chwilowe zawirowanie, po którym świat i tak ruszy ponownie do przodu zielonym szlakiem. W rzeczywistości jesteśmy być może świadkami sytuacji, w której życzeniowe myślenie zwolenników pospiesznej dekarbonizacji zostało wreszcie zweryfikowane przez rzeczywistość ekonomiczną. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polskie winiarstwo przeżywa renesans

Od kilkudziesięciu lat winiarstwo w Polsce dynamicznie się rozwija. W roku 2009 zgłoszonych było 21 winnic z arealem łącznym 26 ha, dzisiaj jest ich 380 i zajmują 619 ha

Jest to efektem zmian w prawie, które umożliwiły na uproszczonych zasadach wytwarzanie wina w Polsce. Winnice – zarówno te małe, jak i większe, profesjonalne – oferują coraz lepsze produkty. Rozwój winiarstwa to także promocja poszczególnych regionów naszego kraju oraz coraz bardziej popularna enoturystyka.

Winnice znajdziemy w każdym zakątku polski, jednak największe ich skupiska znajdują się w pasie od województwa lubuskiego poprzez dolnośląskie, małopolskie do podkarpackiego.

Ich właścicielami są pasjonaci, którzy zdobywali wiedzę na temat branży podczas specjalistycznych studiów oraz wyjazdów zagranicznych.

Jedną z takich osób jest Szymon Godyla, absolwent technologii żywności i żywienia człowieka na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu, który jeden semestr spędził na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, a w trakcie praktyk w niemieckiej winiarni Vier Jahreszeiten zdobył także praktyczną wiedzę na temat winiarstwa.

– Na studia technologii żywności poszedłem ze względu na to, że naszym głównym biznesem jest piekarnia-cukiernia z siecią kilkunastu sklepów firmowych oraz kilku kawiarni. Chciałem iść w kierunku piekarnictwa, jednak na studiach pojawił się motyw wina, który mnie wciągnął. Mam 30 lat i winnica to był jeden z powodów, dla których wróciłem po studiach do domu – mówi Szymon Godyla.

W 2006 r. rodzina Godylów kupiła XIX-wieczny pałac Pawłowice, by po gruntownym remoncie w roku 2010 otworzyć tam hotel z restauracją.

– Mój powrót z praktyk winiarskich zbiegł się z tym, że rodzice wydali książkę na temat historii pałacu na jego 150-lecie. W książce tej jej autorka, lokalna historyczka, doszukała się motywu wina. Ponieważ dostawałem stypendia



i nagrody za działalność na uczelni, postanowiłem za oszczędzone dzięki temu pieniądze zainwestować w winiarstwo. Oznaczało to powrót do historii tego miejsca, a także realizację pasji – mówi Szymon Godyla.

W roku 2015 na południowym wzgórzu pobliskiej Pawłowskiej Góry (249,5 m n.p.m.) będący wówczas jeszcze studentem Szymon Godyla założył winnicę w miejscu, gdzie 150 lat temu budowniczy pałacu dokonali nasadzeń winnych krzewów, które jednak nie przetrwały.

– Na powierzchni 2,6 ha uprawiamy 10 tys. winorośli różnych odmian. Na wina białe są to gatunki Solaris, Johanner, Muscaris, Sauvignier Gris, Siegerrebe, na wina czerwone oraz różowe:

Cabernet Cortis, Rondo i Regent – mówi Szymon Godyla. – Obecnie jest to maksymalny dla mnie areal, aby móc łączyć pasję tworzenia wina z pracą zawodową. Docelowo jednak chciałbym powiększyć powierzchnię upraw, ponieważ rośliny na ciężkim, gliniastym podłożu dobrze się aklimatyzują.

– Rodzice prowadzą restaurację oraz kawiarnię, dlatego w pierwszym okresie mogłem w pełni skupić się na prowadzeniu winnicy oraz produkcji wina. Okazało się nawet, że część sprzętu rolniczego, który został po dziadku, idealnie nadaje się do uprawy winorośli, i wykorzystuję go do dzisiaj – dodaje.

Szymon Godyla jest jednym z tych winiarzy, którzy łączą zawód z pasją. Jest to charakterystyczne dla naszego kraju. O ile w krajach zachodnich winiarstwo to gałąź zagospodarowana głównie przez rolników, o tyle w Polsce zajmują się nią ci, którzy traktowali to najpierw jako hobby. Teraz często się profesjonalizują, rozbudowując winnice i prowadząc działalność agroturystyczną. Winiarstwo jest też często sposobem na życie dla tych, którzy dorobili się i na pewnym etapie życia postanowili zająć się czymś innym.





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ze złotego...
złotówka

Ile będą kosztować dolar, euro i frank szwajcarski za miesiąc lub dwa? Czy na zakup jednego dolara, którego we wrześniu 2021 r. mogliśmy kupić za mniej niż trzy złote i osiemdziesiąt groszy, we wrześniu 2022 r. wystarczy nam pięć złotych czy jednak trzeba będzie wydać już więcej? Pięć i pół złotego? Jeszcze więcej?

Kto obserwuje złotego, coraz bardziej ślaniającego się pod ciosami innych – już nie tylko tych najsilniejszych – walut, temu musi być na duszy niezmiernie smutno, abstrahując już nawet od tego, że przy okazji robi mu się też coraz bardziej pustawo w portfelu i w portmonetce.

To bowiem niezwykle przynębiający widok, gdy nasz złoty – nasza narodowa waluta – traci do tak dużej liczby walut, gdy osuwa się w notowaniach coraz niżej i niżej, pokonując jeden punkt oporu po drugim punkcie oporu, jedną barierę spadkową po drugiej barierze spadkowej. Gdy drastycznie traci na wartości nie tylko w stosunku do takich gigantów pośród walut jak dolar, euro, frank szwajcarski czy funt brytyjski, lecz także słabuje wobec czeskiej korony, chorwackiej kuny, szwedzkiej korony, bułgarskiego lewa, norweskiej korony, rumuńskiego leja, a ostatnio nawet wobec rosyjskiego rubla i ukraińskiej hrywny itd., itp.

Tym bardziej że temu symbolicznemu zjazdowi złotego towarzyszy całkiem nie symboliczny, lecz na wskroś materialny, coraz mocniej i mocniej uderzający wszyst-

kich nas po kieszeni wzrost cen wszystkich towarów sprowadzanych z zagranicy – na czele z gazem i ropą naftową – który nakręca też wzrost cen wszystkich artykułów produkowanych w Polsce.

Rzecz jasna, głównym powodem obecnej, katastrofalnej zapaści polskiego złotego jest okrutna wojna, która na pełną skalę od kilku miesięcy toczy się za naszą wschodnią granicą. Wszelako, kto przytomny, ten dobrze wie, że to nie cała prawda o przyczynach obecnej, niesłychanej słabości złotego. Kto przytomny, ten dobrze wie, że złoty był jedną z najsłabszych europejskich walut już wcześniej, już w ubiegłym roku, a więc przed inwazją Rosji na Ukrainę; zresztą nie tylko europejskich. „Złoty w gronie najsłabszych walut świata” – tak przecież jeden ze swych codziennych komentarzy walutowych tytułowali już w lipcu 2021 r. analitycy największego banku w Polsce – PKO BP.

I właśnie dlatego chciałoby się dziś zakrzyknąć do rządzących – rządzących rządem (czyli do członków rządu RP) i rządzących walutą (czyli do Narodowego Banku Polskiego i członków Rady Polityki Pieniężnej): Szanowni Państwo, co też Państwo w ostatnich latach uczynili z niegdyś tak silną, tak poważaną na rynkach polską walutą?! Jak Państwo mogli dopuścić do tego, że po tamtym polskim złotym nie ma dziś – oby przejściowo, oby chwilowo – nawet śladu?!

A pozostała nam po nim – po polskim złotym – tylko... polska złotówka. ☹☹



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kto odpowie
za węgiel

W rozmowie z Interią w ubiegłym tygodniu Jarosław Kaczyński powiedział rzecz zadziwiającą. Pytany o sprawę kompletnego nieprzygotowania Polski na wprowadzenie embarga na węgiel oznajmił: „Podnoszenie dziś rozliczeń jest kompletnie bez sensu. Czasu nie cofniemy, a dziś tego czasu jest wystarczająco dużo, by zdążyć z dostawami, by nikt nie siedział w zimnym mieszkaniu”.

Przyjmując perspektywę prezesa PiS, trzeba powiedzieć, że rozliczanie Tuska dzisiaj jest kompletnie bez sensu

To absolutnie rewolucyjne podejście do polityki, nie wiadomo tylko, na ile konsekwentny będzie Jarosław Kaczyński w jego stosowaniu. I na ile będzie wybiórczy. Zasady powinny przecież być uniwersalne, a to oznacza, że należałoby je zastosować nie tylko do Mateusza Morawieckiego. Zachodzę w głowę, co w tej sytuacji z politykami PO, nieustannie krytykowanymi przez polityków PiS i samego prezesa. Przecież ich decyzji i działań się już nie cofnie. Czy podnoszenie rozliczeń nie jest zatem „kompletnie bez sensu”?

Aco z samym Donaldem Tuskiem? To on ma być winny niemal całego zła, jakie się w Polsce dzieje, z inflacją włącznie. Lecz przyjmując perspektywę prezesa PiS, trzeba powiedzieć, że rozliczanie Tuska dzisiaj jest kompletnie bez sensu. Czasu przecież nie cofniemy.

Coś się tu jednak nie klei, bo w tej samej rozmowie chwilę wcześniej Jarosław Kaczyński powiedział, odnosząc się do transportu węgla: „To nie myśmy nie inwestowali w porty i wydzierżawili, bywa, że i na 30 lat, nabrzeża i tereny portowe”. Tak – okazuje się, że nawet kryzysowi węglowemu winny jest rząd PO. Można by oczywiście spytać, czy rząd PiS nie miał świadomości, podejmując decyzję o embargu, jaka jest sytuacja w portach i ich przepustowość. No, ale tego pytania nie postawimy, bo „czasu nie cofniemy”. ☹☹

Pomijając fakt, że czasu jest właśnie bardzo mało i wedle wszelkich rachub węgla po prostu zabraknie, wprawiają w zdumienie słowa prezesa PiS o odpowiedzialności za tę sytuację. Można z nich wywnioskować, że politycy nie muszą odpowiadać za swoje działania, bo przecież „czasu się nie cofnie”. Polityk może popełniać rażące błędy, nie planować, podejmować absurdałne i szkodliwe dla obywateli decyzje. No, ale skoro już zostały podjęte, to po co drażnić temat?

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 035124e120

BARÇA IN THE US

SUMMER TOUR 2022

FOT. MARCO BELLO/JAP/EP/STARS



Barcelona z orzełkiem



Łukasz Majchrzyk

Klubów, które rozbudzają wielkie emocje wśród kibiców na całym świecie, jest tylko kilka. Jednym z nich jest FC Barcelona, więc nic dziwnego, że transfer Roberta Lewandowskiego stał się wielkim wydarzeniem

Po co polskiemu napastnikowi była cała ta awantura? Cemu zdecydował się na odejście z Bayernu Monachium, skoro miał jeszcze rok ważnego kontraktu, kibice w Bawarii go uwielbiali, pobił niemal wszystkie rekordy w Bundeslidze i co roku mógł walczyć o wielkie trofea w Europie? Jeśli wytrzymałby tam jeszcze przez najbliższy sezon, to zapewne strzeliłby kolejnych kilkadziesiąt bramek i na pożegnanie dostałby fetę albo nowy kontrakt do końca kariery.

Po tym, jak wymusił na działaczach Bayernu sprzedaż go do Katalonii, stracił u niemieckich fanów znaczną część

sympatii. Co zyskał? Z tego, co mówił i jak mówił najlepszy polski piłkarz w historii, pieniądze nie były w tym przypadku decydujące. I tu, i tu zarobi miliony euro, a Niemcy mają pod względem solidności reputację zdecydowanie lepszą niż Duma Katalonii, choć na pewno przejście do Barcelony uczyni Lewandowskiego jeszcze popularniejszym i otworzy mu szansę na kontrakty reklamowe.

Polak mógł dodatkowo zostać legendą w klubie z Monachium, a wybrał grę w klubie, który sam jest legendą. W Bayerze Lewandowski mógł się ścigać już tylko z własną wielkością, bić własne rekordy, cyzelować dobrze znaną wszystkim wybitność. W Katalonii będzie się mierzył z wielkimi poprzednikami, cieniami, które mogą ciążyć, a które kapitan reprezentacji Polski jak mało kto we współczesnym futbolu jest w stanie udźwignąć.

COŚ WIĘCEJ NIŻ KLUB

Wreszcie polski piłkarz dołączył do drużyny Barcelony, co wywołało w naszym kraju ekscytację. Oczywiście wszystko, co dotyczy Lewandowskiego, interesuje polskich kibiców piłkarskich, ale tutaj chodziło o coś więcej, o więcej niż klub. Nie wiadomo jeszcze, czy Lewandowski odniesie sukces na Camp

Nou i czy kibice Barcelony będą wymawiali jego nazwisko z uwielbieniem. Przyszłość jest niepewna, choć znając klasę polskiego napastnika, z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że przebieg tej historii będzie szczęśliwy. Jest się z czego cieszyć, bo Barcelona to jeden z ledwie kilku klubów na świecie, wobec których nikt nie jest obojętny.

Dumę Katalonii albo się kocha, albo nienawidzi, albo się życzy jej trofeów, albo wszystkiego najgorszego. Jedno jest jednak wspólne dla kibiców piłkarskich (może z wyjątkiem tych nielicznych, najbardziej zacietrzewionych) – nie sposób nie zachwycić się pięknem gry tej drużyny. Jeśli ktoś w futbolu szuka nie tylko zwycięstw, lecz także pięknej gry, nakierowanej nie tylko na zdobycie bramki, lecz także na to, by cieszyć się każdym zagranieniem i tę radość przekazywać kibicom, to zawsze z przyjemnością obejrzy spotkanie drużyny prowadzonej przez Xavięgo.

Nowy trener Lewandowskiego to jeden z symboli tego, jak Barcelona gra i czym jest. To kolejny piłkarz, który najpierw święcił triumfy na boisku i podnosił puchary, a teraz został na Camp Nou szkoleniowcem. Nikt lepiej niż on nie zna Barcelony, jej sposobu gry, ale też całej

kultury, związków z fanami, przenikania się polityki i historii.

W tej sztafecie pokoleń śmiało można się cofnąć do lat 70. Xavi to młodszy kolega Luisa Enrique, który był gwiazdą Barcelony, gdy obecny trener Lewandowski wchodził do drużyny. To także uczeń i kolega Pepa Guardioli. Spotkali się w szatni Dumy Katalonii, gdy Guardiola powoli kończył karierę, a Xavi dopiero ją rozpoczynał. Barcelona szukała powrotu do wielkich sukcesów pod wodzą Louisa van Gaala, bo przecież szkoła holenderska, szkoła futbolu totalnego, legła u podstaw największych sukcesów „Blaugrana”. Guardiola był podporą wielkiej Barcelony, prowadzonej przez Johana Cruyffa na początku lat 90. Wielki Holender, jeden z najlepszych piłkarzy w historii, to z kolei uczeń Rinusa Michelsa, twórcy futbolu totalnego, dzięki któremu reprezentacja Holandii zaczęła się liczyć na świecie i zmieniała się sama piłka nożna. Trzydzieści lat później sam Cruyff zmienił Barcelonę, stworzył od nowa jej filozofię, dzięki której możemy się cieszyć piękną grą.

To on zmienił styl gry Barcelony. Chciał piłkarzy kreatywnych – takich, jaki sam był. Mogli być niscy i szczupli, ale jeśli byli doskonali technicznie i szybko myśleli na boisku, to pasowali do koncepcji Holendra i do filozofii Barcelony. Być może bez wpływu Cruyffa i jego rewolucji nie cieszylibyśmy się przez wiele lat grą Leo Messiego, Xaviego albo Andresa Iniesty. Do takiego stylu gry pasował też Ronaldinho, jeden z największych geniuszy futbolowych wszech czasów. Dla niego boisko było jak Copacabana, gdzie można cieszyć się grą, robić sztuczki, śmiać się i tańczyć, a przy okazji wygrać mecz.

I tak można by wymieniać w nieskończoność, płacząc wątki, znajdując powiązania, bo w FC Barcelonie wszystko się ze sobą łączy i zazębia. Futbol z polityką, walką o niepodległość i biznes z dobrą zabawą.

Sam Cruyff, kiedy przychodził do Barcelony, miał podobno na stole także ofertę z Realu Madryt, ale powiedział, że nie mógłby grać w klubie wspieranym przez gen. Francisco Franco. Taka

jest przynajmniej powszechna opinia. Faktem jest, że słynny Holender mógł przejść do drużyny odwiecznego rywala FC Barcelony, a kiedy urodził mu się syn, dał mu na imię Jordi, na cześć patrona Katalonii, czym od razu zaskarbił sobie serca kibiców.

SPRAWA KATALONII

Sam klub (lub „więcej niż klub” – jak podkreślają w Barcelonie) nieodłącznie jest kojarzony z walką Katalończyków o niepodległość. Może nie było tak od początku, bo w 1899 r. zakładał go Szwajcar Joan (Hans) Gamper, a pierwszym prezesem był Anglik Walter Wild. Nie przyświecała temu żadna wielka idea, po prostu Gamper, zapalony zawodnik, chciał pograć w mieście w piłkę i szukał partnerów do gry. Futbol się dopiero rodził, nie było łatwo skompletować drużynę, więc zamieścił ogłoszenie w gazecie „Los Deportes”, a sam anonis został wydrukowany po hiszpańsku.

Historia zaczęła się trochę przewrotnie i zwyczajnie, ale następne lata dopisały tam już tragiczne strony. Ledwie wojna domowa się zaczęła, a na front w szeregach armii republikańskiej ruszyło kilku piłkarzy. Miesiąc później zginął prezes klubu Josep Sunyol, który był jednocześnie deputowanym do Kortezów i zwolennikiem niepodległości Katalonii. Z miejsca został ogłoszony „męczennikiem” sprawy niepodległości i bohaterem wszystkich kibiców Barcelony.

Rok później drużyna, podczas tournée po Meksyku oraz USA, była witana z wielkimi honorami i miała przypominać miejscowej ludności o tragedii rozgrywającej się za oceanem. Tamte mecze uratowały Barcelonę od bankructwa. Członków klubu było coraz mniej, na wsparcie rządu nie było co liczyć, pieniądze brakowało, więc propozycja wyjazdu do Ameryki, złożona przez katalońskiego biznesmena Manuela Masa Soriano dosłownie spadała z nieba. Pieniądze zdeponowano po powrocie w paryskim banku i podjęto po wojnie.

To wtedy wzajemna niechęć zaczęła narastać. Generał Franco tłumił kataloński separatyzm do tego stopnia, że klub musiał zmienić nazwę na hiszpańskobrzmiącą i usunąć katalońską flagę ze swojego herbu. Do dziś żywa jest historia z 1943 r., kiedy obie drużyny zmierzyły się w półfinale krajowego Pucharu (dziś Puchar Króla). W pierwszym meczu Barcelona wygrała 3:0, by w rewanżu

w Madrycie przegrać aż 1:11. Wokół tego spotkania narosły legendy, pisano wiele o próbie zastraszenia zawodników Barcelony przez dyrektora biura bezpieczeństwa narodowego, który miał wejść do szatni „Blaugrana”. Sama publiczność też była bardzo nieprzychylna, nieustannie gwizdała na Katalończyków (do biletów na mecz dodawano gwizdki), miała rzekomo też rzucać racami w bramkarza.

To trwa od kilkudziesięciu lat i chociaż temperatura sporów osłabła, a rząd w Madrycie się zmienił, to zawsze, kiedy dochodzi do meczów Królewskich z Dumą Katalonii, stare dzieje są przypominane. Nic dziwnego, że te mecze śledzą setki milionów widzów na całym świecie. Nie trzeba się jednak odnosić do historii, żeby oglądać mecze z zapartym tchem. Przez wiele lat to były pojedynki najlepszych piłkarzy na świecie, czyli Messiego i Cristiano Ronaldo, i najlepszych trenerów, gdy naprzeciwko siebie stawali Guardiola i Jose Mourinho.

Czasami sentymenty odgrzewają sami piłkarze. Gerard Pique rzucił w stronę kibiców Realu, że razem z kolegami z Barcelony „wygraliśmy waszą ligę, a teraz wygramy Puchar waszego króla”, ale w reprezentacji Hiszpanii grał i święcił z nią największe triumfy. Gwiazdami byli tam też Carles Puyol, Xavi, Iniesta, Sergio Busquets, którzy potrafili się dogadać z kolegami z Realu – Ikerem Casillasem, Raulem czy Sergio Ramosem.

Dzisiaj Busquets jest kapitanem, Pique jego zastępcą, a przewodzi im Xavi. Z Pique jest też związana inna ciekawa historia. Przez wiele lat FC Barcelona nie miała na koszulce sponsorów. Potem pojawiły się logo UNICEF, Qatar Foundation, Qatar Airways, wreszcie Rakuten, a tego sponsora przyprowadził sam Pique, który prowadził interesy w branży zajmującej się nowymi technologiami i zorganizował spotkanie obu stron.

Mimo tak wielkich pieniędzy od sponsorów, telewizji, wpływów z biletów Barcelona w ostatnich latach ciągle ma problemy finansowe. Wszystko przez życie na kredyt, zatrudnianie wielkich gwiazd i nieliczenie się z zasadami rachunkowości. W Monachium na takie ekstrawagancje nie ma co liczyć. Bawarczyk powtarzają za to „mia san mia” („my to my”), a tam liczy się solidność. Stąpają twardo po ziemi, a z kolei Barcelona ma być wielka, większa niż rywale, większa niż zwykły klub. Za duży, by upaść.

Mimo tak wielkich pieniędzy od sponsorów, telewizji, wpływów z biletów Barcelona wciąż ma problemy finansowe



Z **Tomaszem Skrzypczakiem**, dyrektorem zarządzającym Janssen Polska
rozmawia **Katarzyna Pinkosz**

Innowacje

to nowe substancje i nowe formy podawania leków

KATARZYNA PINKOSZ: Firma Janssen kojarzy się dziś przede wszystkim ze szczepionką przeciw COVID-19 Johnson & Johnson oraz z nowymi lekami na nowotwory hematologiczne. To nie są jednak jedyne obszary działalności firmy. Jakże są te najważniejsze?

TOMASZ SKRZYPczAK: Janssen jest częścią firmy Johnson & Johnson. Obecnie faktycznie w szerszej społeczności jesteśmy kojarzeni ze szczepionką przeciw COVID-19, jednak eksperci kliniczni od kilkudziesięciu lat prowadzą pacjentów przy wykorzystaniu naszych terapii. Gdy rozpoczęła się epidemia COVID-19, byliśmy niedługo po wprowadzeniu szczepionki przeciw wirusowi ebola, stosowanej głównie w Afryce. Ta technologia pozwoliła nam szybko odpowiedzieć na wyzwanie pandemii COVID-19 i przygotować szczepionkę przeciw SARS-CoV-2.

Jesteśmy aktywni w wielu obszarach terapeutycznych. Pierwszym, w którym nasza firma dokonała przełomowych odkryć, jest psychiatria – mamy już ponad 70-letnie doświadczenie w leczeniu schizofrenii. Inne kluczowe dla nas obszary to hematologia, onkologia, immunologia, neurologia, nadciśnienie płucne oraz właśnie choroby zakaźne.

Firma zaczynała od psychiatrii. I to właśnie w psychiatrii pojawia się bardzo oczekiwany lek, który może stanowić szansę dla osób z depresją

lekooporną. Dlaczego szukaliście leku właśnie dla chorych z depresją lekooporną?

Podstawą jest epidemiologia: ok. 350 mln osób na świecie boryka się z różnymi typami depresji. To bardzo duża grupa, w porównaniu z innymi schorzeniami psychiatrycznymi; dla porównania: np. na schizofrenię choruje ok. 24 mln osób. Depresja wpływa bezpośrednio na funkcjonowanie pacjentów, którzy mogliby być aktywni zawodowo, społecznie. Około 30 proc. pacjentów nie odpowiada na leczenie, to znaczy prawidłowo zastosowane u nich dwie terapie lekami dobrze znanymi i przebadanymi nie dają rezultatu. Jest ogromna potrzeba zaopiekowania się tą grupą pacjentów, ponieważ większość z nich nie jest w stanie optymalnie funkcjonować, a część będzie usiłowała popełnić samobójstwo.

Druą kwestia to zaplecze, które posiadamy: wiedza i doświadczenie w obszarze psychiatrii budowane od ponad 70 lat.

Na czym polega innowacyjność nowego leku, esketaminy? Dlaczego może pomóc pacjentom, którym nie pomogło dotychczasowe leczenie?

Przed wszystkim mówimy o niezaspokojonej dotychczas potrzebie medycznej, bo eksperci kliniczni od lat oczekiwali terapii, która wesprze pacjentów w walce z chorobą. Donosowa forma podania nie była dotychczas stosowana w psychiatrii.

Psychiatrzy bardzo oczekują nowego leku, również ze względu na nową formę podania...

Wiele innowacji firmy Janssen dotyczy nie tylko nowej substancji czynnej, lecz także formy podania, która wiąże się z innowacyjną technologią. Dobrym przykładem było leczenie schizofrenii. Leki w formie iniekcji początkowo były podawane raz na dwa tygodnie, kolejnym przełomem było stosowanie terapii raz na miesiąc, a jeszcze kolejnym – raz na trzy miesiące. W psychiatrii celem wielu naszych innowacji jest nie tylko usprawnienie samej substancji czynnej, lecz także nowa forma podania i możliwość wydłużenia czasu pomiędzy kolejnymi podaniami, co wpływa na lepszą współpracę lekarza z pacjentem i większą skłonność pacjentów do leczenia, co z kolei pozwala na długotrwałą remisję.

Tu innowacją jest donosowa forma podawania, która do tej pory zwykle kojarzona była np. z alergią...

Tak, w przypadku naszego leku na depresję lekooporną istotne jest podawanie donosowe, z odpowiednim czasem uwalniania. Początkowo lek podaje się częściej, następnie podawanie jest rzadsze, kiedy efekt terapeutyczny zaczyna się utrzymywać. Częstotliwość podawania ustalić musi lekarz.

Myślę, że warto przy okazji tego leku wspomnieć o tym, co w Polsce dzieje się



FOT. ADRIEN STOCK

epizodu depresji otrzymali dwie różne terapie w należytym długim czasie, z odpowiednim dawkowaniem leków, i nie były one u nich skuteczne. Dla każdego z tych pacjentów rozpoczęcie terapii nowym lekiem będzie szansą na uzyskanie wyczekiwanego efektu. Indywidualna odpowiedź pacjenta na leczenie będzie jednak możliwa do zaobserwowania dopiero po przeprowadzeniu pełnej terapii i jest uzależniona od wielu czynników, jak choćby psychoterapia prowadzona równolegle. Warto jednak o tę szansę zawalczyć, gdyż każda poprawa stanu zdrowia pacjenta z depresją daje szansę na możliwość wdrożenia kolejnych działań, jak choćby wspomniana psychoterapia, które kompleksowo poprowadzą pacjenta w stronę uzyskania poprawy i powrotu do aktywnego życia.

Depresja lekooporna jest ogromnym problemem, co pokazują dane: ok. 50 proc. długoterminowych zwolnień z pracy jest związanych z zaburzeniami neuropsychiatrycznymi, a statystyki WHO pokazują, że największą grupą są właśnie pacjenci z depresją. Dlatego potencjalna pomoc dużej grupie pacjentów z depresją powinna pozytywnie wpłynąć nie tylko na ich życie prywatne i zawodowe, lecz także na zmniejszenie tzw. kosztów społecznych, gdyż te osoby będą w stanie wracać do aktywnego życia, do pracy. W leczeniu depresji zależy nam, żeby pacjent wrócił do optymalnego funkcjonowania. Pacjentom, u których dotychczasowe metody leczenia były nieskuteczne, często proponowano długotrwałą i kosztowną dla systemu opieki zdrowotnej terapię wymagającą hospitalizacji; nowy lek mógłby z powodzeniem zastąpić tego typu skomplikowane metody.

Podczas ostatniego kongresu IMPACT'22 po raz kolejny pojawiły się wątki dotyczące cyfryzacji i dostępu do danych. Czy gromadzone dane mogłyby pomóc w ocenie, czy dana terapia jest skuteczna? Byłoby to bardzo ważne w wielu schorzeniach, nie tylko depresji lekoopornej, lecz także np. w hematologii, gdzie leczenie jest bardzo kosztowne.

W Polsce bardzo mocno przyspieszył proces cyfryzacji ochrony zdrowia, szczególnie w okresie pandemii. Bardzo dobrze funkcjonują takie systemy jak e-recepta, są już w niektórych chorobach rejestry medyczne, choć jeszcze niescentralizowane. W oparciu o cyfryzację działa program szczepień przeciw COVID-19. Ministerstwo Zdrowia i Centrum e-Zdrowia pracują, by

scentralizować dane medyczne z placówek szpitalnych i stworzyć elektroniczne rekordy. Jeśli szpitale zostaną połączone w jeden system dostępu do danych o pacjentach, to zarządzany centralnie – co jest dużym wyzwaniem, gdyż szpitale nie należą do jednego organu – pozwoliłoby na powstawanie rejestrów w kolejnych jednostkach chorobowych. Finalnym efektem mogłaby być realna umowa między płatnikiem a firmą dostarczającą lek na płacenie za efekt, gdyż można by było sprawdzić skuteczność leczenia. To ważne, gdyż terapie personalizowane są często postrzegane jako relatywnie drogie, zwłaszcza te, które podaje się raz, jak np. CAR-T w szpiczaku mnogim. Może jednak okazać się, że u pacjenta mamy remisję na większą część życia. Patrząc więc na koszt długofalowy, będzie on relatywnie niski, ponieważ pacjent będzie normalnie funkcjonował przez kolejne lata.

Dostęp do danych jest korzystny, gdyż Ministerstwo Zdrowia i NFZ mogłyby optymalizować koszty, czyli realnie płacić za tych pacjentów, którym leczenie pomaga. A z perspektywy firm innowacyjnych, które większość dochodów inwestują w wynajdowanie kolejnych leków, da to możliwość zastosowania u pacjentów bardzo celowanej medycyny. Nowych terapii przybywa: pierwszą jest CAR-T, która rozwija się w kolejnych jednostkach chorobowych. Jej udostępnienie pacjentom nie jest prostą decyzją, warto byłoby jednak pomyśleć o personalizacji i analizie efektów leczenia.

Tak więc rejestry medyczne to byłoby pewnego rodzaju „sprawdzam”? Pokazałyby efektywność terapii?

Tak. Ważne są rejestry, ale też zarządzanie nimi, dostęp do danych i ich analizowanie. Już dziś mamy bardzo wiele danych medycznych, musimy wiedzieć, jak je wykorzystać w sposób mądry i przynoszący wymierną korzyść dla pacjentów. Dobrze znana jest już koncepcja Value Based Healthcare, czyli płacenia za efekty. W teorii wydaje się to proste, jednak w praktyce nie jest łatwe, gdyż w każdej jednostce chorobowej są inne cele i musimy definiować, co jest pożądanym efektem. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Skrzypczak
jest dyrektorem
zarządzającym
Janssen Polska.

w obszarze psychiatrii. Jednym z elementów Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego są centra opieki psychiatrycznej. Jest to pójście w stronę opieki ambulatoryjnej. To ogromna zmiana w systemie leczenia psychiatrycznego w Polsce, który przez wiele dekad opierał się głównie na hospitalizacjach. Jednak w przypadku depresji większość pacjentów nie musi być hospitalizowana. Naszą nową terapię można więc uznać za swego rodzaju odpowiedź, zgodną z kierunkiem, w jakim podążają systemy leczenia krajów wysoko rozwiniętych. Idziemy w kierunku leczenia dziennego, ambulatoryjnego, rzadziej hospitalizacji (jeśli nie jest to wymuszone sytuacją pacjentów). Lek będzie w stanie wpisać się w te potrzeby, pacjent nie musi być hospitalizowany.

Na jakim etapie jest proces udostępnienia leku dla pacjentów w Polsce?

Jesteśmy w trakcie procesu refundacyjnego, wniosek jest procedowany. Wierzymy, że w najbliższych miesiącach zostanie rozpatrzony pozytywnie, ponieważ będzie to jedyna nowoczesna opcja terapeutyczna, jeśli chodzi o pacjentów z depresją lekooporną.

U jak wielu pacjentów lek jest w stanie przełamać oporność choroby?

Mówimy o pacjentach z depresją lekooporną, którzy w czasie jednego

TEST „DO RZECZY”: XIAOMI MI SMART PROJECTOR 2

Niewielki rozmiar, minimalistyczne wzornictwo, funkcjonalny Android TV, prosta obsługa oraz dobry stosunek ceny do możliwości oraz jakości obrazu – to największe zalety projektora chińskiej firmy Xiaomi.

Małe, lekkie (1,3 kg) i zgrabne urządzenie o wymiarach 115 x 150 x 150 mm dzięki minimalistycznemu designowi wygląda dość elegancko i z łatwością „znika” z wystroju wnętrza. Projektor wykonany jest z białego tworzywa i sprawia wrażenie dość solidnie zmontowanego.

Mimo kompaktowych rozmiarów testowany projektor LED potrafi wyświetlać obraz o rozdzielczości Full HD (1920 x 1080 pikseli) w zakresie od 60 do 120 cali. Przy odpowiednio zaciemnionym pomieszczeniu jakość obrazu jest dobra, kontrast wysoki, a dzięki obsłudze HDR10 kolory są pięknie nasycone. Dużo gorzej, zwłaszcza w przypadku ciemnych scen, jest z jakością, jeśli na projekcję zdecydujemy się w środku dnia. Oglądając mroczny film w pomieszczeniu, które nie jest szczelnie zasłonięte przed promieniami słońca, nie nastawiamy się na to, że zobaczymy wiele szczegółów.

Testowany projektor to typowy sprzęt z gątanki „podłącz i korzystaj” – jego obsługa jest więc bajecznie prosta, a kalibracja ostrości i geometrii obrazu dokonywana jest automatycznie (może być też oczywiście później korygowana). Na przenośny projektor można łatwo strumieniować wideo z innych urządzeń. Można również skorzystać z jednego z gniazd HDMI lub USB. Ponieważ projektor ma wbudowany system Android TV, można również korzystać z Netflix, YouTube, Amazon Prime Video etc. oraz z innych aplikacji znajdujących się w sklepie Play. W niektórych przypadkach na



uruchomienie aplikacji i rozpoczęcie strumieniowania wideo trzeba jednak trochę poczekać.

Jak na kategorię projektorów kosztujących mniej niż 3 tys. zł, dwa głośniki o mocy 5 W wbudowane w Xiaomi Mi Smart Projector 2 można uznać za całkiem przyzwoite. Dźwięk jest niemal stereo i choć audiofile nie będą zachwyceni i na pewno uznają za konieczne podłączenie kolumn,

to statystyczny Kowalski nie jeden film obejrzy na tym sprzęcie może, bo głośniczki są wystarczająco głośne, aby wypełnić dźwiękiem przeciętnej wielkości salon.

Głośność pracy samego projektora wynosi 28 dB. Mogłoby być ciszej, ale i tak nie jest najgorzej. Komfortowo można oglądać film, nawet siedząc tuż pod projektorem. W razie potrzeby wykorzystania projektora w charakterze przenośnego głośnika obraz (a co za tym idzie – również chłodzenie) można wyłączyć i słuchać tylko muzyki.

Wady? Dużo większa mogłaby być maksymalna jasność wyświetlanego obrazu, bo aby móc cieszyć się seansem telewizyjno-kinowym przy użyciu testowanego projektora, konieczne trzeba zaciemnić pomieszczenie. Gadżet nie nadaje się więc na główne źródło rozrywki w domu – chyba że ktoś przeprowadził się już do bunkra – ale jako drugie urządzenie oprócz telewizora Xiaomi Mi Smart Projector 2 powinien zdać egzamin.

Wadą praktyczną jest też brak przycisków na obudowie. Ładnie to wygląda, bo pilot jest wręcz ascetyczny, ale gdy gdzieś się zapodzieje, to projektor staje się chwilowo bezużyteczny. W samym pilocie przydałoby się również podświetlenie, zwłaszcza w sytuacji, gdy chcąc cieszyć się komfortowym seansem, musimy całkowicie zaciemnić pomieszczenie. Ze względu na stosunkowo duże opóźnienie nie jest to też projektor dla najbardziej zapalonych graczy. Gry ze sklepu Play ściągać jednak można.

Mimo tych minusów Xiaomi Mi Smart Projector 2 to jeden z ciekawszych na rynku projektorów, który nie kosztuje fortuny, jest lekki i kompaktowy. Za testowane urządzenie trzeba zapłacić 2649 zł. ©©

Jacek Przybylski

LAMPA Z ŁADOWARKĄ

BETTORP. Tak nazywa się nowy model przenośnej lampy LED z bezprzewodową ładowarką. Przyciemniana lampa o wysokości 23 cm ma strumień światła o maksymalnej mocy 150 lumenów.

Gadżet jest też wyposażony w płytkę z dwoma punktami do bezprzewodowego ładowania takich gadżetów jak słuchawki, smartwatche oraz inne urządzenia z certyfikatem Qi. Teoretycznie podładować na niej można również smartfona, ale moc ładowarki wynosi zaledwie 5 W, więc lepiej skupić się na drobniejszych urządzeniach. Cena wynosi 249 zł. Tanio więc nie jest, zważywszy, że w zestawie nie ma czterech sztuk akumulatorów AA potrzebnych do działania gadżetu.



SKANER NIE TYLKO DLA STUDENTÓW

Wakacje, wakacje i niedługo będzie po wakacjach. IRIScan Desk 6 Pro to nowoczesny, przenośny, składany skaner, który ułatwia szybkie skanowanie dokumentów, wizytówek, dokumentów A3 oraz fragmentów książek, które można zapisywać np. w formacie PDF z możliwością przeszukiwania. Zeskanowany tekst można odczytać za pomocą technologii OCR, a nawet korzystając z technologii TTS (Text-to-Speech) automatycznie przekształcić zeskanowane fragmenty książek czy artykułów na mowę i zapisać nagranie w pliku MP3 lub WAV. Według producenta urządzenie znacząco poprawi komfort nauki lub pracy na odległość. Cena: 1669 zł. ©©



Jacek Przybylski

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zagadka grodu Sieciecha



JACEK KOMUDA

Sieciechów to miejscowość, którą mijamy po drodze z Kozienic do Dębina, nie zdając sobie sprawy z jej burzliwych dziejów. Powstały pod koniec XI w. jest być może jednym z pierwszych prywatnych grodów założonych przez możnowładców polskich. Już Gall Anonim opisuje go jako największy nad Wisłą pomiędzy Sandomierzem a Płockiem. Jego założycielem prawdopodobnie stał się Sieciech, postać barwna i awanturnicza, trzeci historycznie po Bezprymie i Maśławie buntownik i warchoł, zapisany w annałach Polski. Sieciech był palatynem – odpowiednikiem kanclerza i hetmana księcia Władysława Hermana, który uzyskał wielki wpływ na słabego władcę, wpływ tym większy, że był kochankiem królowej – Judyty Marii. Stał na czele stronnictwa, które utworzył, popierając i wywyższając członków swojego rodu. Władysław Herman był wręcz psychicznie uzależniony od niego i akceptował życie w miłosnym trójkącie ze swoim palatynem. Stawał po stronie Sieciecha nawet wówczas, gdy ten toczył wojnę z jego synami – Zbigniewem i Bolesławem, później znanym jako Krzywousty. Historycy podejrzewają, że chciał w ogóle odsunąć od władzy ród Piastów i sam zasiąść na tronie. Sieciech osiągnął tak wielką władzę, że bił własne monety – srebrne denary, które także musiały być wybijane w Sieciechowie. Wpływowy palatyn skończył jednak marnie, bo ostatecznie został wygnany z Polski i mógł być oślepiony.

Do dziś nie wiadomo, czy Sieciechów założył palatyn na surowym korzeniu czy też rozbudował otrzymany od księcia gródek, czyniąc z niego swoją główną siedzibę. Była ona tak potężna, że palatyn uwięził tutaj Zbigniewa po jego buncie w 1093 r., a kilka lat później, kiedy sam został pobity przez braci, przetrwał oblężenie i doczekał się odsieczy Władysława Hermana. Do dziś nie jest jasne, czy Sieciech sprowadził zakon benedyktynów czy też uczynił to jego syn, Sieciech Młodszy, albo sam Bolesław Krzywousty. Być może też władca skonfiskował dobra kolejnemu właścicielowi Sieciechowa – niejakiemu Arnoldowi – i nadał je zakonnikom.

W każdym bądź razie po klęsce Sieciecha dzieje jego osady i grodu były równie burzliwe. W 1233 r. w klasztorze w Sieciechowie książę Konrad Mazowiecki uwięził Bolesława znanego później jako Wstydlawy i jego matkę Grzymisławę, którym udało się zbiec, wykorzystując to, iż strażnicy byli pijani. W 1241 r. Sieciechów spustoszyli Tatarzy, którzy założyli w okolicy wielki obóz.

WXIV w., kiedy Wisła zmieniła koryto, a gród kasztelański w Sieciechowie stracił na znaczeniu, Kazimierz Wielki wybudował tutaj zamek, którego... pozostałości również nie udało się odnaleźć. Być może, jak twierdzą lokalni badacze historii, znajdował się na południowy zachód od dzisiejszego fortu Bema, niedaleko od linii kolejowej. W XVI w. był zrujnowany i staraniem miejscowych chłopów został po prostu

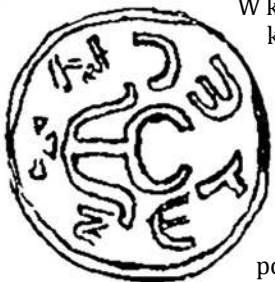
rozebrany razem z fundamentami. W 1386 r., już w czasie jego istnienia, Otton i Jaśko ze Szczekarzowic najechali klasztor, schwytali opata i torturując go, usiłowali wydobyć miejsce ukrycia skarbów. Zostali za to ukarani 130 grzywnami i utratą wpływu na zgromadzenie zakonne.

Gdzie znajdował się legendarny gród Sieciecha? Problem w tym, że niektórzy archeolodzy uznają go za legendę, gdyż w okolicy nie znaleziono na razie pozostałości grodziska otoczonego fortyfikacjami. Okolice wsi to teren, gdzie miały miejsce liczne powodzie i wylewy Wisły, która dodatkowo kilkakrotnie zmieniała koryto i płynęła kilkoma odnogami. Kolejny kłopot to najazdy – mongolski w 1241 r. i litewski w 1244 r. – które spustoszyły okolicę. Dziś nie wiadomo nawet, gdzie mieściła się pierwotna lokalizacja klasztoru Benedyktynów.

Do tej pory pojawiło się kilka hipotez na temat lokalizacji grodu. Jedną z nich jest Wójtowa Góra na zachód od Sieciechowa – można dziś do niej dojechać ulicą Południową. Około 2,3 km od zabudowań wsi znajdują się skupisko drzew i pozostałości dawnego koryta Wisły. Inne proponowane przez archeologów miejsca to: Opactwo, Łęg Zajezerza, Podobłocie, Oleksów-Sławczyn. Niestety, żadne badania nie potwierdziły istnienia ani na Wójtowej Górze, ani w innym z wymienionych miejsc wałów obronnych i umocnień świadczących, że był tam gród. A jednocześnie znaleziska ceramiki pozwalają sądzić, że była tam po prostu osada wczesnośredniowieczna. Innymi słowy, potwierdzone jest istnienie w okolicach Sieciechowa zabudowy i wsi, a także klasztoru, ale gród palatyna księcia Władysława Hermana, o ile w ogóle istniał, czeka na odkrycie. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA





ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Złota Kurka

Złota Kurka to w latach 50. kultowy bar mleczny w samym sercu Warszawy, przy ul. Marszałkowskiej 52. Każde pomieszczenie było przepięknie zdobione ceramiką i mozaikami przez artystów z Łysej Góry. Lecz nie o złotej kurce, która widniała na zdobionych lokal mozaikach, będziemy dzisiaj pisać. Nasza kurka, choć równie złota, to zupełnie odmienny kulinarny świat.

Kurka, czyli pieprznik jadalny, jeden z najsmaczniejszych i najbardziej popularnych grzybów w Polsce – to od niej rozpoczyna się każdy sezon na grzyby. Już samo zbieranie kurek jest bardzo przyjemne, rosną na wygrzanych słońcem piaszczystych podłożach, często pod sosnami i świerkami. Łatwo je zauważyć ze względu na złoty kolor, występują w dużych skupiskach, pachną lekko korzennie. Prócz witamin C, D, B1 i B2 zawierają miedź, cynk, potas, wapń i magnez, a wszystkie ważne substancje kumulują się w kapeluszach, natomiast w trzonkach praktycznie ich nie ma. Kurki mają jeszcze jedną, wyjątkową zaletę – obecna jest w nich substancja, która skutecznie walczy z pasożytami. Sproszkowane kurki o takim działaniu możemy kupić w sklepach zielarskich, jako preparaty antypasożytnicze. Kurki mają więcej beta-karotenu niż... marchewka.

Sezon na kurki trwa od czerwca do października, kojarzy nam się z wakacjami, odpoczynkiem i słońcem. My kochamy ich wspólny smak i to, jak się komponują

z różnymi produktami. Od mięs poprzez kasze, warzywa, aż do najprostszej, a zarazem najpyszniejszej jajecznicy na kurkach, kultowego dania wszystkich miłośników wpływów kajakowych.

Bardzo popularnym daniem w restauracjach jest sos kurkowy, tzw. kurki w śmietanie podawane do mięs szczególnie czerwonych i makaronów najlepiej smakują z czerwonym winem, które ułatwia ich trawienie, gdyż kurki są jednak ciężkostrawne.

Jarek Uściński, szef Stowarzyszenia Szefów Kuchni i Cukierni, twierdzi, że w dawnej Polsce można nie jadać grzybów leśnych, prócz prawdziwków. Kurki uważane były wówczas za odpady. Kucharz proponuje, a my wraz z nim – zupę z kurek.

Przepis

- wywar z warzyw korzeniowych, można do niego dodać głowę lub korpus ryby • ok. 0,5 kg kurek • 0,5 kg ryby słodkowodnej, np. karpia, jesiotra • pół szklanki porządnej śmietany i solidna garść koperku

Gdy wywar jest już gotowy, w rondelku na maśle trzeba zeszklić szalotkę lub pora i dodać umyte i oczyszczone kurki na 6–8 min. Zalewamy to wywarem, po czym dodajemy na 2–3 min świeżą włoszczyznę potartą na zapaleczki, którą gotujemy przez 2–5 min, a potem śmietanę i kopek. Doprawiamy solą i pieprzem do smaku. Smacznego! ©©



FOT. ADRIAN STOLK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Półgolas na ulicy

Pojawiają się razem z pierwszymi upałami. Można spotkać ich wszędzie: w parkach, w lesie, na ulicach, na balkonach bloków, w komunikacji miejskiej. Na każdym skrawku terenu zielonego. Na rowerze, pieszo, na kawiarnianym leżaku. Przekonanych, że ich sylwetka prezentuje się okazale.

I rzeczywiście, sylwetki panów topless prezentują się okazale i to w dosłownym sensie słowa: jest to potężny brzuch wypiętrzony nad spodniami, szortami lub czymkolwiek, co tam występuje. Wysportowani, szczupli rzadko się rozbierają; przeważa otyłość, której często towarzyszy zwiędłość. Na plaży to nie budzi zdziwienia – plaża to miejsce do rozbierania.

Ile razy pisałam o letnim rozgoleniu? Nie chce mi się liczyć. Czy coś pomogło? Nie za bardzo. Przeciwnie – liczba panów przechadzających się po mieście topless oraz pań, którym stanik w całej krasie prezentuje się w okolicy topu na ramiączkach, rośnie z każdym rokiem. Katalog sezonowych wypaczeń jest większy. Panowie: szortogatki w tropikalne wzory noszone do pracy i po mieście (za to na plaży obcisłe majtki z elastiku), podkoszulki w stylu kierowcy tira (odrażające moim zdaniem), podkoszulki bez rękawów, czarne skarpetki do basenowych kłapek.

Jeszcze w latach 90. pokazanie ramiączka od stanika uchodziło za nieestetyczne



FOT. ADRIAN STOLK

i nieakceptowalne. Potem wszyscy się przyzwyczaili, a teraz w wyciętych ze wszystkich stron bluzkach i koszulkach widać już trzy czwarte stanika, jeśli nie cały.

Są jednak miejsca, gdzie bez koszuli i w kostiumie kąpielowym nie można się pokazać. W Wenecji grozi za to mandat 250 euro. Podobne obostrzenie wprowadzono w Sorrento (od 25 do 500 euro). Niepisanym i przestrzegany zwyczaj bycia ubranym w czasie upału – kompletnie, choć lekko – obowiązuje właściwie wszędzie we Włoszech. W zeszłym roku władze Sopotu zainicjowały kampanię pod hasłem „Stop golasom na ulicy”. Wiele lokali i restauracji zdecydowało się na nalepki „Nieubranym klientom nie obsługujemy”. W Juracie zakazu nie ma, ale też półgolasów się nie widzi. Jurata zawsze była eleganckim miejscem. Miejmy nadzieję, że akcja się rozszerzy także na miejsca mniej eleganckie. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Maseczka po grecku

Pojechałem sobie na moje ulubione Rodos z ekipą kilkunasu ludzi. Najpierw jednak poszukałem na stronach i greckiej ambasady, i linii lotniczych, jakie są ewentualne wymogi covidowych obostrzeń. Wyszło, że prawie jak w Polsce. Z tym że w Grecji obowiązuje nakaz noszenia maseczek w pomieszczeniach zamkniętych i w środkach komunikacji zbiorowej. Ale chyba nie na Rodos, bo takiego czegoś nie zauważyłem.

Maseczki były w zaniku. Po pierwsze – na promie, i to w wersji szczątkowej, bo głupiej. To znaczy bez maseczki możesz na statku siedzieć obok siebie ściśnięty jak sardynka w sosie greckim, ale gdy wychodzisz pojedynczo z promu, to maseczka musi być. Także na ustach marynarza stojącego przy trapię, tego samego, który przed chwilą, gdy statek płynął, chuchał ci w twarz na pokładzie, bez maseczki.

Przypadki noszenia wśród ludu raczej pojedyncze, i to w zasadzie w wykonaniu przejętych turystów, którzy swoje zwyczaje lub nastroje panikarskie przywieźli w ramach eksportu z „krajów walczących”. W sumie wszystko podobne do Polski. Greckiego nie znam na tyle, żeby wiedzieć z mediów, czy oni tam mają (też) swoją frakcję lekarzy straszaków, którzy to nie tylko straszą lud ocalały po covidowej hekatombie, lecz także wytykają swemu rządowi przyszłe stosy trupów – wynik ich sanitarycznej opieszałości.

Grecy mają do covidowych obostrzeń podejście

podobne do polskiego. Jak mus, to mus, gdzie się da, to się migamy. Szczątkowa liczba maseczek o obu krajach pokazuje prawdziwe oblicze pandemicznych zachowań. Masowe zdjęcie maseczek w „dniu owym” wskazuje, że ludzie nie mieli motywacji epidemiologicznych. Nosili maseczki z przymusu. Wirus przecież nie zniknął 28 marca o północy. Zniknął przymus, to i zniknęły maseczki, a więc był to – sprzedawany jako znak solidarystycznej odpowiedzialności – jednak przymus.

Idobrze. Niech będzie, jak jest teraz. Kto chce, niech nosi, kto chce, niech się szczepi. Chociaż jeżeli symetrycznie chcemy, by nosiciele nas się nie czepiali, to trzeba zgryźć zęby i pozwolić nadgorliwym matkom mężczyźniom kilkuletnie dzieci maseczkowaniem w upale albo nie odezwać się słowem, widząc zgarbionego 90-lątka ledwie zipiącego przez bawelnianą szmatkę, która nawet według sanitarystów nie ma żadnego znaczenia przy powstrzymaniu transmisji wirusa.

Ciekawe tylko, co zrobi lud covidowy, jeśli maseczki wróć? Ugnie się i wróci do noszenia, po wzmożeniu paniki pchanej przez kolejny wariant (idzie centaur), czy zażywszy utęsknionego haustu wolności, nie da się zapędzić w namordniki? Pomny oświadczenia jednego z naszych dowódców pandemicznych, że maseczki mają właściwie jedynie znaczenie symboliczno-psychologiczne. Są widomym znakiem, że wirus jest między nami. A skoro go nie ma... ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Antropologiczny fałsz

Jednym z najważniejszych zaklęć lewicy jest „równość”. Mityczny cel, program działania i usprawiedliwienie wszelkich najokrutniejszych praktyk. W imię likwidacji nierówności wzniecano rewolucje niosące niewyobrażalne zbrodnie i cierpienia, demontowano porządek społeczny, niszczone kultury i dorobek cywilizacyjny.

Tak się składa, że świat (natura, dzieło stworzenia) skonstruowany jest na kontrastach, nierównościach i hierarchiach, stąd likwidacja nierówności jest klasyczną utopią. Zaprowadzenie równości jest sprzeczne z naturalnym porządkiem, a definiowaniem, czym jest „nierówność”, i wyznaczaniem, gdzie należy równość zaprowadzić, zajmuje się grono rewolucyjnych ideologów. Nawet pozornie pożyteczne programy, jak np. równość szans edukacyjnych czy równość praw lub płac, gdy zabiera się za nie lewica, przynosiły zwykle fatalne rezultaty.

Wcieleniem tych utopijnych idei jest Agenda na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030 (znów: „równość, zrównoważenie”). W otoczeniu 17 pięknie brzmiących celów (m.in. ochrony środowiska) pojawiają się skrajnie ideologiczne zobowiązania, jak np. „równość płci”. Tam, w punkcie 5.6, czytamy: „Zapewnić powszechny dostęp do ochrony zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego oraz korzystanie z praw reprodukcyjnych zgodnie z Programem Działań Międzynarodowej Konferencji na rzecz Ludności

i Rozwoju i Pekińską Platformą Działania”. Zatem Agenda ONZ traktuje ustalenia konferencji pekińskiej integralnie. Tam też jest wiele słusznych postulatów, np. walka z dyskryminacją kobiet, likwidacja ubóstwa, dostęp do edukacji. Natomiast w punkcie 1. Kobiety a ubóstwo jest podpunkt A.4: „Rozwijać metody mające na uwadze kulturową tożsamość płci (gender)”, a dalej w punkcie 3. Kobiety i zdrowie/C.3: „Podjąć wzajemne na kulturową tożsamość płci (gender) inicjatywy dotyczące przeciwdziałania chorobom przenoszonym drogą płciową, HIV/AIDS i problemów zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego” albo: „Włączyć perspektywę kulturowej tożsamości płci (gender perspective) do ustawodawstwa, polityk publicznych, programów i projektów”.

Cały ten dokument, na który powołuje się Agenda na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030, naszpikowany jest ideologicznymi terminami. Polska jest sygnatariuszem tego programu. Na stronach MSZ i w rządowych dokumentach znajdujemy wiele odniesień do Agendy ONZ. Niedawno zwróciłem uwagę, że także przyszłoroczne Światowe Dni Młodzieży zostaną zorganizowane w oparciu o 12 celów zrównoważonego rozwoju zaczerpniętych z encykliki „Laudato si” i Agendy ONZ 2030. Zwracam się do rodziców i kapłanów: Czy naprawdę młodzi Polacy muszą jechać do Lizbony, aby zapoznać się z wrogim chrześcijaństwu antropologicznym fałszem? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Za wcześnie
to napisałem

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen w trakcie obecnego wywiadu dla „Die Welt” poruszyła m.in. kwestie dotyczące pieniędzy dla Polski z Krajowego Planu Odbudowy. Wyraziła jasne stanowisko, że pieniądze nie zostaną przelane, jeśli Polska nie zlikwiduje Trybunału Konstytucyjnego, a także konstytucji. Że co? Że to jeszcze nie w tym tygodniu? Aaa. Moja wina, pospieszyłem się, a nawet wręcz antycypowałem.

Rzeczywiście! W tym tygodniu kostyczna Ursula powiedziała „tylko”, że pieniądze do nas nie popłyną, jeśli nasi sędziowie nie będą mogli kwestionować statusu naszych sędziów. To o Trybunale Konstytucyjnym i polskiej konstytucji pewnie powie w przyszłym tygodniu. Mój błąd. Przepraszam, soraczki i et cetera.

Niemniej przyznać trzeba, że i teraz nasza niemiecka przewodnicząca nieźle się zabawia. Co bowiem oznacza w praktyce, co oznaczałyby możliwości kwestionowania przez sędziów statusu innych sędziów? Na przykład to, że sąd drugiej instancji w ogóle nie zajmuje się merytorycznie wyrokiem pierwszej instancji, bo mówi, że wydali go sędziowie, którzy nie są sędziami, bo nagle okazuje się, że sędziowie mogą sobie sami, samowolnie ustalać, kto jest sędzią. Albo że przed wyrokiem, np. po długim procesie, sędzia uznaje, że

wyłącza się ze składu, bo status pozostałych sędziów jest według niego taki, że nie są sędziami i basta. I co mi zrobisz, nie ma twojego płaszcza, chamie? Hę? Co to oznacza? Katastrofę makabryczną. Chaos totalny. My w tej chwili w sądach mamy katastrofę codzienną i chaos jak się patrzy, ale się do tego przyzwyczailiśmy, ponieważ jesteśmy niespecjalnie mądrymi obywatelami. Mądrzy by się nie przyzwyczaili. Już teraz na wejście na wokandę sprawy cywilnej czasem czeka się trzy-cztery lata, a na prawomocny wyrok i ze 20, co oznacza, że to państwo nie działa, że już jest z października.

Po wdrożeniu Ursulinych postulatów w ogóle nie byłoby chyba państwa, a ona i Komisja Europejska by się nie zatrzymały i mogły forsować to o TK i konstytucji. Gdyż celem Niemców, a Ursula jest Niemką, jest podporządkowanie sobie pozostałych krajów UE, pozbawienie ich głosu i samodzielności, co w zasadzie ogłosił w wywiadzie kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Ogłosił, że on i Niemcy chcą przejąć odpowiedzialność za Europę. My tu w Polsce nawet za dobrze pamiętamy czasy, kiedy Niemcy przejmowały odpowiedzialność za Europę i świat, i powiem Ci, Panie Scholz, żebyś się Pan lepiej zajął sobą i swoimi Niemcami. A od nas to się z łaski swojej z całym szacunkiem odscholuj. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Licencja na
obronę własną

Małgośka – mówią mi – największym niebezpieczeństwem idei są jej wyznawcy. Problem w tym, że wyznawcy russkowo mira mają coś z bumerangu – co orka odrzucisz, to wraca tu jak jego dziad i pradziad. Dlatego nie męczę się, wołając o rozwijanie fińskiego modelu obronności. I niech rząd wreszcie poluzuje przepisy, bo obecne sito dostępu do broni to droga przez mękę nawet dla wzorowej obywatelki.

Już jako szczęśliwy posiadacz licencji na pistolet, strzelbę i karabin zapewniam państwa, że możecie czuć się bezpiecznie (w tym także moi adwersarze). Gdy pierwszy raz znalazłam się w grupie 80 adeptów na egzamin na patent strzelecki, wyszeptalam do męża: „Niektóre facjaty odesłałabym do domu”. „Nawet jak zdadzą tutaj, to odsiej ich na odcinku psychiatrii” – pocieszył mnie mąż. Pierwsza zaporą to egzamin teoretyczny, który wpływa takich, którzy to nie mieli głowy, żeby jak Małgośka zakuwać kodeksy i testy z ostatnich lat. Potem kolejno w stresie i na czas trzeba zaliczać konkurencje, gdzie każdy pochopny ruch dyskwalifikuje. W dodatku jeszcze bardziej zniechęcałam feministki, bo nie spodziewałam się takiego podłego równouprawnienia: ani filuterny uśmiech, ani blond peleryna nie działają na sędziów. „Panie, odsuń się ode mnie!” – krzyczą do

faceta po lewej, który grzeje mi łuskami w twarz i nie daje mi się złożyć do strzału. „Panie sędzio, tak nie wolno!” – szukam wsparcia u arbitra. A on na to: „Kapelusik było wziąć! Na wojnie nie będzie inaczej!”. Ale za to jaka radość, gdy ten po mojej lewej i prawej odpada, a Małgośka przechodzi dalej, gdzie finalizują już tylko ci, którzy mają pewne rękę i oko.

Nawet mając patent strzelecki, pozostaje największą przeszkodą. I słusznie! Bo tylko zdrowa tkanka społeczna zasługuje, aby mieć broń w sejfie, o czym decyduje stosik testów psychologicznych. Od pytań dziwnych: „Czy słyszysz głosy w głowie?”, przez pytania intymne i tak skorelowane, aby wykryć kłamstewka w zeznaniach, aż do zadań graficznych zupełnie jak do Mensy. Lekarze nagle jak spowiednicy wszystkiego ciekawi, ale dzięki temu nie ma w Polsce Bronxu.

Już miałam rząd wychwalić za te ramy bezpieczeństwa, gdy lekarz od orzekania (widząc mój zawód) powiedział, że trzeba nagłośnić coraz większą liczbę gwałtów i rozbojów ze strony po cichu napływających Uzbeków i Pakistańczyków. Aż mi ręce opadły. To mnie ustawodawca prześwieśla na sto sposobów, żebym mogła swój rewolwer na zawody braci, a masowo wpuszcza watażków? Hełoł? To dla rodaków sito, a dla gangsterów otwarte wrota? ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wybijanie szyb

W filmie „Brzdąc” z Charlie Chaplinem z 1921 r. jego przybrany synek wybijają szybę, zapewniając mu tym samym pracę jako szklarza. Otóż współcześni adwokaci barbarzyństwa wydają się, poprzez bzdury, które lansują, napędzać klientów klinikom psychiatrycznym. Klienci ci już często nie rozumieją, jak walczy się z hejtem, nazywając adwersarzy sk...synami, ani na czym polegają niedyskryminacja wykluczających czy feminizm kwestionujący płęć biologiczną. Rosną rzesze klientów, którzy będą pytać, jak mógł tatuś go spłodzić z drugim tatusem, lub pytać: „Gdzie jest moje liczne rodzeństwo poczęte w próbowkach?”. Inni klienci nie

sposób można by wyabstrahować ludzki umysł i podłączyć go do komputera. Ma to zwiększyć jego wydajność i spowodować, by czuł się szczęśliwy.

Akcja wspomnianych heroldów rewolucji cywilizacyjnej odbywa się na polu bitwy, które mało jest uświadamiane starszemu pokoleniu. Na tym polu bitwy nie liczą się racja ani zdrowy rozsądek. Liczy się liczba kliknięć, a raczej „polubień” lub „hejtów”. Tu nie ma dyskusji, tu zajmuje się stanowisko w kategoriach zero-jedynkowych. Myli się przy tym ten, kto sądzi, że działają tu tylko proste liczby kliknięć. Oczywiście mają one robić wrażenie, ale liczby te są wynikiem pracy influencerów.

epitetami lub wręcz obelgami. Ci, którzy te komunikaty mają polubić lub znienawidzić, nie muszą już w ogóle myśleć, tylko kliknąć „tak” lub „nie”.

Jeden z takich influencerów przedstawia się np. jako adiunkt „narratologii” i ekspert od „światotwórstwa”. „Narratologia” to teoria opowiadania, które w dzisiejszych czasach oderwało się od pojęcia prawdy i kształci, podobnie jak dawniej erystyka, zdolności manipulowania ludźmi. „Światotwórstwa” nie trzeba chyba tłumaczyć. To umiejętność wprowadzania odbiorcy w świat wirtualny, a właściwie urojony. Te dwa pojęcia bardzo dobrze określają kompetencje wspomnianego influencera. W swej twórczości zmyśla on cytaty, wykręca znaczenia słów, zastępuje fakty opiniami i w ogóle tworzy nierealną rzeczywistość, w której prawda jest fałszem, fałsz jest ciekawy, tradycyjne normy postępowania stają się zabawne, a rzeczywistość jest płynna w myśl określenia postmodernistów. Ktoś, kto stuka się przy tym w głowę, może zostać oskarżony o hejt, mowę nienawiści, faszyzm, antysemityzm, homofobię, islamofobię, rusofobię, rusofilie lub pedofilie. I znajdują się ludzie, którzy ochoczo włączają się do walki, wylewając w Internecie pomyje na biedaka.

Szary człowiek może temu się przyglądać, mówiąc, jak klasyk, „nie wiem, nie orientuję się, zarobiony jestem”, ale w końcu i w niego trafi jakiś odłamek tej nowoczesności. Nie będzie się chciał wyłączyć z obiegu, a jego dziecko zapragnie wziąć udział w rewolucji swojego pokolenia. Gabinety psychoterapeutów będą miały nowych klientów. Dla ludzi normalnych nadchodzą czasy zwiększonej czujności. ©©

„Narratologia” to teoria opowiadania, które w dzisiejszych czasach oderwało się od pojęcia prawdy i kształci, podobnie jak dawniej erystyka, zdolności manipulowania ludźmi

rozumieją, dlaczego tożsamość ich rodziców objęta jest tajemnicą handlową i dlaczego ma się to nazywać postępem... Media stale dostarczają przykładów skuteczności wspomnianej metody naganiania klientów psychiatrom. Oto norweska grupa „transaktywistów” oskarżyła działaczkę organizacji feministycznej Women’s Declaration International o przestępstwo z nienawiści, polegające na zanegowaniu możliwości, by mężczyzna został... lesbijką.

Maleńka grupa ludzi mających inaczej terroryzuje obywateli stukających się w czoło i czerpie przy tym obficie ze środków dostarczanych przez inną maleńką grupkę majątnych inżynierów społecznych. W rezultacie rośnie zapotrzebowanie na psychoanalitików. Obok nich biotechnologowie badają, w jaki

Ten nowy zawód, dobrze płatny, polega na wprowadzaniu do mediów społecznościowych twórców opinii, którzy wygłaszają komunikaty dotyczące spraw niby marginalnych, a skupiających uwagę na niezwykłości. Kogo naprawdę może obchodzić co jakiś Fabijański robił z jakimś Rafałalą oraz co to jest Maffashion? Po jakiejś kolejnej połajance internetowej istota ta stwierdziła: „Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat. Ja wysiadam”. I to jest sedno sprawy: Jak wiele ludzi, zapewne młodych, wysiadło już z nią? Głupkowatość niektórych influencerów odrywa śledzących Internet od rzeczywistości. Świadomie manipuluje się tu emocjami przy pomocy fejków, czyli – innymi słowy – kłamstw, manipulacji cytatami, szyderstwami, a w końcu także



FOT. W. LEHROWSKI/LUDYJANSKI/SUSNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Słucham emerytowanych wojskowych ze wszystkich stron świata – stwierdzają ze smutkiem, że Putin wojnę z Ukrainą ostatecznie wygra. Nie wygra za darmo, nie wygra szybko, ale ostatecznie wygra.

Czy jesteśmy przygotowani na ten okropny scenariusz? Czy Polska jest przygotowana? I konkretnie jak? Co zrobimy? Ktoś rozważa możliwe konsekwencje?

A oto cytat z wypowiedzi brytyjskiego generała, który walczył w Afganistanie, Iraku i kilku innych miejscach. Dowodził w terenie, a nie w sztabie, i mówi tak: Putin wygrywa, bo wojna to nie tylko strzelanina, lecz także polityka rozgrywana daleko od miejsca, gdzie spadają pociski. Putin wygrywa szczególnie tam – daleko od frontu – a bomby są hałaśliwym dodatkiem do dużo większej całości.

I jeszcze trzeci element – Putinowi opłaca się tę wojnę wydłużać, a nie skracać. W nieskończoność się nie da, ale na razie na szybkim zakończeniu konfliktu zależy Unii Europejskiej, a nie Rosji.

Putin skorzystał na wszystkich sankcjach, natomiast Europa na wszystkich swoich sankcjach traci. Putin siedzi, czeka i patrzy z radością, jak państwa europejskie się kłócą, jak ich gospodarki słabną, jak się wszyscy boją nadchodzącej zimy, braków energii i żywności oraz galopującej biedy. Duża inflacja w europejskim systemie pełnym socjału oznacza upadek systemów emerytalnych.

Putina stać, by przeciągać tę wojnę do kolejnej wiosny. Europy nie stać na najbliższą zimę bez ruskiego gazu.

W efekcie sankcji Putin umocnił rubla, podniósł ceny ropy, gazu, węgla i złota, rozbudował współpracę, a nawet sojusz strategiczny z Chinami, rozwija kontrakty na dostawę surowców do Indii, a Indie to potężna gospodarka i populacja zbliżona do chińskiej. W tym czasie Europa słabnie i popada w chaos decyzyjny. W Europie nie wiedzą, co mają z tym wszystkim robić. Europa czeka biernie. Putin czeka aktywnie. Jak wilk.

Czy Polska jest przygotowana na wygraną Putina? Bo w oficjalnych pogadankach polityków słychać tylko, że takiej opcji nie ma. Jak to nie ma? W każdej wojnie jest taka opcja, że wygra ten drugi, którego nie lubimy. Powinniśmy się przygotowywać na wariant negatywny – Putin wygrał i co to oznacza dla Polski.

Drugą wojnę światową wygrali Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi oraz... Niemcy, Włosi i Japonia. Tak, Japonia wygrała – pozbyła się dyktatorskiego reżimu, poszła pod czasową okupację amerykańską i popatrzenie na Japonię dzisiaj. Byli okupowani, ale jednocześnie zostali fabryką Ameryki i ostatecznie prześcignęli amerykański przemysł motoryzacyjny za pomocą swojej Toyoty i innych takich (np. elektronika). Dziś są potęgą.

Niemcy też poszli pod czasową okupację, utracili landy wschodnie na rzecz Sowietów, ale w rachunku ostatecznym wyszli na drugiej wojnie światowej o wiele lepiej niż Polska.

Jak wyjdzie Polska na zwycięstwie Putina? Co zrobimy z 4 mln uchodźców, których żyjemy, leczymy, posyłamy do

szkoły? Forse na to wszystko wykładają Polacy i państwo polskie. Czy tak będzie zawsze? A jeżeli jest już gotowy plan, że „nie zawsze”, to do kiedy, jak długo?

Pomoc Polski dla Ukrainy to 1 mld 700 mln zł. Najwięcej po USA. A co w zamian? Bo w polityce oraz przy wydawaniu pieniędzy zawsze powinno być jakieś „w zamian”. Polski biznes zarobi na odbudowie Ukrainy, jak miał zarobić na odbudowie Iraku? Słyszymy, że polskie firmy mają dostać do odbudowy obwód doniecki, który będzie pod okupacją Rosji. A Francuzi dostali centralną Ukrainę, chociaż to my wydajemy pieniądze, oddajemy domy i narażamy polskie rolnictwo. Rząd RP nie potrafi wynegocjować dla Polski korzystnych warunków.

20-kilometrowa kolejka samochodów na granicy Ukrainy i Polski. Zarabiamy coś na tym?

150 dni wojny, a UE nie przygotowała procedury pomocy dla Polski za przyjęcie i utrzymanie uchodźców. Polski rząd narzeka na Unię. A dogadaliście się z kimkolwiek wcześniej na refundację tych wydatków? Bo jeżeli się nie dogadaliście wcześniej, to z jakiego powodu Unia miałaby za cokolwiek płacić? Przecież to Polska samodzielnie i przez nikogo nieprzymuszana przyjęła tę falę uchodźców. No to teraz niech sobie Polska poradzi z tym, co Polska zrobiła samej sobie.

Oddaliśmy Ukrainie kupę czołgów i innego sprzętu. Niemcy mieli nam w zamian podarować swój sprzęt, ale jakoś się nie kwapią. Dlaczego? A czy była do tego jakaś twarda umowa? A nawet gdyby była umowa, to

co my możemy Niemcom zrobić, gdy oni odmawiają wypełnienia warunków umowy, bo im się odwdziało, bo jest kryzys i już ich „nie stać” na rozdawanie czołgów do Polski? W polityce liczy się siła. Jaką siłą dysponujemy wobec Unii? Jaką siłą dysponujemy wobec Niemiec? Czy mamy jakikolwiek lewar na nich czy tylko gębę pełną słów? Gęby to oni się nie przestraszą.

Od dawna mam przeczucie, że to wszystko jakiś teatr. Coś mi nie pasuje. Nie umiem udowodnić niczego, ale mam narastające wrażenie, że coś tu nie gra. Ludzie na froncie biją się naprawdę i giną, walczą szczerze i dzielnie, ale „polityka rozgrywana jest daleko od miejsca, gdzie spadają pociski”.

Rosja podpisała porozumienie w sprawie Odessy. Zaraz potem Rosjanie ostrzelują porty ukraińskie w Odessie i magazyny ze zbożem. Tym atakiem Putin lekceważy sekretarza NATO i prezydenta Turcji, obecnych przy stole negocjacyjnym. Jak to rozumieć? Po co robili teatr z siadaniem do stołu? Putin ich lekceważy, ponieważ oni nie mogą mu nic zrobić – nie wiedzieli tego, zanim siedli do stołu?

Zełenski ogłosił, że rosyjski atak na Odesę nie opóźnił eksportu zboża. No przecież to teatr – albo atak nie był na serio, albo jednak opóźnił. Bo jak mam to zrozumieć, że Roscy atakują, a w tym czasie eksport odbywa się normalnie i bez opóźnień?

Z kolei żona Zełenskiego zrobiła sobie sesję do magazynu „Vogue” – na froncie chłopakom urywa nogi, a Zełenska pokazuje swoje na rozkładówce. Teatr.

Może to nieprawda, może sfalszowane, ale w sieci widzę, że Witalij Kliczko zrobił sobie przerwę od wojny i pojechał na wyprzemyk do Barcelony. Teatr. Czy jesteśmy przygotowani na nieoczekiwane zakończenie przedstawienia, gdy zwycięzca okaże się Putin? ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

~~943 ZŁ~~

**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

D. WALUSIAK:
„WOJNA I WIARA 1920”

ABP F. J. SHEEN: „KOMUNIZM
I SUMIENIE ZACHODU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

342,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 601 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 035124e120

Niezawodna precyzja

Zasilany światłem,
synchronizowany radiowo.



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW